RAPORT SPECJALNY
ZMIANY W RZĄDZIE
WIEMY, JAKI JEST PLAN KACZYŃSKIEGO

JACEK KURSKI: TVP WYGRYWA. ROZBILIŚMY BANK W SERIALACH, ROZRYWCE, SPORCIE I INFORMACJI

NR 3 (268) 2018 15–21 STYCZNIA 2018 CENA: 6,90 zł (W TYM 8% VAT)

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

TYLKO U NAS
ŚWIATOWEJ SŁAWY AMERYKAŃSKI ANALITYK
GEORGE FRIEDMAN:

POLSKA BĘDZIE POTĘGĄ!

ATAKUJĄ WAS, BO ROŚNIECIE W SIŁĘ

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

eprasa.pl dd70aa56f6

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

50 książek w prezencie

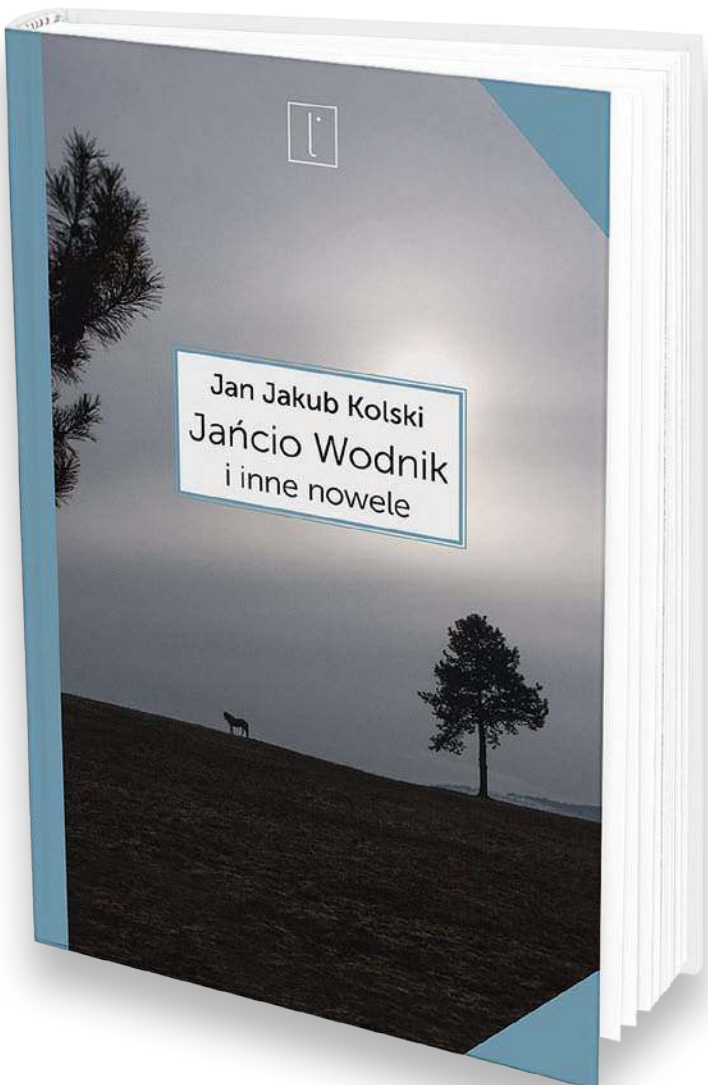

ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ MIESIĘCZNIKA WSIECI HISTORII ZA **75 ZŁ**, A KSIĄŻKĘ „JAŃCIO WODNIK I INNE NOWELE" O WARTOŚCI **39,90 ZŁ** OTRZYMASZ GRATIS!

SPRAWDŹ DOSTĘPNOŚĆ KSIĄŻEK NA **WSIECIPRAWDY.PL/PRENUMERATA**

ZAMÓW JUŻ DZIŚ! | tel. 22 616 15 70 | PRENUMERATA@FRATRIA.PL WWW.WSIECI.PL/PRENUMERATA

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: PL91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: Prenumerata roczna wSH i pełne dane teleadresowe do wysyłki.

eprasa.pl dd70aa56f6

Cała Polska z was się śmieje...

No może nie cała, bo część jest załamana. Spór o aborcję miał być ostatnią deską ratunku, gdy wszystko inne zawiodło. Bo czarne marsze, bo parasolki, bo młodzi ludzie sprzeciwiający się rzekomej ingerencji w ich intymne sprawy. Nawet Adam Michnik w niedawnym wywiadzie udzielonym Sławomirowi Sierakowskiemu widział w „parasolkach" szansę na przebudzenie antypisu.

No więc gdy wybiła godzina zero i pod obrady Sejmu trafił obywatelski projekt liberalizujący przepisy aborcyjne, wszyscy zamarli w oczekiwaniu na odsłonięcie kurtyny. Gdy ta w końcu się podniosła, ujrzeliśmy slapstickową komedię, w której antypisowska opozycja chciała cisnąć tortem w twarz Jarosławowi Kaczyńskiemu, ale że tort spadł jej na podłogę, to wszyscy się na nim poślizgnęli i zaryli nosami w tę podłogę.

Projekt środowisk feministycznych musiał być ratowany przez posłów PiS, którzy – mimo fundamentalnej niezgody na liberalizację przepisów aborcyjnych – głosowali za skierowaniem go do komisji z szacunku dla odmiennych poglądów. Nic to jednak nie dało, skoro sami zainteresowani mieli w tym czasie inne sprawy na głowie.

Antypisowską opozycję ciągle dręczy ten sam wirus, który kazał Ryszardowi Petru wyjechać w środku sejmowego puczu na Maderę. Od tamtej pory coraz mniej wyborców było skłonnych powierzyć losy kraju w ręce pana Ryszarda. Wirus jest najwyraźniej bardzo zaraźliwy.

Konrad Kołodziejski

To nie elektorat

Nie będzie chyba przesadą stwierdzenie, iż jedną z różnic między większością sympatyków Prawa i Sprawiedliwości a zwolennikami większości pozostałych partii jest dużo bardziej osobisty stosunek do polityki, a szerzej – do spraw polskich. Troska o państwo polskie jest w tej grupie autentyczna, dobro Rzeczypospolitej jest najwyższą wartością, narodowa tożsamość traktowana jest bardzo serio. Wartości te wielokrotnie były potwierdzane czynem – czy to po tragedii smoleńskiej, czy w czasie podwójnej mobilizacji przed wyborami 2015 r., gdy ryzyko ponownego zafałszowania wyniku wyborów było potężne.

W czasie ośmiu lat opozycji wielu ludzi położyło na szali swoje kariery, ponosiło osobiste i społeczne koszty.

Ta autentycznie przeżywana relacja do świata polityki to ogromny atut polityków obozu zmiany, ale też zobowiązanie. Ludzie, którzy dali z siebie tak dużo, mają też większe prawo rozumieć, co się dzieje, niż ci, którzy po prostu „wynajmują" swoich przedstawicieli. Nie są bowiem „elektoratem", ale naprawdę świadomymi obywatelami.

W dobrych czasach, w latach sprawowania władzy i sondażowych szczytów, znaczenie tych środowisk może się wydawać mniejsze, w końcu oklaskiwaczy przybywa i będzie przybywać. Jednak kiedy tej pierwszej, autentycznie ideowej grupy zabraknie, jeśli się zniechęcą, cała konstrukcja może stracić spójność. A i cel może się zgubić. Warto o tym pamiętać.

Michał Karnowski

Autopromocja

Fot. Andrzej Skwarczyński

SIECI spis treści

32 Ostatnia prosta
Marek Pyza

34 Alfabet donosicieli
Krzysztof Feusette

47 Z Franciszkiem Pieczką
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

6 **Z ŻYCIA KOALICJI, Z ŻYCIA OPOZYCJI**
Robert Mazurek, Igor Zalewski

8 **NIEOFICJALNY PRZEGLĄD TYGODNIA**
Sygnalista

10 **PO OWOCACH**
Krzysztof Feusette

11 **KORSUN CHILI KORSUN**
Paweł Korsun, Michał Korsun

11 **TRENDY I OWĘDY**
Ryszard Makowski

12 **W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ**
Jan Pietrzak

13 **EUROOBSESJA**
Bronisław Wildstein

14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **CICHY ZABÓJCA**
Marta Kaczyńska

16 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

19 **AUTOSTRADA WOLNOŚCI**
Tomasz Łysiak

TEMAT TYGODNIA

20 **Z GEORGE'EM FRIEDMANEM**
rozmawia Aleksandra Rybińska

KRAJ

26 **KRAJOBRAZ PO REKONSTRUKCJI**
Stanisław Janecki

29 **STAJNIA PREMIERA I SEKTOR PREZESA**
Jan Rokita

32 **OSTATNIA PROSTA**
Marek Pyza

34 **ALFABET DONOSICIELI**
Krzysztof Feusette

38 **Z JACKIEM KURSKIM**
rozmawia Jacek Karnowski

43 **Z ILONĄ ŁEPKOWSKĄ**
rozmawia Marcin Fijołek

SIECI KULTURY

47 **Z FRANCISZKIEM PIECZKĄ**
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

50 **CUDOWNE ROZMNOŻENIE**
Adam Ciesielski

51 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

52 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

54 **POLECA**
Łukasz Adamski

OPINIE

56 **Z KS. TADEUSZEM ISAKOWICZEM-ZALESKIM**
rozmawia Piotr Skwieciński

60 **EUROPA W ŚMIERTELNYM NIEBEZPIECZEŃSTWIE**
Piotr Zaremba

63 **O RÓŻY W PODRÓŻY**
Wojciech Wencel

64 **DOBRA ZMIANA NA ZAKRĘCIE?**
Wojciech Reszczyński

65 **DEMOS O DEMOKRACJI**
Dariusz Karłowicz

HISTORIA

66 **GEN. „GRYF": WSZYSTKO DLA POLSKI**
Stanisław Żaryn

ŚWIAT

68 **Z MATE MIJICIEM**
rozmawia Goran Andrijanić

72 **DOOKOŁA EUROPY**
z Krystyną Grzybowską

GOSPODARKA

74 **Z PAWŁEM SURÓWKĄ**
rozmawiają Marek Siudaj i Maciej Wośko

78 **ZŁOTY TO DOBRA WALUTA**
Janusz Szewczak

SPORT

86 **WIELKI FINISZ STOCHA**
Cezary Kowalski

KUCHNIA

88 **MOJE SMAKI: SŁAWOMIR ŚWIERZYŃSKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

89 **SŁODKO-SŁONY/WINNICA MAZURKA**
Anna Monicka, Robert Mazurek

NA KONIEC

90 **POLITYCY W TOGACH**
Piotr Skwieciński

91 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

92 **MOCIUM PANOM**
Wiktor Świetlik

93 **KWADRYLION DISCO**
Aleksander Nalaskowski

94 **GOŁE BABY PO GODZINACH**
Robert Mazurek

98 **ZASÓB UNIKATOWY**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

eprasa.pl dd70aa56f6

Przed pięcioma laty, 17 stycznia 2013 r. odeszła

ŚP

Jadwiga Kaczyńska

moja i mojego Brata Lecha Mama.
31 grudnia 2017 r. minęła 91. rocznica Jej urodzin.

Była mądrą, dobrą Kobietą, troskliwą Matką, niosła ze sobą i przekazywała innym piękną tradycję polskiej inteligencji, patriotyzmu, uczciwości, zaangażowania w sprawy innych, otwartości wobec ludzi bez względu na ich życiową pozycję, głębokiego przywiązania do rodziny i Kościoła.

Była dla swoich najbliższych, dla mojego Brata i dla mnie, nauczycielem i podporą. Pozostała nią mimo bardzo ciężkiej choroby także w ostatnim okresie życia, po smoleńskiej tragedii. Pozostawiła po sobie najlepszą pamięć i niemożliwą do zapełnienia pustkę.

Msza Święta w piątą rocznicę Jej śmierci zostanie odprawiona 17 stycznia 2018 r. o godz. 19:00 w Bazylice Świętego Krzyża w Warszawie.

Syn Jarosław

Szanownej Pani

ANNIE FOTYDZE

Posłance do Parlamentu Europejskiego,

serdeczne wyrazy współczucia i żalu

z powodu śmierci

OJCA

W imieniu Delegacji Prawa i Sprawiedliwości w Parlamencie Europejskim składa Ryszard Legutko

16/0118/F

Z żalem przyjąłem wiadomość o śmierci

BOGUSŁAWA BANASZAKA

Profesora Nauk Prawnych, cenionego specjalisty z zakresu prawa konstytucyjnego i administracyjnego, wychowawcy wielu pokoleń prawników, Dziekana Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Zielonogórskiego, Sędziego Trybunału Stanu

wyrazy głębokiego współczucianajgłębszego współczucia.

RODZINIE i BLISKIM

składa

MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI PROKURATOR GENERALNY
ZBIGNIEW ZIOBRO

29/0118/F

eprasa.pl dd70aa56f6

Z życia koalicji

Wiecie, dlaczego Krzysztof Szczerski nie został ministrem spraw zagranicznych? Bo odmówił, czym rozsierdził Kaczora – to wersja oficjalnych przecieków. Jest też wersja przecieków mniej oficjalnych. Otóż odmówił, bo nie dostał, czego chciał. „A chciał za dużo" – powiedział nam jeden z najlepiej poinformowanych pisowców. „Za dużo" to miało być stanowisko wicepremiera i realny wpływ na wszystko, co się dzieje w MSZ. Na takie brewerie Nowogrodzka zgodzić się nie mogła. No i Szczerskiemu znów zostaje wpatrywanie się w Trójmorze i biust prezydent Chorwacji.

Na jego miejsce wskoczył za to dotychczasowy wiceminister Jacek Czaputowicz, przez kolegów z opozycji mało oryginalnie zwany Czapą, a w MSZ Chappi. Tenże Czapa (vel Chappi) przez hardkorowych gapolowców uznawany jest za inkarnację Bronisława Geremka, ale jest to Geremek szczególny, bo nie dość, że Czaputowicz trzyma od dawna sztamę z Prezesem, to jeszcze jest cokolwiek nieufny wobec Niemców. W tej sytuacji przewidujemy fotel wiceministra dla Macieja Maleńczuka, autora nieśmiertelnej frazy: „Nie dla mnie przyjaźń polsko-niemiecka, ja Niemców nienawidzę od dziecka".

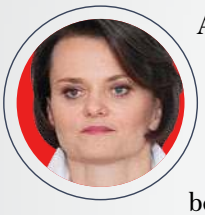

A nasz człowiek, ***Jadźka Emilewicz***, nie została – jako się rzekło – ministrem środowiska (przeważyło to, że nie ma na imię Henryk, choć Jadzia gotowa tu była na ustępstwa), za to na pocieszenie została ministrem MPT. O dziwo, nie będą jej podlegać taksówki, więc dzwoniąc 19191, proszę nie żądać połączenia z panią minister. To jej MPT to jakaś ściema, technologicznie rzecz biorąc blackout.

Pani poseł Beata, po mężu Mazurek, została wicemarszałkiem Sejmu. Jest to pierwszy Mazurek na tym stanowisku i przewidując to, co nas czeka, na długie lata ostatni.

Pierwotnie wicemarszałkowski fotel po Joachimie Brudzińskim oferowano Macierewiczowi, ale Antek, co było do przewidzenia, wzgardził. Z kolei Jojo Brudziński idąc w ministry, zostawił po sobie partię, którą trząsł z Nowogrodzkiej, i przestał być szefem Komitetu Wykonawczego PiS. A prawda, państwo nie wiedzą, co to za komitet. „To taki nasz Sekretariat KC PZPR" – tłumaczył nam ważny pisowiec, którego nie możemy wsypać. Ale po tych historycznych analogiach Prezes i tak pozna który to.

Odejście Jojo przed wyborami samorządowymi to dla PiS spory kłopot, ale jak nas przekonywał pewien marszałek lub wicemarszałek (pamięci do tytulatury nie mamy), codzienną robotę i tak weźmie na siebie jego prawa ręka Krzysztof Sobolewski. Rzeczony Sobolewski charakteryzuje się – cytujemy – „subtelnością Brudzińskiego, tym, że zna absolutnie wszystkich w partii, oraz tym, że wszyscy go lubią". Zwłaszcza ta „subtelność Brudzińskiego" nas urzekła. Zawsze wiedzieliśmy, że pan Joachim to liryczna i delikatna natura.

Nowym szefem komisji finansów w Sejmie został Andrzej Szlachta. A na fejsie mówią, że szlachta nie pracuje.

A prawda, chodzi pewnie o Radziwiłła, który faktycznie już nie pracuje, bo go pan Morawiecki pogonił. Pikanterii temu wydarzeniu dodaje to, że jednym z zaufanych Morawieckiego, który właśnie dostał posadę wiceszefa CIR, jest Mariusz Chłopik, prywatnie zięć Radziwiłła. Co za wstrząsy dla naszego nadętego senatora, nie dość, że musiał przeżyć mezalians córki, to jeszcze takie upokorzenie.

PRZEGLĄD

Mazurka

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl dd70aa5bf6

Z życia opozycji

Opozycja ma rację! Coraz gorzej jest z polską demokracją. Szczerze mówiąc, to kompletny dramat. Jeśli nie tragedia. No bo w normalnym demokratycznym państwie powinna istnieć poważna opozycja. A u nas są tylko jacyś klauni.

O, weźmy to. Po rekonstrukcji rządu partia ***Grzegorza Schetyny*** ogłosiła, że odniosła sukces, bo z rządu odeszli ci ministrowie, których oni chcieli odwołać. Czy oni nie mogliby wynająć jakiegoś zwykłego przechodnia za parę złotych, który by im zawczasu mówił, kiedy strzelają sobie w kolano? Chyba że nienawidzą kolan.

Po zblednięciu gwiazdy Ewy Kopacz, którą zwaliśmy niegdyś Królową Polskiego Kabaretu, wydawało się, że długo nikt nie będzie mógł się z nią mierzyć. Ale szybko pojawił się Ryszard Petru, który nieustępliwie walczy o chichot Polaków. Np. przy okazji debaty w Sejmie o aborcji wypowiedział do dziennikarzy słowa następujące: „Młoda dziewczyna zachodzi w ciążę, jest wyrzucana z domu i co? Ona tę aborcję i tak usunie". Co ten chłopina ma w głowie?

Petru z niewyjaśnionych i niezrozumiałych powodów sądzi, że jest niezbędny na scenie politycznej. I nie może być po prostu zwykłym posłem. Założył zatem coś, co zwie się PLAN PETRU i co jest kompletnie nie wiadomo czym. W dodatku grafik sfuszerował logo tego czegoś. W rezultacie PLAN PETRU czyta się jako PLPE ANTRU. I wiecie co? To jakoś doskonale charakteryzuje Ryśka. Toż to wykapany PLPE ANTRU!

No właśnie – aborcja. Kompromitacja PO i Nowoczesnej godna jest talentu Homera, tak była epicka. Liberalny projekt Nowackiej upadł, choć głosowali za nim choćby Jarosław Kaczyński i Krycha Pawłowicz. A to dlatego, że wielu posłów opozycyjnych nie głosowało wcale. Projekt ustawy miał wykazać, jak zacofany jest PiS, a wykazał, że PO i Nowoczesna to nadają się do burleski, a nie do Sejmu.

Wykazał też, że z demokracją naprawdę nie jest dobrze. W PiS ludzie głosowali rozmaicie, zgodnie z sumieniami i włos im z tego powodu nie spadł. Natomiast PO wywaliła trójkę posłów, którzy byli przeciwko liberalizacji ustawy antyaborcyjnej. Pikanterii dodaje to, że wywalono byłego ministra spraw wewnętrznych Marka Biernackiego (całkiem sensownego człowieka) oraz psiapsiułę HGW z Odnowy w Duchu Świętym. Jak w końcu wywalą Bufetową, to pewnie też za religię, nie za przewały.

Z blamażu aborcyjnego wniosek wyciągnęła też szefowa Nowoczesnej ***Katarzyna Lubnauer***. Co prawda, narzeka ona na zamordyzm PiS, ale wniosek sformułowała tak: „Musimy wprowadzić dyscyplinę, a nie pozwalać posłom samodzielnie decydować". Samodzielne decydowanie? W XXI w.? No przecież nie żyjemy w średniowieczu!

Z pozaparlamentarnych zaświatów sympatycznie zwrócił się do koleżanek i kolegów z PO i Nowoczesnej Włodzimierz Czarzasty. „Jesteście dupkami" – stwierdził lider SLD. Warto zwrócić uwagę, że „dupek" to rzeczownik rodzaju męskiego. W zgodzie z poprawnością polityczną należałoby stwierdzić, że koleżanki z opozycji są co prawda również „dupkami", ale w rodzaju żeńskim – co zmienia nieco sens komunikatu. I wygląda na komplement.

TYGODNIA

Zalewskiego

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Fot. Andrzej Skwarczyński x2, Andrzej Wiktor

eprasa.pl dd70aa56f6

Nieoficjalny przegląd *tygodnia*

Antoni Macierewicz odwołany. Polityka to twarda gra, ale jednak smutno. III RP i jej media tryumfują, mają poczucie, że wieloletnia nagonka ostatecznie się udała. Wielu zwolenników dobrej zmiany musi przełknąć gorzką pigułkę. W sumie niedobry znak na przyszłość. Te metody nie pójdą przecież na śmietnik.

Dlaczego do tego doszło? ***„To była decyzja zespołowa"*** – ocenił prof. Andrzej Zybertowicz. I ma rację. Chciał tego każdy z trzech ośrodków władzy (prezes PiS, prezydent, premier) i każdy musiał się przyłożyć, by zmiana się udała. Każdy miał swoje konkretne powody.

A tak naprawdę to ciąg dalszy nowego etapu. ***Po upadku premier Szydło*** sprawa była właściwie jasna. Odeszli ministrowie, z których zdołano zrobić – słusznie lub nie – wizerunkowy problem. PiS chce być jak Fidesz, czyli rozsiąść się solidnie nie tylko na prawicy, lecz i w centrum. No i wśród klasy średniej.

Swoje odejście Antoni Macierewicz ***skomentował z klasą:*** obiecał pomoc następcy. Mniej klasy wykazali niektórzy jego medialni zwolennicy, którzy postanowili kolejny raz poobrażać prezydenta Dudę. Nie skrytykować, ale właśnie powyzywać. Teraz już wiecie, co na co dzień przeżywają ci, których owe grono uzna np. za swoją konkurencję.

Sama rekonstrukcja trwała do późnej nocy w poniedziałek. Było trochę chaosu, badano reakcję na konkretnych kandydatów. W końcu koperta pojechała do prezydenta. W pałacu najpierw dyskretnie pożegnano odwołanych, a potem w świetle kamer powołano następców. Najdłużej prezydent ściskał dłonie Mariusza Błaszczaka i Joachima Brudzińskiego.

Tego ostatniego w roli wicemarszałka zastąpiła Beata Mazurek. ***Drżyjcie, posłowie opozycji!*** Skoro poseł Mazurek pięknie poradziła sobie z dziennikarskim stadkiem z Sejmu (wyjątkowo rozbrykane towarzystwo), to poradzi sobie z łobuzami z sali plenarnej. A i posłowie PiS powinni uważać.

Premier Morawiecki pojechał do Brukseli rozmawiać z Junckerem. Pierwszy sukces już był: Juncker postarał się, by być w formie, i nie próbował ani obłapywać, ani przytulać naszego szefa rządu, choć ręce latały mu, jak zwykle, bardzo szeroko.

W opozycji rozwałka na całego. Jednych wyrzucają, inni sami się zawieszają. Wszystko w kontekście walki o „prawo do aborcji". Konserwatywna kotwica Platformy gdzieś zaginęła. Nie dziwmy się: Schet snuł takie plany, gdy myślał, że powtórzy drogę Tuska. Dziś wie, że może powtórzyć drogę Leszka Millera. Rozpoczął więc „z góry zaplanowany odwrót" i przygotowuje głębokie lewicowe okopy.

Wśród tych, co się zawiesili w Nowoczesnej, jest ***posłanka Joanna Schmidt.*** Ogłosiła, że dla niej ustawa o zabijaniu to kwestia „wartości". Pół redakcji wybuchło śmiechem. Kobieto, daj już sobie spokój z polityką.

A posłanka Nowoczesnej ***Kornelia Wróblewska*** powiedziała w ogniu tej debaty: „W moim poczuciu nigdy nie uznam, że trzymiesięczny płód nie jest dzieckiem, bo ja przed chwilą urodziłam dziecko. Nikt mi nie powie, że to tylko zlepek komórek". Brawo!

Donald Tusk znów zabrał głos. I znów bredził o PiS, co realizuje moskiewski scenariusz. On naprawdę nie ma wstydu. Ale to też może być podświadomość. On już wie, że dał się Ruskim rozegrać i ograć, i chciałby jakoś to zamazać. Sorry, nie da się, za późno.

SDP ostrzega przed cenzurą w Niemczech. „O tym, co jest lub nie jest »mową nienawiści«, decydują urzędnicy Ministerstwa Sprawiedliwości, a czas reakcji na ewentualne niewłaściwe wpisy jest bardzo krótki" – słusznie alarmują polscy dziennikarze w specjalnym oświadczeniu. Niemcy zawsze, wcześniej czy później, ***dojdą do zamordyzmu.*** Nawet gdy chcą, nie umieją inaczej.

Sygnalista

50/1217/F

eprasa.pl dd70aa56f6

POLSKA I ŁÓDŹ PO WYŚCIGU O EXPO – JAKIE PLANY NA PRZYSZŁOŚĆ?

EXPO 2022
ŁÓDŹ POLSKA

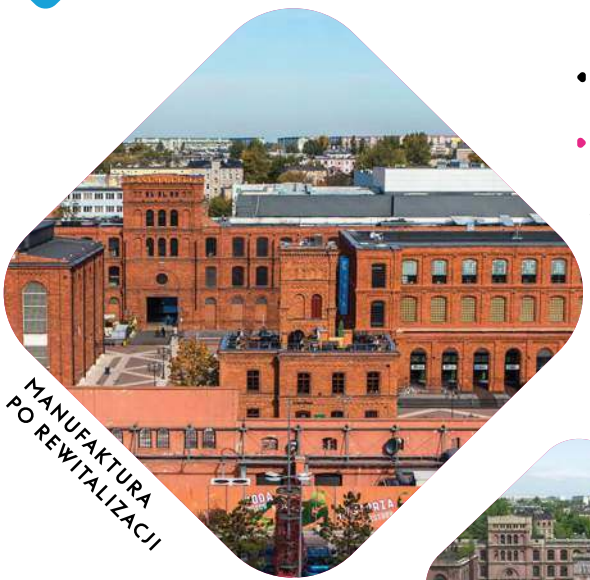

MANUFAKTURA PO REWITALIZACJI

PRZED

Polska i Łódź startowały w rywalizacji o organizację tematycznej wystawy światowej – EXPO 2022 Łódź Polska. W finalnej rozgrywce zabrakło kilku głosów – pokonaliśmy Minneapolis z USA, ale wystawa odbędzie się w Buenos Aires. Przygotowanie koncepcji wystawy oraz udział w rywalizacji to ogrom pracy i wydatków – co zrobić, aby nie były to zmarnowane pieniądze?

– *Oczywiście, że mamy plan* – mówi Hanna Zdanowska, prezydent Łodzi. – *Odważny jak wszystko, co w związku z EXPO robiliśmy do tej pory. Zaplanowaliśmy na EXPO znaczne inwestycje, tak naprawdę zmieniające oblicze miasta. Były one pomyślane tak, by służyły miastu i mieszkańcom także po EXPO albo niezależnie od niego, gdybyśmy nie wygrali. I teraz nasz plan jest taki, że te inwestycje zrealizujemy.*

Zdobytym kapitałem są kontakty i rozpoznawalność miasta w międzynarodowym środowisku opiniotwórczym. Jest to zasługą intensywnej kampanii promocyjnej na skalę niespotykaną w historii Łodzi, a nawet Polski. Kapitałem jest społeczność miasta i regionu – otwarta, znająca języki, wykształcona, a także profesjonalny zespół, który kandydaturę przygotował i zdobył przy tym unikalną w Polsce wiedzę. Jest nim wszystko, co Łódź zrobiła do tej pory – jeden z największych w Europie projektów rewitalizacji przestrzeni miejskiej, którego planowany i częściowo już zrealizowany koszt sięga 2 miliardów euro. Łódź, miasto poprzemysłowe, przywróciła do życia ponad 200 fabryk, kamienic i osiedli, rozpoczęła proces rewitalizacji całych fragmentów miasta. Finalnie rewitalizacja ma objąć 20 proc. powierzchni miasta, a wartość całego projektu to pół miliarda euro. Przykłady rewitalizacji to między innymi:

- znana na całym świecie Manufaktura – jedno z największych w Polsce centrów handlu, usług i rozrywki powstałe na terenie zrewitalizowanych zakładów przemysłowych Izraela Poznańskiego.
- wizytówka miasta – Piotrkowska. Ulica ta jest jednym z najdłuższych deptaków w Europie, o długości ponad 4 km, z zabytkowymi kamienicami przemysłowców i kupców. Mieszczą się w nich najbardziej znane łódzkie galerie, restauracje, kluby muzyczne, pracownie kreatorów mody i architektów.

– *Tak dawny ośrodek tradycyjnego przemysłu zmienia się w nowoczesne, młode, pulsujące życiem miasto* – mówi Piotr Gliński, wicepremier i minister kultury.

Z kolei w Nowym Centrum Łodzi dotychczasowym dokonaniom towarzyszy praca nad przyszłością. Projekt rewitalizacji tkanki miejskiej obejmuje tu 100 hektarów. Już zrewitalizowane zostały budynki zabytkowej elektrociepłowni – EC1, mieszczące Narodowe Centrum Kultury Filmowej oraz Interaktywne Centrum Nauki i Techniki. Nową częścią Centrum jest Łódź Fabryczna – węzeł komunikacyjny nowej generacji, w jednym kompleksie łączący stację kolejową, dworzec autobusowy i przystanek tramwajowy. Teren nad schowanym pod ziemią dworcem, gdzie planowano powstanie „miasteczka EXPO", jest terenem inwestycyjnym – na nim powstanie nowoczesna dzielnica łącząca różne funkcje miejskie.

– *Zwracam się do twórców, naukowców, przemysłowców z Polski i ze wszystkich stron świata: przyłączcie się do nas!* – mówi Hanna Zdanowska. – *Przyjedźcie, zobaczcie, przeczytajcie o nas. Łódź może być naszym wspólnym sukcesem.*

Pieniądze, które rząd zaplanował dla Łodzi na przygotowanie EXPO – 360 milionów złotych – będą w dużej mierze zainwestowane w miasto i region niezależnie od wyników głosowania. Do Łodzi wpłyną też unijne pieniądze na rewitalizację miasta – łącznie będzie to niemal miliard złotych. Z tego zbudowany będzie m.in. tunel średnicowy łączący dworzec Łódź Fabryczna z dworcem Łódź Kaliska.

– *Łódź ma potencjał, który odkrywa Polska, a powinien odkryć świat* – mówi Jerzy Kwieciński, wiceminister rozwoju i pełnomocnik rządu do spraw EXPO. – *Weźmy plany budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego – jakie możliwości rozwoju biznesu otwierają one przed Łodzią! Rozmawiamy także realnie o związanym z Łodzią i z nowym portem lotniczym projekcie hyperloop – superszybkiej kolei. Miał rację nasz noblista Reymont, nazywając Łódź „Ziemią obiecaną".*

Sercem tego potencjału jest społeczność miasta – otwarta, kreatywna, ambitna. Ona wymyśla i tworzy swoje miasto na nowo, tak jak w XIX wieku wymyślili je i stworzyli przemysłowcy i robotnicy czterech zamieszkujących wówczas Łódź kultur.

KREUJE

Opracowanie materiałów współfinansowane ze środków budżetu państwa

eprasa.pl dd70aa56f6

Po owocach

KRZYSZTOF FEUSETTE

To był wspaniały tydzień opozycji. Najpierw okazało się, że sekretarz generalny Platformy Obywatelskiej Stanisław Gawłowski oskarżany jest już nie tylko o przyjmowanie wskazówek wraz z zegarkami oraz wielobanknotowych „kanapek" (głównie z „kapuchą" i „sałatą"), lecz także o to, że „zagrychę" ową zakrapiać miał darowanymi mu za pewne przysługi trunkami.

Jasne, że było to jeszcze w czasach, gdy procentowe poparcie jego partii wahało się między zawartością alkoholu w wódce a zawartością alkoholu w mocnych nalewkach, ale nie umniejszajmy politycznego dorobku pana posła. Po pierwsze, pomógł ludziom w permanentnej potrzebie, wszak „kanapki" robiono mu podobno za utrzymanie na stanowiskach geja przełożonego z gejem podwładnym. Kto nie wie, o co chodzi, niech zapyta aktora Poniedziałka nieprzebierającego ani w słowach, ani w partnerach. Już on niedowiarkom wytłumaczy, czym różni się pozycja szefa od pozycji na szefa i dlaczego on sam nie potrafi znaleźć w sobie obelgi innej niż czteroliterowa na „ch...".

Ale przecież wielkie zasługi dla budowy społeczeństwa obywatelskiego, w którym niezdrowe drożdżówki zastępuje się „kanapkami", położyła również była posłanka PO, jej medialna twarz, by nie rzec: żywy emotikon, Ligia Krajewska. Ile to trzeba mieć samozaparcia, wiedzy o społeczeństwie, ba, wiary we własne umiejętności (czytaj: kontakty), by założyć Fundację, konkretnie Szkoły Społecznej, a potem wyedukować za jej pomocą społeczeństwo tak, że zapamięta tę lekcję na całe życie. A może nawet i wybory. Bo pani Ligia też lubiła alkohol. Ponadto: papierosy, meble, zastawę stołową, sprzęt RTV i AGD, także perfumy (chyba z tych droższych, więc pod alkohol nie podpadają). No i kanapki, choć bez cudzysłowu, gdyż tu chodziło akurat o prawdziwe bułeczki, pewnie z masełkiem i szyneczką. Najważniejsze, że nie za swoje.

Zaraz po ujawnieniu kulinarnych preferencji ważnych działaczy PO z odsieczą ruszyło im kilkoro salonowych publicystów: Zuzanna Ziomecka, była naczelna „Przekroju" (który pod jej władaniem stoczył się w przepaść), oraz jej ojciec, Mariusz. Zaproponowali, by i Polskę przekroić na pół. Nie jest to ich odkrycie, ale wybitnej włoskiej publicystki, Oriany Fallaci, która 11 lat po śmierci ukazała się we śnie pisarce Marii Nurowskiej, mówiąc do niej, iż „Polacy nie dorośli do wolności", więc trzeba ich kraj podzielić na dwie połowy: ciemnogrodzką i zacofaną, czytaj: pisowską, oraz światłą i nowoczesną, czytaj: totalnie opozycyjną platformerską. Czy w tej drugiej walutą byłyby „kanapeczki", tego Nurowska nie wyjaśnia, więc koncepcja jest chyba w powijakach. Ale jest.

Gorzej, że sondaże poparcia partyjnego wskazują, iż coraz trudniej oddzielić tereny pisowskie od terenów platformerskich, gdyż tych drugich, nie licząc wyczyszczonych kamienic w Warszawie oraz trójmiejskich posiadłości prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza, najzwyczajniej nie ma. Po prostu – salon zabrał się do tego za późno. Pozostaje mu zatem aneksja Brukseli, Berlina i Paryża, która jednakowoż może się okazać jeszcze trudniejsza, gdyż miasta te mają już swoich „salonowców" (z Jaśnie Panem, z Którym Pies Tańcował – na czele). Trzeba by zatem dogadać się już na miejscu. Być może rolę tłumaczki przyjmie na siebie ojroposłanka Burza Zdun von Frankenstein, która nie ustaje w pracach nad przyłączeniem polskiego ciemnogrodu do jaśniej oświeconej, muzułmańskiej Europy.

Wszystko to jest dość zagmatwane, choć w istocie – proste jak struktura Michała Boniego, nieustającego z kolei w podziękowaniach dla Jego Ekscelencji Timmermansa za to, że tak uczciwie i z pełnym zaangażowaniem gnębi rodaków Boniego. On sam nigdy nikogo z otwartą przyłbicą nie gnębił, a jak za komuny donosił na kolegów, to przecież nikomu, podobnie jak Bolek Noblysta, nie szkodził. Co najwyżej solidarnościowej reakcji.

Nie może zatem dziwić, że wobec tak niezwykłej aktywności koleżanek i kolegów z totalnej targowicy głos w sprawie Polski zabrał sam Ryszard Petru. Po serii spektakularnych zwycięstw w sondażach partyjnych, w których udało mu się ściągnąć cugle poparcia dla partii Nowoczesnej nieomal poniżej progu wyborczego (bo najłatwiej atakuje się z tylnego rzędu), oznajmił, iż „w historii wielokrotnie udowadniał", że nie jest przywiązany do swego nazwiska w nazwie. I w związku z tym ogłasza „Plan Petru". Bo każdy może wskazać każdego, a on wskazuje siebie.

Plan Petru wywołał na scenie politycznej wielkie zamieszanie. Partia rządząca natychmiast zareagowała rekonstrukcją rządu, w której wyniku wylecieli z niego wszyscy ministrowie wskazywani wcześniej przez pana Ryszarda do odstrzału. Dzień wcześniej niezidentyfikowanym, choć zapewne sympatyzującym z Petru siłom udało się wzniecić pożar w TVP Info, który z kolei zaowocował awaryjnym przeniesieniem programu „W tyle wizji" nie tylko o 40 minut, lecz i do zupełnie innego studia w zupełnie innym miejscu. W końcu pan Ryszard zapowiadał, że „po owocach go zobaczymy". Warto dodać, że prowadzący program już wcześniej martwili się jego przegraną w wyborach na szefa, a potem nawet wiceszefa Nowoczesnej, gdyż bez niego żaden program satyryczny nie może się dziś w Polsce udać. No, chyba że Studio Yayo, zdradziecko zdjęte z anteny po skargach telewidzów, iż ze śmiechu pozrywali sobie boki, a NFZ nie chce tego refundować nikomu poza prowadzącym.

Tak, to był naprawdę udany tydzień totalnej opozycji. Niestety, przewodniczący Komisji Europejskiej popsuł całą zabawę, ogłaszając, iż nie może być mowy o finansowych sankcjach Unii Europejskiej wobec Polski. I znowu nastała ciemność.

eprasa.pl dd70aa56f6

TRENDY I OWĘDY

Hurra! Dadzą nam połowę!

Jest ciekawa propozycja, by podzielić Polskę na dwie części wzdłuż Wisły

Z niewietrzonego salonu michnikowszczyzny przez lufcik wydobywają się opary absurdu. Choćby taka lotna myśl: „A może Polska powinna się podzielić na dwa kraje, by obie strony mogły spokojnie żyć według własnych wartości?”. Co za niespodzianka! Oni nas zauważyli i w swojej dobroci chcą nam nawet podarować pół Polski. Pół z tej Polski, która im się zasadnie cała należy i na której się uwłaszczyli po 1989 r. Pousadzali się nepotycznie we wszystkich instytucjach, stowarzyszeniach, fundacjach, radach nadzorczych, doradztwach, prezesurach, sądach, bankach, zdominowali fuszki artystyczne i medialne... No wszędzie ich pełno, gdzie robota jest czysta i popłatna. Przecież nie pójdą harować do kopalni za grosze. Od tego są ci..., no, ten..., no... ciemnogrodzianie. Na tej ulicy Czerstwej, gdzie płodzą „GW”, wkradła się wręcz filantropia światopoglądowa. Oni chcą nam pozwolić żyć według własnych, naszych wartości. No, cud się stał pewnego razu.

Ryszard Makowski

Po pierwsze, przez gardło im przeszło, że my mamy jakiekolwiek wartości. Po drugie, oficjalnie zrejterowali z wychowywania nas. Nie będą nam już aplikować jedynie słusznych wzorców. Nie będą ex cathedra ubogacać: uchodźcami, związkami partnerskimi, antyklerykalizmem, brzozą pancerną... Cud... Raptem we wzruszenie wkrada się wnerwienie (wersja oficjalna). Zaraz, zaraz... Polskę nam chcą dzielić? Jak się nie podoba, to wynocha do ciepłych krajów, łaskawcy.

KORSUN *chili* KORSUN

Do rysunku wykorzystano fot. Shutterstock

Obserwując, jak Ryszard „król złoty VI” Petru łaskawie podejmuje się „wyzwania”, zakłada stowarzyszenie i przedstawia swój plan 0-letni, aż ciśnie się na struny głosowe hit lat 80. Po dostrojeniu do nowej rzeczywistości utwór leci tak: „Papierowy Petru z księżyca spadł, skończył się wideo Ryś, był i romans (na Maderze), na pewno żart [...] Papierowy plan z choinki spadł, nie żyje król, a nawet sześciu”. I jeszcze jeden wers z hitu Haliny Frąckowiak: „Sch(ety)ną na szybie ślady łez, pora już dograć ten akt”, akt rozpaczy – dodajmy.

Paweł Korsun

Główny strateg Nowoczesnej, który – jak na naczelnego ekonoma i wziętego doradcę finansowego przystało – zgubił 6 mln zł partyjnych dotacji, prywatną karierę też źle rozegrał, a właściwie przegrał z koleżankami. Tak na marginesie, to utalentowany pan mąż jednej z nich pogrzebał te 6 baniek (a przy tym założyciela Nowoczesnej), myląc cyferki. Nie ma co, dream team, a szczególnie dream o tym, by się dorwać do władzy. Tylko po co? Niby w jaki sposób „ta aktywność może przyczynić się Polsce” – jak to ostatnio ogłosił zbawca Petru. Kiedy 5 (mln) osób mówi, że się nie nadajesz do rządzenia, to nie traktuj ich jak 6 mld much, i idź(cie) na odwyk od marzeń o kierowaniu krajem, bo to znacznie trudniejsze niż wypełnienie odpowiedniej rubryki. Ze znaną tylko sobie frazeologią „nowoCzesiek” zapowiedział, że „zobaczymy” ich po owocach. Tych zgniłych.

eprasa.pl dd70aa56f6

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

W imieniu Rzeczypospolitej

Jan Pietrzak

Dedykowane nadzwyczajnej kaście wspomnienie z sali sądowej w Katowicach. Lata 90. ubiegłego wieku

W imieniu Rzeczypospolitej rozprawa zakończona.
Sąd uniewinnił troglodytów spod znaku Ślepowrona.
Tych, co strzelali do górników, by zabić serce Śląska,
sąd uniewinnił w Katowicach – dziś usłyszała Polska.
Refren: Mijają lata jak obłoki,
sąd woli nie pamiętać
o zapłakanych familokach,
niedoczekanych świętach...
Mijają lata, rosną dzieci
tych, którzy tam zginęli,
broniąc godności w podłym świecie
i wiary w sens nadziei...

Był grudzień '81, czas smutny, niegodziwy.
Strach dławił myśli, wyła bieda, gnił ustrój robaczywy.
Zomole tępe i zajadłe święciły podły triumf,
strzelając, bijąc gdzie popadnie, szalejąc w swoim stylu.
Refren: Mijają lata jak obłoki, sąd woli nie pamiętać...
Rzeczpospolita dziś łaskawa dla ślepowroniej szajki,
bo niby mamy państwo prawa i tym podobne bajki.
Zwyczajna ludzka sprawiedliwość tu jeszcze nie istnieje.
Dobro nie różni się od złego i sąd się z ofiar śmieje...
Refren: Mijają lata jak obłoki, sąd woli nie pamiętać...

Taki team

Z Grzegorzem Małeckim rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Mężczyźni wolą blondynki?

Grzegorz Małecki: Cóż mogę na to odpowiedzieć. Mój bohater wybrał „Blondynkę".

A wraz z nią pozytywną energię i trochę lokalnego klimatu?

Myślę, że ten serial jest w stanie zaspokoić potrzeby widzów zarówno 15-, jak i 80-letnich. Takich, którzy szukają na ekranie swojskiego chilloutu.

Serialowy kompozytor znalazł na Podlasiu wytchnienie od miejskiego zgiełku. A pan?

Białostocczyzna, Podlasie są moim wielkim odkryciem. Do tego stopnia, że po skończeniu zdjęć zostałem jeszcze kilkanaście dni w Puszczy Knyszyńskiej. Znalazłem miejsce zupełnie odcięte od świata, do którego ściągnąłem jeszcze moje dzieci. Były to jedne z piękniejszych wakacji, jakie miałem w ostatnich latach. Pomyślałem wtedy, że w przyszłości, jeśli więcej zarobię, i jak Bóg da, chciałbym tam znaleźć własne miejsce.

Tymczasem możemy pana oglądać m.in. na scenie Teatru TV. 12 stycznia pierwsza premiera 2018 r.: „Biesiada u hrabiny Kotłubaj". Czego możemy się spodziewać?

Po pierwsze, to Gombrowicz. I jego groteskowa społeczna diagnoza. Po drugie, aktorski skład: Anna Polony, Barbara Krafftówna, Bohdan Łazuka, Piotrek Adamczyk i ja. Z takim teamem góry można przenosić. Do tego reżyseria Roberta Glińskiego. I jeszcze: zdjęcia Arkadiusza Tomiaka, i oprawa [m.in. kostiumy Zofii de Ines – przyp. red.]. Mam więc wrażenie: sukces murowany.

Fot. Kurnikowski/AKPA

eprasa.pl dd70aa56f6

BRONISŁAW WILDSTEIN

Euroobsesja

Wspólna waluta okazuje się katastrofą dla krajów słabszych gospodarczo, a dla silniejszych – rodzajem narkotyku, który dopiero w dłuższej perspektywie ujawni swoje fatalne skutki

Nowy rok „Rzeczpospolita" zainicjowała listem-apelem grupy ekonomistów (i swoim) do premiera Morawieckiego o działanie w kierunku „wejścia Polski do strefy euro". Sprawę uznają za „niecierpiącą zwłoki".

Argumentów ekonomicznych właściwie w nim nie ma. Sygnatariusze piszą, że „wbrew obawom sprzed kilku lat strefa wspólnej waluty nie rozpadła się. Wręcz przeciwnie, wyszła z kryzysu wzmocniona". Nie informują, na czym opierają to drugie stwierdzenie. Akurat kraje europejskie, które nie należą do eurozony, rozwijają się dynamiczniej niż jej członkowie. Wprawdzie Niemcy funkcjonują w niej szczególnie dobrze, ale to nie powinno zachęcać nowych państw do wspólnej waluty, dzięki której potężna gospodarka naszych sąsiadów bez trudu wygra konkurencję ze słabszymi. Natomiast kraje euro, które najbardziej ucierpiały na kryzysie, dotąd nie wróciły do stanu wcześniejszego. Dotyczy to parametrów ekonomicznych Hiszpanii, Portugalii czy Włoch. Przykład Grecji jest wyjątkowym dowodem na to, do jakiej katastrofy prowadzić może wspólna waluta krajów o tak zróżnicowanym potencjale jak w UE. Jednorazowa, solidna dewaluacja własnego pieniądza byłaby nieprzyjemnym, ale ozdrowieńczym wstrząsem, a Grecja mogłaby zacząć na nowo być konkurencyjna i zacząć się rozwijać. Restrykcyjna kuracja, którą zamiast tego pod europejskim nadzorem przeprowadza ten kraj, zredukowała jej PKB do 75 proc. stanu sprzed kryzysu, bezrobocie nadal przekracza 21 proc., a dług sytuuje się ok. 180 proc. PKB. Ratowanie tego kraju okazało się pompowaniem pieniędzy we francuskie i w niemieckie banki, które na kryzysie nie wyszły wcale tak źle.

Czym okazał się europejski pieniądz, doskonale wyjaśnia wydana w 2016 r. książka Stefana Kawalca i Ernesta Pytlarczyka „Paradoks euro. Jak wyjść z pułapki wspólnej waluty". Niezwykle przejrzysta, precyzyjna i oparta na ogromnej masie materiału empirycznego nie pozostawia złudzeń. Wspólna waluta okazuje się katastrofą dla krajów słabszych gospodarczo, a dla silniejszych – rodzajem narkotyku, który dopiero w dłuższej perspektywie ujawni swoje fatalne skutki. Pisze na ten temat coraz więcej autorów, również z Niemiec. Odnotowywałem w tym miejscu choćby ciekawą książkę „Niemcy na kozetkę" Hansa-Olafa Henkela i Joachima Starbattego. Można do tego dodać pozycję Thila Sarazina „Europa nie potrzebuje euro" i inne.

Rzecznicy euro nie wysuwają merytorycznych argumentów. Słyszymy, że razem będziemy silniejsi (my, czyli kto?), że to wielki projekt itp. Podobnie motywują sygnatariusze apel w „Rzeczpospolitej". Czytamy tam o „śmiałym strategicznym projekcie, który na powrót ma szansę połączyć Polaków". Czy na pewno? Dodatkowo dowiadujemy się, że tylko w ten sposób możemy „mieć realny wpływ na przyszłość kontynentu".

Kawalec i Pytlarczyk pokazują, jak bardzo niemerytoryczne są tego typu uzasadnienia. Wpływ na przyszłość kontynentu zależy od naszej siły. Przystąpienie do euro ją ogranicza.

Mocna teza autorów apelu, że „albo w przyszłości będziemy w strefie euro, albo w strefie wpływów Rosji", nie ma żadnego rzeczowego uzasadnienia. Czy kraje skandynawskie, które odmawiają przyjęcia euro, przesuwają się w kierunku Moskwy?

Niektórym spośród sygnatariuszy listu zmieniła się radykalnie perspektywa. Najbardziej uderza to w wypadku prof. Marka Belki. Jeszcze pod koniec 2015 r. wzywał on, aby nie śpieszyć się do euro. Stwierdzał, że z perspektywy stabilności ekonomicznej nasza sytuacja jest lepsza niż w eurozonie. Sformułował również swoiste kryteria, których spełnienie stwarzałoby dopiero warunki uzasadniające aspirowanie Polski do europejskiej waluty. Jednym z nich byłaby konkurencyjność na poziomie Szwajcarii. Rozumiem, że Belka jest entuzjastą PiS, ale stwierdzenie, że po dwóch latach rządów tej partii osiągnęliśmy taki skok, to chyba przesada.

Stworzenie euro było ostentacyjnym aktem inżynierii politycznej, uznaniem, że ekonomia musi postąpić za polityczną wolą. Twórcy wspólnej waluty nie ukrywali tego podejścia. Lekceważyli normy gospodarcze, choćby zasadę optymalnej strefy walutowej. Efekty kazały czekać na siebie tylko 10 lat.

Co jest więc prawdziwym motywem apelu w „Rzeczpospolitej"?

Fot. Andrzej Wiktor

OGNIEM NA WPROST

Chłopaki z tamtych lat

W podrubryce „z życia uchodźców" kolejne badanie. Tym razem przeprowadzone u naszego sąsiada zza Odry. Obala ono popularny w UE stereotyp, jakoby imigranci mieli wzmocnić europejską gospodarkę i pójść do pracy w nowej ojczyźnie. Już w połowie 2017 r. prawie 600 tys. uchodźców zdolnych do pracy pobierało zasiłek dla bezrobotnych. Co stanowiło wzrost o ponad 250 tys. osób w porównaniu z 2016 r. – poinformował Gerd Landsberg, przewodniczący Związku Niemieckich Miast i Gmin. Teraz Federalny Urząd ds. Migracji i Uchodźców (BAMF) ujawnił najświeższe, jeszcze bardziej szokujące dane. Otóż mimo specjalnych kursów dla przybyszów z Południa, ponad 80 proc. ich uczestników nie jest w stanie nauczyć się języka niemieckiego w stopniu umożliwiających podjęcie nawet najprostszych prac. W tej ponurej statystyce prym wiodą byli mieszkańcy Erytrei i Iraku. Dodatkowo wyszło na jaw, że w Niemczech mieszka ok. 7,5 mln funkcjonalnych analfabetów, czyli ludzi mających realny problem z rozpoznawaniem liter, składaniem ich w słowa i budowaniem zdań. Kiedy do badań wzięła się grupa naukowców pod kierownictwem uznanego kryminologa Christiana Pfeiffera, okazało się, że za pogorszenie bezpieczeństwa w Niemczech odpowiadają w 92,1 proc. uchodźcy. Tu z kolei na czoło wysuwają się mieszkańcy Maroka, Algierii i Tunezji. W związku z tym badacze podsunęli pomysł, aby pełnym frustracji imigrantom sprowadzać rodziny, wtedy się uspokoją i nie będą napastować Niemek. Proponuję lepsze rozwiązanie – przyznać jurnym młodzieńcom z Południa specjalny dodatek do zasiłku w formie talonów, by mogli korzystać z usług tzw. panien zawodowo lekkomyślnych. Per saldo wyjdzie taniej.

Imam ze Stowarzyszenia Jedności Muzułmańskiej Arkadiusz Miernik wyzwał ks. dr. Dariusza Oko na pojedynek. „Ubita ziemia" miała się znaleźć w studiu portalu Wp.pl. Powodem, dla którego imam Miernik chciał wziąć na cel katolickiego duchownego, była jego wypowiedź dla „Warszawskiej Gazety". Ks. Oko stwierdził w niej m.in., że „islam jest, był i będzie pełen przemocy i gwałtu, ponieważ życie Mahometa było pełne przemocy i gwałtu, a on to samo – w imię Allaha – nakazał czynić swoim wyznawcom. I to pod groźbą utraty zbawienia". Po czym dodał: „Wiele osób myśli, że był on podobny do Pana Jezusa. To absurd. Mahomet nie jest drugim Jezusem, ale jest jakby anty-Jezusem, a Koran jest jakby anty-Ewangelią. [...] Mahomet wraz ze swoim wyznawcami seryjnie dopuszczał się mordów i gwałtów na tysiącach mężczyzn i kobiet. Potrafił jednego dnia wymordować całe plemię żydowskie, zabił wtedy 800 mężczyzn, a ich kobiety rozdał lub sprzedał jako niewolnice seksualne. Dla siebie wziął jedną piątą z nich, w tym najładniejszą. Taki mały holocaust, pierwowzór wielkiego". „Słowa pana Oko opierają się na emocjach, nie są merytoryczne" – ripostował imam Arkadiusz, proponując dyskusję na argumenty twarzą w twarz. Ksiądz podniósł rzuconą rękawicę, ale muzułmanin do studia nie przyjechał. Widać w ostatniej chwili przypomniała mu się stara arabska maksyma: Zanim zdecydujesz się na jakiś krok, sprawdź, czy posiadasz nogi.

W ubiegłym tygodniu swoje 97. urodziny obchodził ostatni z żyjących 316 cichociemnych – kpt. Aleksander Tarnawski, pseudonimy wojenne Upłaz i Wierch. Został zrzucony niedaleko Góry Kalwarii nocą z 16 na 17 kwietnia 1944 r. w ramach operacji „Weller 12". Swój jubileusz obchodził jak na „specjalsa" przystało: w gliwickich koszarach jednostki komandosów „Agat". Kultywuje ona tradycje tej formacji, której przeszkoleni w Wielkiej Brytanii żołnierze lądowali na spadochronach w okupowanej Polsce. Kpt. Aleksander Tarnawski od lat poświęca się propagowaniu patriotycznych tradycji, szczególnie wśród młodzieży. Swoje wojenne dzieje opisał w książce „Ostatni". 7 września 2014 r., w wieku 93 lat, wykonał w tandemie z żołnierzem jednostki GROM kolejny skok ze spadochronem. Jest honorowym kombatantem tej jednostki, dziedziczącej także tradycje i obyczaje cichociemnych. „Zostałem cichociemnym, ponieważ miałem dość siedzenia i czekania, bezczynnego patrzenia na wojenną zawieruchę. Cieszę się, że teraz możemy żyć w pokoju" – powiedział w dniu swoich urodzin, po czym udał się na strzelnicę, by w towarzystwie swoich następców z „Agata" postrzelać sobie z ręcznego karabinu maszynowego. Widać, że „chłopaki z tamtych lat" przed setką nie pękają. Czas na jakiś awansik, panie prezydencie.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl dd70aa56f6

Cichy zabójca

Marta Kaczyńska

Antykoncepcja hormonalna od wielu lat stanowi jedną z najbardziej popularnych metod zapobiegania ciąży. Mnogość dostępnych na rynku pigułek, a także łatwość, z jaką można otrzymać receptę na nie, powoduje, że w praktyce wiele kobiet traktuje suplementację hormonalną jako całkowicie bezpieczny i oczywisty sposób na kontrolowane unikanie potomstwa. Stosowanie preparatów zawierających estrogeny zaburza naturalną równowagę hormonalną, czego skutkiem jest powstrzymanie owulacji, ale nie tylko.

Niedługo po wprowadzeniu tabletek antykoncepcyjnych, a więc już w latach 60. ubiegłego wieku, stwierdzono związek między stosowaniem doustnej antykoncepcji a zachorowalnością na zakrzepicę. Schorzenie to polega na powstawianiu w świetle naczynia krwionośnego zakrzepliny, która ogranicza przepływ krwi, a po dotarciu do serca, płuc może spowodować zgon. Zakrzepica może przez długi czas przebiegać bezobjawowo lub ograniczać się do generowania uczucia ciężkich nóg, obrzęków w okolicach kostek i zmian na skórze. Zignorowanie symptomów choroby może być śmiertelne. Ulotki preparatów hormonalnych ostrzegają przed możliwymi skutkami ubocznymi ich stosowania – a w szczególności przed zakrzepicą – jednak biorąc pod uwagę powszechność przyjmowania hormonów, wydaje się, że znaczna część kobiet ignoruje niebezpieczeństwo, na jakie się naraża, zażywając nieprzerwanie, nawet przez długie lata, wspomniane środki.

Znaczna część kobiet ignoruje niebezpieczeństwo, na jakie się naraża, zażywając nieprzerwanie preparaty hormonalne

Według ogólnie dostępnych danych stosowanie antykoncepcji hormonalnej zwiększa ryzyko zachorowania na zakrzepicę od dwóch do sześciu razy częściej w porównaniu z kobietami nieprzyjmującymi takich środków. Naukowcy twierdzą też, że liczba przedwczesnych zgonów w wyniku powikłań układu sercowo-naczyniowego związanych ze stosowaniem doustnych leków hormonalnych w antykoncepcji w grupie osób o małym ryzyku zakrzepicy (osoby niepalące, w wieku 20–24 lat) wynosi 2–6 mln rocznie. Liczba ta zwiększa się do 100–200 mln rocznie u osób starszych i palących. Ryzyko zachorowania na zakrzepicę wzrasta drastycznie, jeżeli w DNA kobiety występują genetyczne predyspozycje do rozwoju zakrzepicy. Stosowanie antykoncepcji hormonalnej w obecności mutacji typu Leiden w genie F5 w układzie heterozygotycznym powoduje zwiększenie ryzyka wystąpienia tej groźnej choroby 28–35 razy częściej niż u kobiet bez obciążeń genetycznych. U pacjentek, u których obie odmiany wskazanego genu są zmutowane, ryzyko to jest ponadstukrotnie wyższe.

W przypadku stosowania antykoncepcji hormonalnej i obecności mutacji w genie F2 ryzyko zachorowania na zakrzepicę jest około 16 razy większe niż u kobiet, w których genach mutacja ta nie występuje. Ogromne niebezpieczeństwo, które grozi kobietom mającym opisane mutacje, często pozostaje nieujawnione. Nadkrzepliwość bowiem przez długi czas może nie dawać żadnych objawów, a kobiety pozostają nieświadome swojego schorzenia. Sposobem na ograniczenie ryzyka jest wykonywanie badań genetycznych przed podjęciem decyzji o stosowaniu antykoncepcji, a najbezpieczniejszym rozwiązaniem pozostaje rezygnacja z przyjmowania hormonów.

Z przedstawionych danych wynika jednoznacznie, że zażywanie estrogenów jest ryzykowne niezależnie od tego, czy decyduje się na to zdrowa osoba, czy obciążona skłonnością do nadmiernej krzepliwości krwi. Wbrew temu, co twierdzą zwolennicy antykoncepcji hormonalnej, wcale nie zapewnia ona poczucia bezpieczeństwa.

Z wielkim żalem przyjęliśmy wiadomość,
że 9 stycznia 2018 roku
zmarł nagle
profesor nauk prawnych
sędzia Trybunału Stanu,
wybitny konstytucjonalista, ceniony nauczyciel akademicki

ŚP.

BOGUSŁAW BANASZAK

Rodzinie i bliskim składamy
wyrazy głębokiego współczucia

Prezes i sędziowie
Trybunału Konstytucyjnego

25/0118/F

eprasa.pl dd70aa56f6

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

#MeToo 2?

Inżynier James Damore, który w sierpniu został zwolniony z Google za napisanie notatki sugerującej, że kobiety są mniej zainteresowane technologiami z powodów biologicznych, złożył pozew przeciwko byłemu pracodawcy. Damore wraz z kolegą zarzucają firmie Google dyskryminację białych mężczyzn rasy kaukaskiej o konserwatywnych poglądach. No to szykuje się na nowe „MeToo". Z tą różnicą, że teraz bohaterami będą biali mężczyźni niszczeni przez heterofobów, multikulti, polityczną poprawność i feminizm.

250 tys.

szacunkowo tyle zezwoleń na pracę dla cudzoziemców ze wszystkich państw trzecich (spoza UE) zostało wydanych w 2017 r. pracodawcom przez wojewodów.

4 proc.

o tyle wzrośnie w 2018 r. PKB Polski według Banku Światowego. Wcześniej BŚ szacował wzrost polskiego PKB na 3,6 proc.

928 m

taką wysokość ma mieć nowy najwyższy wieżowiec świata. Dubai Creek Tower ma być gotowy w 2020 r. Wtedy stanie się najwyższą budowlą na świecie. Obecnie ten tytuł należy do wieżowca Burdż Chalifa, który mierzy 828 m.

Rasistowska kampania

Natomiast mocno przegięło przedsiębiorstwo odzieżowe H&M, które wywołało skandal pewnym zdjęciem. Chodzi o fotografię czarnoskórego chłopca ubranego w bluzę z napisem „Najfajniejsza małpa w dżungli". Bluzę z kapturem, o której mowa, nadal można w sklepach tej sieci kupić, ale nie reklamuje jej już czarnoskóry chłopiec. H&M przeprosiło i poinformowało, że zdjęcie, które wywołało burzę, usunięto ze wszystkich kanałów firmy w internecie. W ramach zadośćuczynienia autor reklamy powinien wystąpić na zdjęciu w bluzie z nadrukiem „Największy idiota w branży".

Mowa nienawiści

Wybuchł skandal wokół wyboru nowego rzecznika partii prezydenta Francji Emmanuela Macrona. Został nim młody działacz pochodzenia algierskiego Rayan Nezzar, który wychował się w podparyskim imigranckim getcie. Media ujawniły, że w przeszłości regularnie znieważał on w sieci prawicowych polityków i dziennikarzy, nie przebierając w najgorszych obelgach. Nezzar przeprosił za „błędy młodości" i usunął z portali społecznościowych ponad 5 tys. kompromitujących go wpisów. Jaki prezydent, taki rzecznik. A postępowa Europa chętnie walczy z mową nienawiści. Ale tylko w jedną stronę.

eprasa.pl dd70aa56f6

W imię postępu

Aktorka Sarah Michelle Gellar zabrała pięcioletniego synka Rocky'ego na manicure, a wizytę zrelacjonowała na Instastory. „Teraz pasujemy do siebie" – podpisała zdjęcie, na którym chłopiec ma pomalowane na czarno paznokcie, identycznie jak jego mama. To może jeszcze do kompletu wspólna depilacja woskiem? Jak szaleć, to szaleć. W imię postępu oczywiście.

»Planu Petru« nie wymyśliłem ja, tylko osoby z Nowoczesnej. [...] Ja bym na to nawet nie wpadł" – zdradził Ryszard Petru z rozbrajającą szczerością w TVN24. Skoro „Planu Petru" nie wymyślił Petru, to kto w takim razie wymyślił Nowoczesną Petru? Balcerowicz?

Zbadali bąki

Naukowcy zabrali się właśnie na poważnie do gazów jelitowych. Jak informuje „Focus", „w opublikowanej przez Nature Electronics pracy para naukowców opisuje elektroniczne urządzenie wielkości kapsułki leku, które może mierzyć poziomy i rodzaje gazów wewnątrz ludzkiego organizmu". Wewnątrz kapsułki znajduje się mikrokomputer, czujnik temperatury, źródło zasilania i miniaturowy nadajnik radiowy. Po połknięciu kapsułki czujniki badają obecność tlenu, wodoru i dwutlenku węgla w przewodzie pokarmowym. Analiza danych zebranych w ten sposób pozwala ustalić, jakie pokarmy lub mikroby są odpowiedzialne za nadmiar gazów. Hurra! Ludzkość niedługo wyeliminuje puszczanie bąków. Postęp jednak istnieje!

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x4), mat. prasowe

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Co oczy widziały

Dominik Zdort

Na swojej drodze dziennikarskiej spotkałem pewnego redaktora. Pracowaliśmy parę lat razem, okazał się – co niekoniecznie jest normą w naszej branży – człowiekiem wielkiej kultury, sympatycznym, uczciwym i po prostu porządnym. Był o jedno polityczne pokolenie ode mnie starszy i nie było tajemnicą, że w czasach, kiedy rzucaliśmy kamieniami w zomowców, on stał nie tam, gdzie my, a kiedy u schyłku PRL reaktywowaliśmy – początkowo podziemny – NZS, on był od dobrych kilku lat członkiem zupełnie innej, całkiem nadziemnej organizacji.

W czasach wolnej Polski ów redaktor przeszedł ideową przemianę, po latach znajomości nie mam wątpliwości, że autentyczną. Jednak to, gdzie był w przeszłości, pozostało chyba zadrą w jego sumieniu – proszony o pisanie tekstów odnoszących się do czasów Polski Ludowej odmawiał, nie ukrywając, że akurat człowiekowi z jego biografią nie wypada.

Przypominam sobie tego redaktora zawsze, gdy widzę posła Stanisława Piotrowicza, prokuratora z czasów PRL. Nie chodzi o to, że nie wierzę w jego przemianę – ale samo to, że w czasach Jaruzelskiego był tam, gdzie był, powinien go skłaniać do tego, aby nie pchać się na świecznik. Bo – będąc dziś twarzą reformy wymiaru sprawiedliwości – szkodzi tej sprawie i swojemu obozowi. Brakuje mu tej pięknej powściągliwości, którą ceniłem u wspomnianego na wstępie redaktora.

Ale nie Piotrowicz ma być bohaterem tego tekstu, lecz Jerzy Owsiak. Ostatnio opowiedział, że ktoś mu przekazał na aukcję trzy klasery znaczków wydanych przez podziemną „Solidarność", i narzekał, iż zmienia mu się historię, którą „widział na własne oczy".

Owsiak jako obrońca tradycji „Solidarności" to chichot historii taki sam jak Piotrowicz. Warto przypominać to wszystkim młodym, którzy tej najnowszej historii nie widzieli na własne oczy. Jerzy Owsiak w ostatnich latach PRL był już dojrzałym człowiekiem. Otrzymał własną audycję na falach państwowej Rozgłośni Harcerskiej i prowadził działania w dziwny sposób wpisujące się w politykę osłabiania demokratycznej opozycji. Gdy „Solidarność" i NZS walczyły o legalizację, on zakładał fikcyjne Towarzystwo Przyjaźni Chińskich Ręczników. Gdy Polacy demonstrowali, domagając się uwolnienia więźniów politycznych, Owsiak rzucał hasło „Uwolnić słonia!".

I nie byłoby warto może o tym wspominać, gdyby dziś panu Jerzemu nie zabrakło powściągliwości.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl dd70aa56f6

Szanowni Państwo, dziękujemy za wszystkie listy i zachęcamy do korespondencji: redakcja@fratria.pl, lub tradycyjnie: Redakcja tygodnika „Sieci", ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa

List otwarty w sprawie wolności słowa w Niemczech

Od początku 2018 r. w Niemczech obowiązuje nowe prawo, które ma rzekomo przyczynić się do walki z mową nienawiści. Zgodnie z nim administratorzy znaczących portali społecznościowych będą musieli płacić horrendalnie wysokie kary, do 50 mln euro, za brak szybkiej reakcji na wpisy uznane za hejterskie. O tym, co jest, a co nie jest przejawem mowy nienawiści, oraz o tym, czy dany wpis usunięto odpowiednio szybko, decyduje kilkudziesięcioosobowa grupa urzędników niemieckiego ministerstwa sprawiedliwości. Dodatkowo niemiecki resort sprawiedliwości umieścił na swoich stronach internetowych formularz pozwalający na szybkie zgłoszenie przez użytkowników treści uznawanych za niepoprawne.

Stanowczo protestujemy przeciwko takim rozwiązaniom. To drastyczna forma naruszenia wolności słowa i ekspresji, niespotykana dotąd w cywilizowanych państwach. Trudno nie dostrzec, że taka forma działania – grupa podległych rządowi urzędników, którzy decydują o tym, które treści są słuszne, i mają prawo nakładać wysokie kary – przypomina klasyczną instytucję cenzury represyjnej. Może ona mieć też tzw. efekt mrożący dla przebiegu debaty publicznej: wiedząc o karach, uczestnicy dyskusji będą świadomie rezygnować z wyrażania swoich myśli.

Z najwyższym niepokojem obserwujemy proces niszczenia wolności debaty publicznej w Niemczech i przyjmowanie rozwiązań typowych dla państw autorytarnych i nieliberalnych. Wolność słowa jest fundamentem i zasadą współczesnej demokracji. Jednocześnie wyrażamy solidarność z niemieckimi kolegami, dziennikarzami i blogerami, którym państwo niemieckie postanowiło odebrać prawo do swobody wyrażania myśli. Z najwyższym zdumieniem też przyjmujemy do wiadomości osobliwy fakt, że tak drastyczne i niebywałe ograniczenie wolności słowa nie spotkało się dotąd z właściwą i proporcjonalną reakcją różnych europejskich instytucji. [...]

Warszawa, 10 stycznia 2018 r.

Krzysztof Skowroński, prezes SDP, Jolanta Hajdasz, Witold Gadowski, Paweł Lisicki, Tomasz Sakiewicz, Michał Karnowski, Bronisław Wildstein, Dorota Kania, Piotr Semka, Jadwiga Chmielowska, Jan Pospieszalski, Aleksandra Rybińska, Michał Rachoń, Stefan Truszczyński, Wiktor Świetlik, Rafał Ziemkiewicz, Piotr Gabryel, Mariusz Pilis, Andrzej Potocki, Andrzej Bogatko, Piotr Gociek, Łukasz Warzecha, Aleksander Wierzejski, Łukasz Jankowski, Antoni Opaliński

SIECI
ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: PIOTR SKWIECIŃSKI
E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, PAWEŁ KORSUN, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, ROBERT MAZUREK, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ANNA SARZYŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, IGOR ZALEWSKI, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL, ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, MATEUSZ ŻELNIK, MATEUSZ.ZELNIK@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna
WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO: TEL. (22) 616 15 70, WWW.WSIECIPRAWDY.PL, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKŁAD: 123 140 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU: KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY: REKLAMA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
TOMASZ DĄBROWSKI, TOMASZ.DABROWSKI@FRATRIA.PL
PAULINA KĄKOL – MENEDŻER DS. REKLAMY PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – MENEDŻER DS. REKLAMY WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW.
COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).

PBC Polskie Badania Czytelnictwa
NAKŁAD KONTROLOWANY

NA OKŁADCE: JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, JULITA SZEWCZYK, ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER, ANDRZEJ WIKTOR, ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, SHUTTERSTOCK (x3)

eprasa.pl dd70aa56f6

RZECZY POSPOLITE

Autostrada Wolności

Tomasz Łysiak

Za każdym razem, gdy opozycja spod znaku Petru czy Schetyny zrobi coś bezdennie głupiego, już mi się zdaje, że bardziej nie można. I za każdym razem przekonuję się, że owszem jak najbardziej można. Nie dość, że rekonstrukcja rządu stanowi cios w opozycję, bo wytrąca jej z rąk liczne argumenty (abstrahuję tutaj od usunięcia z urzędu Antoniego Macierewicza, gdyż uważam tę decyzję za złą), to jeszcze tuż po tym liderki i liderzy opozycyjni sami sobie strzelają ośmieszające samobóje. Jak w słynnej, niezapomnianej scenie boiskowej, kiedy bramkarz GKS Jojko tak wyrzucał piłkę kolegom, że wrzucił ją sobie do bramki.

Oto Grzegorz Schetyna najpierw zaczął bredzić o mającej nadejść „wojnie domowej", a potem o rekonstrukcji gabinetu cieni. A zaraz potem PO wraz z Nowoczesną wspólnie uwaliły skierowanie obywatelskiej ustawy do prac w komisji. Ustawy, która w zamierzeniach autorów miałaby zmiękczać prawo aborcyjne. Stało się to tuż po nagłaśnianym wszem wobec objęciu przez Myszkę Agresorkę funkcji szefowej klubu.

Właściwie w tym miejscu można by jedynie leżeć i kwiczeć ze śmiechu, a także cieszyć się z tego, że te błazenady i porażki partii opozycyjnych powodują, iż PiS nawet nie ma z kim walczyć. Jednak równie dobrze może ta równia pochyła doprowadzić opozycję do takiego stanu, w którym nastąpi jakieś otrząśnięcie się i zwarcie szeregów. Dlatego wcale temu nie kibicuję. Uważam, że rozbicie politycznie poprawnego obozu na dwie, trzy wzajemnie się gryzące partie jest dla Polski zbawienne. I rysuje perspektywę kolejnej kadencji Zjednoczonej Prawicy, w której ciągle obciążające naszą ojczyznę złogi postpeerelowskie zostaną w końcu oczyszczone. Oby zostało, jak jest. Prawdziwe zagrożenie jest gdzie indziej. Siedzi teraz w Brukseli. Czasem dla jaj harata w gałę ze swoim psem. I pomaga obracać w stronę własnej ojczyzny naprawdę silne działa. Wymalowane na niebiesko. Może wrócić, jako zbawca, prosto z Berlina pędząc do Warszawy autostradą, którą kiedyś Bronisław Komorowski nazwał Autostradą Wolności.

Pani minister

ANNIE FOTYDZE

z powodu śmierci

OJCA

wyrazy współczucia i żalu

składają

Przyjaciele z Fratrii sp. z o.o.

Pani minister

ANNIE FOTYDZE

z powodu śmierci

OJCA

wyrazy współczucia i żalu

składa

Senator RP Grzegorz Bierecki

eprasa.pl dd70aa56f6

eprasa.pl rid70aa56f6

Polska jest wschodzącą potęgą

Atakowaliby was, gdybyście byli słabi? Jednym ze znaków rozpoznawczych wschodzącej potęgi jest to, że schodzące potęgi wytaczają przeciwko niej najcięższe działa

Z George'em Friedmanem, założycielem i byłym dyrektorem agencji Stratfor, wydawcą pisma „Geopolitical Futures", rozmawia Aleksandra Rybińska

Podczas Europejskiego Forum Nowych Idei w październiku 2017 r. powiedział pan, że za 30 lat Polska będzie najpotężniejszym państwem w regionie Europy Środkowo-Wschodniej. Na razie nic na to nie wskazuje. Znaleźliśmy się pod pręgierzem Brukseli, która straszy nas sankcjami i izolacją. A nasi partnerzy w Grupie Wyszehradzkiej dość niechętnie podchodzą do naszych aspiracji lidera regionu.

George Friedman: Atakowaliby was, gdybyście byli słabi? Jednym ze znaków rozpoznawczych wschodzącej potęgi jest to, że schodzące potęgi wytaczają przeciwko niej najcięższe działa. Znaleźliście się na celowniku Unii Europejskiej, która chce zachować kontrolę nad polityką wewnętrzną państw członkowskich. Wybrali was zamiast Węgier, bo jesteście ważni. Dlatego Wielka Brytania, która opuszcza Unię, właśnie z powodu ingerencji Brukseli, symbolicznie zawarła z wami traktat obronny. Jesteście ważnym graczem w Europie. Polska jest obecnie liderem bloku państw, które sprzeciwiają się potocznemu rozumieniu UE, czyli temu, czym zdaniem liberalnych europejskich elit powinna być europejska wspólnota.

Liberalne europejskie elity twierdzą, że wychodząc z szeregu, Polska zagraża jedności i dalszej politycznej integracji Unii. Sam pisze pan w swojej prognozie na 2018 r., że europejska wspólnota wchodzi w ten rok jako wspólnota wysoce dysfunkcjonalna. Może powinniśmy się więc ugiąć?

Absolutnie nie. Trajektoria UE już dawno została nakreślona. Mówiłem o tym już lata temu. Nacjonalizm w Europie będzie rósł dalej w siłę, coraz częściej będziemy słyszeli: chcę się troszczyć o własny naród, a nie o Europę. Będzie coraz więcej partii nacjonalistycznych, nawet w Niemczech, gdzie taka partia jest obecnie trzecią siłą polityczną. Na dodatek chadecja kanclerz Angeli Merkel straciła wyraźnie na poparciu w wyborach parlamentarnych. W Europie widzimy obecnie dwa równoległe procesy. Pierwszy to fragmentacja, także wewnętrzna, niektórych krajów członkowskich. Drugim procesem jest wyzwanie rzucone centrystycznym europejskim partiom. Reakcja Brukseli na te procesy, na Brexit, na Polskę, w postaci panów Timmermansa i Junckera, jest

eprasa.pl dd70aa56f6

Fot. Shutterstock

wysoce emocjonalna i wynika z poczucia osaczenia. Co oczywiście jest uzasadnione, bo tak jest.

Niemniej to nas straszy się Europą dwóch prędkości, w której nie będziemy mieli nic do powiedzenia i zostaniemy w tyle.

A teraz macie coś do powiedzenia? Nie jestem pewien, kto w tej układance pozostanie w tyle. Zresztą już teraz mamy Europę dwóch prędkości. Europa Środkowo-Wschodnia w większości nie przystąpiła do strefy euro. A to bardziej niż cokolwiek innego oddziela wasz region od reszty. Co to znaczy Europa dwóch prędkości? Juncker nie wie, co to znaczy, ani większość tych, którzy tym pojęciem się posługują. W zasadzie znaczy to tyle, że wszyscy uznają w końcu stan faktyczny, a mianowicie, że Polska czy Węgry oddaliły się od centrum Europy. UE spełnia zasadniczo dwie funkcje: jest strefą wolnego handlu jak NAFTA oraz jest czymś w rodzaju politycznego bytu, gdzie Bruksela ma pewien stopień kontroli lub rości sobie prawo do pewnej kontroli nad wewnętrznym funkcjonowaniem państw członkowskich. Co w tym kontekście oznaczają dwie prędkości?

Nie zapominajmy także, że Niemcy są ekonomicznie w nie najlepszym stanie. Wydają się silne, ale zależność Berlina od eksportu jest bardzo wysoka jak na czwartą co do wielkości gospodarkę świata. Francja zawsze była słabym graczem. Dla mnie jednak to Europa Środkowo-Wschodnia jest najbardziej dynamicznym gospodarczo regionem Unii, dlatego że ma najlepiej wykwalifikowanych pracowników, a równocześnie niskie płace, co czyni ją bardzo atrakcyjną dla reszty świata. Wschodni Europejczycy, ponieważ długo żyli pod jarzmem komunizmu i Związku Sowieckiego, usiłują znaleźć teraz własną drogę, zdefiniować, kim chcą być. Tymczasem zachodni Europejczycy im mówią: „Bądźcie tacy jak my". Oni więc odpowiadają: „Nie jesteśmy tacy jak wy". To jest podłoże obecnego konfliktu między Brukselą a Warszawą. Technokraci brukselscy nie wiedzą, jak odpowiedzieć na ten problem. Jedyne, co przychodzi im do głowy, to stworzenie dwóch rodzajów Unii Europejskiej. A przecież te dwa rodzaje Unii już istnieją. Jest Francja i jest Polska.

> Polska, która tyle lat nie była suwerenna, nie będzie chciała swej suwerenności sprzedać za garść euro. Przeżyjecie i bez tych dotacji. Eurokraci tego nie rozumieją, dlatego straszą was odebraniem tych pieniędzy

W „Rzeczpospolitej" ukazał się list otwarty do premiera Mateusza Morawieckiego, w którym jego sygnatariusze – wśród nich są znani ekonomiści – piszą, że albo będziemy w strefie euro, albo w strefie wpływów Rosji. To przesada?

Rosja jest bardzo słabym krajem w sensie gospodarczym. Ucierpiała mocno z powodu spadku cen ropy. Nie wiem, jak Polska mogłaby w tym kontekście z powrotem wpaść w strefę wpływów Kremla. Proszę spojrzeć na południe Europy. Na poziom bezrobocia w Grecji, we Włoszech, w Hiszpanii. Taki może być los Polski, jeśli zdecyduje się przystąpić do strefy euro. Oczywiście za takimi apelami kryje się zawsze pewien element emocjonalny oraz ideologiczny. Ci, którzy postrzegają siebie w pierwszym rzędzie jako Europejczycy, panicznie boją się powrotu nacjonalizmu. Straszą więc izolacją, Rosją, czym tylko się da. A Polacy niczego tak się nie boją jak Rosji. Prawda jest jednak taka, że UE upada. Jeśli spojrzymy na procesy polityczne toczące się obecnie w Niemczech, we Włoszech i w wielu innych krajach Europy, to dostrzeżemy ogromną rebelię przeciwko Brukseli. Rosja jest słaba, a UE mocno uszkodzonym bytem. Nie jest już tym, czym była 10 lat temu. Kryzys 2008 r. ją zmienił. Bezpowrotnie. Ci, którzy chcą, by Unia była naprawdę zintegrowana i zjednoczona, będą oczywiście twierdzili, że bez tego nastąpi wielka katastrofa. A ja twierdzę, że przez to będziemy mieli wielką ka-

eprasa.pl dd70aa56f6

tastrofę. Idea homogenicznej Europy, jednego bytu jest absurdalna, tym bardziej że widzimy obecnie proces dokładnie odwrotny: heterogenizację Europy.

Ten proces obciążył nasze relacje z Niemcami, które uważają się za obrońcę liberalnej demokracji w Europie. Zdaniem niektórych stosunki między Warszawą a Berlinem jeszcze nigdy nie były tak złe jak teraz.

Ostatnim razem, gdy mieliście bardzo bliskie relacje z Niemcami, nie najlepiej na tym wyszliście [śmiech]. Polska zawsze miała, z punktu widzenia historii, skomplikowane relacje z Niemcami i Rosją. Obecne problemy Niemiec nie mają jednak nic wspólnego z Polską, tylko z samymi Niemcami. Nie są w stanie utworzyć rządu. Mają w Bundestagu prawicową partię, z rodzaju tych najbardziej ekstremistycznych. Bawarczycy zaczynają mówić o autonomii. Niemcy nie powinny się więc zajmować Polską, tylko sobą. A Unia zamiast martwić się przyszłością Polski, powinna się martwić przyszłością Niemiec. Bo ta przyszłość jest niejasna. Ten, kto twierdzi, że UE to zdrowy i kwitnący byt, niech spojrzy na sytuację w Niemczech. Na razie niemiecka gospodarka działa sprawnie. Co będzie, gdy przestanie sprawnie działać? Niech Polacy zadadzą sobie pytanie, czy chcą się wiązać z regionem, który opuszcza właśnie druga co do wielkości gospodarka, czyli Wielka Brytania, gdzie pierwsza co do wielkości gospodarka nie jest w stanie uformować rządu. Jeśli obiektywnie spojrzymy na sytuację w Europie, pogląd, że Polska może prowadzić spokojny i stabilny byt w samym sercu tego chaosu, jest trudny do zaakceptowania.

Polska na razie odnotowuje wysoki wzrost gospodarczy. Niektórzy ekonomiści, jak Leszek Balcerowicz, utrzymują jednak, że niedługo to się skończy. Wtedy będziemy potrzebowali Europy. Mylą się?

Moje pytanie brzmi: dlaczego wzrost miałby się zatrzymać?

Sam pan twierdzi w swojej prognozie na 2018 r., że Stany Zjednoczone popadną w recesję, która uderzy także w Europę, czyli w nas.

Zgadza się, ale ta recesja uderzy przede wszystkim w Niemcy. Eksportują one 50 proc. swojego PKB. Do Europy i świata. Za każdym razem, gdy Niemcy tracą 5 proc. tego eksportu, jednocześnie tracą 2,5 proc. swojego PKB. A USA są pierwszym partnerem handlowym Berlina. Jeśli Waszyngton ograniczy rezerwy i import, wtedy Niemcy będą miały poważny problem. Według mnie cała Europa, która ma obsesję na punkcie eksportu, jest narażona na wstrząsy. Im bardziej więc Polska będzie w stanie się zdystansować od Niemiec i znaleźć inne rynki, tym lepiej na tym wyjdzie. Rosja byłaby tu alternatywnym rynkiem, choć niezbyt dużym. Albo rynek amerykański. Tu leży bezpieczeństwo, a nie w Europie, która zmaga się z poważnymi problemami gospodarczymi. Dywersyfikacja. Polska nie powinna zrywać z Europą, ale szukać także innych partnerów. Podwoić stawkę. Niemcy mają mnóstwo problemów, które muszą rozwiązać, i na razie nie pokazali, by byli do tego zdolni. W umysłach eurofilów to tylko przejściowe problemy, a Europa jest stabilna. Naprawdę? Brytyjczycy wychodzą, południe Europy jest wciąż pogrążone w chaosie, niemiecki system polityczny nie jest już tym, czym kiedyś był. Oni opisują Europę sprzed pięciu lat. Dzisiejsza Europa jest bardzo kruchym bytem.

> Gdy Niemcy pouczają Polaków na temat liberalnej demokracji, jest to w tak złym guście, że brak mi słów. To ostatni kraj, który powinien pouczać na temat praw człowieka

W ostatnim czasie widzieliśmy wzmożoną współpracę w regionie Europy Środkowo-Wschodniej, powstała inicjatywa Trójmorza. Ale to projekty założone na lata, a współpraca w Grupie Wyszehradzkiej nie zawsze układa się łatwo.

Tak to już jest, że trudno zbudować spójny blok państw. Należy współpracować w tych dziedzinach, gdzie są wspólne interesy. Jak widzimy na przykładzie Unii, potrzeba spójności we wszystkim prowadzi do fragmentacji. Można stworzyć w miarę spójny blok, jeśli nie wymaga się zbyt wiele od partnerów. Zasadniczy problem UE to nie to, że jest strefą wolnego handlu, tylko to, że widzi siebie jako coś w rodzaju superpaństwa. Nadzorującego całą Europę. Tradycyjny sojusz nie wymaga wtrącania się do wewnętrznych spraw partnerów ani zgadzania się we wszystkim. Tylko wspólne interesy się liczą. NAFTA ma problemy, bo Donald Trump je stworzył, ale NAFTA pokazuje, jak coś takiego może działać: USA nie mają nic do powiedzenia na temat polityki wewnętrznej Meksyku ani Kanada na temat polityki wewnętrznej USA. My po prostu handlujemy. Także UE kiedyś była taką strefą wolnego handlu. Do traktatu z Maastricht. Po 1991 r. Unia ewoluowała w kierunku superpaństwa – każde z państw wprawdzie wciąż było suwerenne, ale Bruksela była bardziej suwerenna. Wtedy zaczęły się problemy. Jeśli chodzi o Europę Środkowo-Wschodnią, to widzę wiele wspólnych interesów w dziedzinie militarnej czy gospodarczej. A jedną z pierwszych zasad stabilnego sojuszu jest skromność. Nie jesteśmy przyjaciółmi, nie bierzemy ślubu. Mamy wspólne interesy. W niektórych dziedzinach. I to powinno nam wystarczyć.

Sądząc po pana opisie Unii Europejskiej, nie wróży jej pan zbyt dobrej przyszłości. Nie należy liczyć na znaczące reformy w tym roku?

Bruksela nie może przeprowadzić żadnej reformy, bo nie jest w stanie jasno określić, co należałoby zrobić. W międzyczasie Wielka Brytania opuszcza UE. To druga co do

eprasa.pl dd70aa56f6

wielkości gospodarka Europy! Tymczasem z Brukseli słychać, że to wina brytyjskich wyborców, którzy są zbyt głupi, by zrozumieć, na czym polega europejska wspólnota i jakie korzyści wynikają z przynależności do niej. A przecież poszło o imigrację. O politykę imigracyjną, którą ustanowiono na poziomie unijnym, i poczucie ludzi, że Londyn przestał być w tej kwestii suwerenny. Dlatego ludzie głosowali za Brexitem. Teraz UE usiłuje za to ukarać Brytyjczyków, co jest naprawdę śmieszne. Londyn może mieć umowę o wolnym handlu z USA za pstryknięciem palca. To najbliższy sojusznik Waszyngtonu. Oni tam, w Brukseli, żyją złudzeniem, że jest fajnie, jest tylko ten mały problem z Wielką Brytanią i z Polską, która wychodzi z szeregu. Niemcy nie mogą utworzyć rządu, ale to pikuś, podobnie jak poziom bezrobocia na południu Europy przekraczający 20 proc. Żaden problem, bo Grecy jakoś tam żyją z szarej strefy. Bruksela stała się miejscem fantazji. Czy będzie gorzej? To całkowicie dysfunkcyjny byt, którego nikt nie słucha, chyba że się z nim w 100 proc. zgadza. Jedyne, co trzyma ten byt w kupie – bo nie są to wspólne interesy – to system dotacji, redystrybucja pieniędzy między bogatą Północą a biedniejszym Południem oraz takimi krajami jak Polska. Idea za tym stojąca jest taka, że te dotacje są wystarczająco duże, by kraje je otrzymujące były gotowe w zamian zrezygnować z części swojej suwerenności. To nie jest jednak 1992 r. i Unia nie musi ratować wschodniej Europy. Dotacje oczywiście się liczą, ale Polska, która tyle lat nie była suwerenna, nie będzie chciała swej suwerenności sprzedać za garść euro. Przeżyjecie i bez tych pieniędzy. Oni tego nie rozumieją, dlatego straszą was odebraniem tych dotacji. To jedyne, co im pozostało.

Za interwencją Brukseli lobbuje usilnie nasza opozycja.

Możliwe. Polacy wybrali rząd, który robi to, co obiecał, że zrobi. Nie musi mi się ten rząd podobać, ale muszę zaakceptować wybór Polaków. Tymczasem eurokraci marzą o jednej europejskiej tożsamości. Oni zupełnie nie rozumieją Polaków. Im bardziej na nich naciskają, tym bardziej Polacy przypominają sobie swoją historię i utratę suwerenności. Tym bardziej stają się uparci, więc to niezbyt mądra strategia. Gdy Niemcy pouczają Polaków na temat liberalnej demokracji, jest to w tak złym guście, że brak mi słów. Niemcy to ostatni kraj, który powinien kogokolwiek pouczać na temat praw człowieka. Niemcy pouczają Polaków, jak być sprawiedliwym. To wręcz śmieszne. Jako Węgier ze zdziwieniem i rozbawieniem obserwuję, jak Niemcy się zachowują i nie widzą, jak bardzo są żenujący.

> Zasadniczym problemem UE nie jest to, że jest strefą wolnego handlu, tylko to, że widzi siebie jako coś w rodzaju superpaństwa. Nadzorującego całą Europę

W swojej prognozie na 2018 r. napisał pan także, że stagnacja w Rosji się pogłębi. I nie uda jej się zdywersyfikować swojej gospodarki. Jak to wpłynie na bezpieczeństwo naszego regionu?

Gdy Rosja jest gospodarczo słaba, lubi udawać, że jest militarnie silna. Tak było również w okresie zimnej wojny. Prawda jest taka, że mimo wojny w Donbasie stracili Ukrainę. Nie udało im się stłumić Majdanu. Próbowali wzniecić bunt we wschodniej Ukrainie, ale także na tym polu polegli. Wtedy wtrącili się do wojny w Syrii. Nie dlatego, że mają tam jakieś znaczące strategiczne interesy, tylko dlatego, by pokazać, że się liczą. By stworzyć wrażenie siły. W Europie Wschodniej pokutuje obraz silnej Rosji, a szczególnie jej służb specjalnych. Takie sztuczki jak próba zakłócenia wyborów prezydenckich w USA również przyczyniają się do tego obrazu. Ale co tak naprawdę zdziałali? Nic. Za każdym razem, gdy w coś się pakują, nie wychodzi im to na dobre. Waszyngton po prostu dołożył im kolejne sankcje.

W latach 80. Polska patrzyła na Rosję: czy będzie interweniować, czy nie. Tam, na Wschodzie, była tą potężną siłą. Tymczasem Związek Sowiecki się załamał. Polacy powinni być dziś już na tyle dojrzali, by widzieć Rosję jako to, czym jest – duży kraj z głębokimi gospodarczymi problemami i systemem politycznym, który usiłuje kompensować swoje niedociągnięcia różnymi nieudanymi zagranicznymi interwencjami. Rosjanie mają jedną umiejętność – świetnie blefują. Ciągle mówią: napadniemy na Polskę, na kraje bałtyckie. Jak? Tam stacjonują amerykańscy żołnierze. W rzeczywistości Rosjanie nie chcą wojny. Oni potrzebują pilnie reform, tyle że tak naprawdę na te reformy jest już za późno. Znaleźli się w tej samej sytuacji, w jakiej byli w latach 80. – niskie ceny ropy i rosnący budżet obronny. To doprowadziło wtedy do ich upadku. Tym razem też tak będzie, tylko że nie załamią się od razu. Będzie to długi proces zdychania.

George Friedman – amerykański politolog węgierskiego pochodzenia, założyciel i były dyrektor generalny Stratforu, redaktor naczelny i wydawca internetowego pisma „Geopolitical Futures". Pracował jako doradca w kwestiach bezpieczeństwa dla czołowych amerykańskich dowódców wojskowych. Autor kilku książek, m.in. „The Future of War", „The Intelligence Edge", „America's Secret War", „Następne 100 lat. Prognoza na XXI w." („The Next Hundred Years: A Forecast for the 21st Century") oraz „Flashpoints: The Emerging Crisis in Europe (2015)". Jego prognozy na 2018 r. oraz następne 25 lat można przeczytać tutaj: www.geopoliticalfutures.com.

eprasa.pl dd70aa56f6

Wszyscy patrzą także na Chiny i zastanawiają się, czy czeka je twarde lądowanie, czy się zreformują i rzucą wyzwanie USA.

Chiny przechodzą poważny kryzys finansowy. Europa przeszła w 2008 r. podobny kryzys i się podniosła. Koszty społeczne były jednak ogromne. Chiny również mogą przetrwać ten kryzys. Powstaje jednak pytanie, czy ich system polityczny wytrzyma obciążenia społeczne, które z tego wynikną. Bo to będzie bolesne dla Chińczyków. Czy uda im się utrzymać polityczną stabilność? Nie wiem. Cena, którą niektórzy w Chinach będą musieli zapłacić, będzie bardzo wysoka. Pytanie brzmi, czy staną wtedy przeciwko władzy. Chiny, podobnie jak Rosja, udają, że są wielką potęgą, ale na razie nie za wiele z tego wynika. Inwestują w wielu miejscach na świecie, ale są to małe inwestycje, i na tej podstawie twierdzą, że ich wpływy rosną.

Zbroją się na potęgę, budują sztuczne wyspy na Morzu Południowochińskim i pretendują co najmniej do roli regionalnego mocarstwa. Niezbyt lekceważąco pan do nich podchodzi?

Mają jeden lotniskowiec, a USA ma ich 12. Jeśli chce się wiedzieć, jak wygląda militarna potęga Chin, to należy uważnie słuchać przemówień prezydenta Xi Jinpinga. Na XIX zjeździe Komunistycznej Partii Chin powiedział, że Państwo Środka za 50 lat będzie miało siłę militarną na poziomie światowym. To znaczy, że nie ma jej dziś ani nie będzie jej miało w przyszłym tygodniu, tylko za 50 lat. USA mają siłę militarną klasy światowej dziś. Naszym problemem nie są Chiny, ale rola, jaką Stany Zjednoczone chcą odgrywać na świecie. Od 1991 r. USA są jedynym globalnym supermocarstwem wytwarzającym 25 proc. światowego PKB. Posiadającym największą siłę militarną na świecie. Jesteśmy ogromną potęgą, ale tak naprawdę nie chcemy nią być. Siedzimy tu odizolowani od świata dwoma morzami. Mamy tę ogromną potęgę, ale nie wiemy, jak jej użyć. To nie jest zresztą nic nowego. Wielka Brytania przegrała wojnę z krajem Trzeciego Świata, z USA, a i tak wyszła z tego jako imperium. Jesteśmy więc w fazie, w której musimy podjąć decyzję: czy naprawdę chcemy być hegemonem? Obchodzi nas to, co się dzieje w Syrii? Przez ostatnie 100 lat mieliśmy w gruncie rzeczy tylko jedną stałą zasadę polityki zagranicznej – że żadne pojedyncze mocarstwo nie może zdominować Europy. Ani Niemcy, ani Rosja. Dlaczego? Bo gdyby tak się stało, mogłoby nam zagrozić. Dlatego zaangażowaliśmy się w I oraz II wojnę światową i zimną wojnę. Dziś musimy określić na nowo zasady naszej polityki zagranicznej. Dlaczego jesteśmy zaangażowani na Morzu Południowochińskim czy na Bliskim Wschodzie? Dlaczego nasi żołnierze tam giną? Mamy wewnętrzny problem i to powoduje, że wydajemy się nieobliczalni. Po prostu nie wiemy, jaki będzie nasz następny krok. Większości Amerykanów nie obchodzi to, co się dzieje gdzie indziej. Niech reszta świata idzie do diabła. Dlatego Trump wyszedł z hasłem „America First". Tyle że szybko się okazało, iż musi się jednak zająć Koreą Północną czy Syrią. Chcąc nie chcąc, jesteśmy połączeni z resztą świata. Ot, cały nasz problem. Ale jeśli chodzi o Polskę, to jesteśmy gotowi się zaangażować. Na co najmniej 100 następnych lat strategicznego sojuszu.

REKLAMA

kasastefczyka.pl
801 600 100
(koszt połączenia wg taryfy operatora)
Przyjdź i sprawdź!

KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

Pożyczka Fit umożliwia konsolidację zobowiązań zaciągniętych wyłącznie w innych instytucjach finansowych. RRSO oznacza Rzeczywistą Roczną Stopę Oprocentowania. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.
Wyprodukowano dnia 2.01.2018 r.

13/0118/F

eprasa.pl dd70aa56f6

Krajobraz po rekonstrukcji

Wymiana ministrów zmobilizowała wszystkie elementy układu rządzącego i nawet jeśli części wyborców się nie podoba, nie zagraża spójności obozu dobrej zmiany

STANISŁAW JANECKI

Jarosław Kaczyński ustępował, a Andrzej Duda, Mateusz Morawiecki i Jarosław Gowin zyskiwali kolejne przyczółki władzy – tak m.in. interpretowano zmiany w rządzie po prawej stronie polskiej sceny politycznej. A opozycja otwarcie obwieściła swój triumf, bo przecież od dawna domagała się dymisji Antoniego Macierewicza, Witolda Waszczykowskiego, Konstantego Radziwiłła czy Jana Szyszki. To interpretacje nie tylko oderwane od rzeczywistości, lecz i naiwne, wynikające ze słabej znajomości układu sił w obozie Zjednoczonej Prawicy oraz generalnie niewielkiej biegłości w polityce.

Zmiany w rządzie nie są oznaką słabnięcia prezesa Prawa i Sprawiedliwości Jarosława Kaczyńskiego, tylko przywróceniem jego rangi, przywództwa, decyzyjności i koncepcji rządów na najbliższe lata. Słabnący lider nie zdołałby doprowadzić do zasadniczych zmian, tym bardziej że od kilku miesięcy tzw. głęboka rekonstrukcja wydawała się kwadraturą koła, a federacyjność rządu – nieusuwalną jego cechą. Jarosław Kaczyński to przeczekał i zrealizował właściwie wszystkie planowane zmiany. A przede wszystkim szarpnął cuglami, i to zarówno w rządzie, jak i w partii.

WZMOCNIENIE JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO

To mit, że wymiana ministrów została na prezesie PiS wymuszona, np. przez

eprasa.pl dd70aa56f6

Fot. Andrzej Wiktor

prezydenta Andrzeja Dudę, choć prawdą jest, że część zmian była konsultowana bardziej niż inne. Czymś zupełnie innym jest to, komu wyborcy PiS przypisują wpływ na zmiany. Gabinet Mateusza Morawieckiego przekształcali przede wszystkim Jarosław Kaczyński i sam premier. A zmiany były tak długo przeciągane, aż wygasły (albo mocno osłabły) ogniska zapalne związane z tak wyrazistymi postaciami jak Antoni Macierewicz czy Jan Szyszko. I nie była to żadna tajna operacja, gdyż uczestniczyły w niej wszystkie najważniejsze postacie obozu dobrej zmiany.

Wedle mojej wiedzy, gdy powstał np. problem, jak bezboleśnie przeprowadzić wymianę szefa MON, obecny marszałek Sejmu Marek Kuchciński wyraził gotowość ustąpienia i oddania mu swego stanowiska. To dowodzi, jak spokojnie i szeroko rozważano różne warianty zmian. Mitem jest też przekonanie, że Jarosław Kaczyński ma dużo mniejszy wpływ na gabinet Mateusza Morawieckiego i jego samego niż miał na rząd Beaty Szydło. Jest akurat odwrotnie, a wynika to przede wszystkim ze znacznie bardziej technicznego charakteru ekipy nowego premiera i takiego właśnie pojmowania roli szefa rządu przez samego Morawieckiego. I wynika to także z jego usytuowania w Prawie i Sprawiedliwości, gdzie nie ma przecież własnego zaplecza.

Podobnie jak mitem są twierdzenia, jakoby Jarosław Gowin samodzielnie poszerzał swoje zaplecze polityczne i kooptował różne osoby z kręgów opozycji. Akurat rozbudowa tego segmentu Zjednoczonej Prawicy została bardzo precyzyjnie zaplanowana, więc nie jest też przypadkiem, że znalazło to swoje odzwierciedlenie w rządzie: nowymi ministrami zostali tacy ludzie kojarzeni z Jarosławem Gowinem jak Teresa Czerwińska, Jadwiga Emilewicz czy Łukasz Szumowski.

Dwa lata rządów Zjednoczonej Prawicy doprowadziły do rozluźnienia zasad kierowania tym obozem i jego rządem, co wynika przede wszystkim z efektów działania „Polski resortowej". Rekonstrukcja oznacza ewidentną konsolidację, choćby dlatego, że precyzyjniej podzielono poszczególne segmenty państwa i gospodarki (Ministerstwa Finansów, Przedsiębiorczości i Technologii, Infrastruktury, Inwestycji i Rozwoju) oraz zniknęło z rządu kilka bardzo silnych osobowości, co sprzyjało usamodzielnianiu się ich resortów. Nowy gabinet jest w większym stopniu drużyną skupioną na technicznych celach.

Wbrew opiniom opozycji dwa lata rządów osłabiły też wpływ Jarosława Kaczyńskiego na funkcjonowanie rządu. Beata Szydło, Antoni Macierewicz czy Jan Szyszko mieli silną pozycję w partii, a nawet coś w rodzaju własnych frakcji, mieli też bardzo zdeterminowane grupy sympatyków, co powodowało, że rząd coraz bardziej się uniezależniał politycznie od macierzystej formacji. Gabinet Mateusza Morawieckiego, przynajmniej na razie, w taki sposób nie jest w stanie się usamodzielnić, podobnie jak sam premier, co w oczywisty sposób wzmacnia wpływ na rządzenie lidera tego obozu. W przyszłości może się to zmienić, ale na razie nie ma takiego problemu. Podobnie jak nie ma problemu z rosnącą siłą Jarosława Gowina, bo on tylko realizuje zadanie otwierania się Zjednoczonej Prawicy na centrum.

Konsolidacja obozu władzy oznacza też ułożenie stosunków z prezydentem Andrzejem Dudą, które przez ostatni rok przechodziły różne kryzysy. Prezydent miał wpływ na niektóre decyzje kadrowe, ale uznano to za cenę wartą zapłacenia za dobrą współpracę w przyszłości. Tym bardziej że, wbrew różnym twierdzeniom, żadna decyzja kadrowa nie została przez głowę państwa wymuszona. Wszystkie wynikają ze zmiany zadań i celów rządu. Dziwić muszą w tym kontekście opinie, że Jarosław Kaczyński stracił na rekonstrukcji, a zyskali Andrzej Duda, Mateusz Morawiecki i Jarosław Gowin. Jest akurat odwrotnie. Od ważnego polityka PiS usłyszałem, że sztuką jest takie wzmocnienie własnej pozycji, aby ci, których kosztem się to odbywa, uważali, iż sami się wzmacniają. Wtedy bowiem pracują z większym zapałem.

STRATEGIA WYGRYWANIA

Zmiany w rządzie powinno się rozpatrywać z punktu widzenia celów strategicznych i kalendarza politycznego. A tu najważniejsze jest wygranie wyborów samorządowych jesienią 2018 r., wyborów europejskich późną wiosną 2019 r., parlamentarnych – jesienią 2019 r. oraz prezydenckich – późną wiosną 2020 r. Zmiany w rządzie rok przed pierwszymi w kalendarzu wyborami są terminem optymalnym. I optymalne z perspektywy sukcesu w tych wyborach jest poszerzanie zdolności kooptacyjnej obozu Zjednoczonej Prawicy, co spada głównie na Porozumienie Jarosława Gowina. To ma pozwolić wygrać w części dużych miast i znacznie poszerzyć stan

eprasa.pl dd70aa56f6

posiadania w samorządach, niezależnie od dużo szerszego niż w 2014 r. poparcia dla samego PiS.

Z kolei sukces w wyborach do europarlamentu ma wynikać z dwóch zasadniczych powodów. Po pierwsze, premii dla PiS za twardą obronę polskich interesów w Brukseli, w tym w kwestii imigrantów. I to premii kosztem opozycyjnych „donosicieli" na Polskę. Po drugie, z zauważalnego obniżenia temperatury sporu z instytucjami europejskimi, co wytrąci opozycji argument o chęci wyprowadzania Polski z UE czy przekładania się tego sporu na kształt kolejnej wieloletniej perspektywy budżetowej oraz na konkretne fundusze płynące do Polski. Opozycji ma też być wytrącony argument, że rząd PiS funkcjonuje na forach UE wyłącznie w konflikcie i zwarciu.

Sukces w wyborach parlamentarnych ma być rezultatem polityki spokojnej, nastawionej na zauważalną poprawę sytuacji polskich rodzin, w tym mieszkaniowej i zdrowotnej. Nie chodzi przy tym o pisowską wersję polityki ciepłej wody w kranie, lecz o szeroko pojmowane bezpieczeństwo materialne i socjalne. Wynikające z dobrego gospodarowania oraz ze skutecznej walki z patologiami, np. oszustwami podatkowymi. Ponieważ spokój i stabilizacja są w Polsce traktowane jako czynniki wpływające na polityczne preferencje, rząd i cały obóz władzy mają przez drugą połowę kadencji prezentować kierowane przez nich państwo jako oazę spokoju, bezpieczeństwa i stabilizacji. Co przyjdzie tym łatwiej, im większe kłopoty będą widoczne na ulicach europejskich miast.

Rząd Beaty Szydło wziął na siebie reformę wymiaru sprawiedliwości, która wzbudzała wielkie emocje, więc w drugiej połowie kadencji nie będzie już takich przedsięwzięć, które równie mocno wpływałyby na społeczne nastroje. Zresztą takie skonstruowanie rządu, że ma się on kojarzyć z techniczną ekipą wynajętą do sprawnego zarządzania coraz bogatszym i bezpieczniejszym państwem, ma upewniać wyborców, że pod rządami Zjednoczonej Prawicy w nadchodzących latach nie ma mowy o żadnych rewolucjach ani burzach. Co najwyżej o rewolucjach technologicznych, stąd tyle akcentów położonych (nawet w kształcie resortów) na rozwój, badania, innowacje, nowoczesność. I to ma ostro kontrastować z działaniami opozycji nawołującej do rewolty czy wręcz ulicznych zamieszek.

> Zmiany w rządzie powinno się rozpatrywać z punktu widzenia celów strategicznych i kalendarza politycznego. A tu najważniejsze jest wygranie wyborów samorządowych jesienią 2018 r., wyborów europejskich późną wiosną 2019 r., parlamentarnych – jesienią 2019 r. oraz prezydenckich – późną wiosną 2020 r.

Nieprzypadkowo po rekonstrukcji rządu Grzegorz Schetyna zapowiedział ryzyko wybuchu wojny domowej, co jest działaniem politycznie samobójczym. Mocno to kontrastuje z wizerunkiem gabinetu Mateusza Morawieckiego, w którym tylko minister Zbigniew Ziobro oraz CBA reprezentują siłę państwa. Ale państwa sprawiedliwego i równo traktującego wszystkich, czyli bezwzględnie ścigającego korupcję i inne patologie, a więc bardzo mało dolegliwego dla przeciętnych obywateli. Nie dziwi więc, że rekonstrukcja rządu wywołała takie ataki i paroksyzmy po stronie opozycji oraz jej mediów. Nie dziwi, że jest wykorzystywana do skłócania wyborców Zjednoczonej Prawicy.

SUKCES WSI CZY RECEPTA NA SUKCES?

Po prawej stronie pojawiły się zarzuty, że rekonstrukcja dowodzi, iż PiS jest przejmowane przez ludzi z zewnątrz, mało mających wspólnego z tą partią, z jej programem i celami. W skrajnej wersji mówi się o sukcesie WSI i układu okrągłego stołu, co sprawi, że wszystko będzie po staremu. To rozumowanie zakładające, że lepsze są nawet krótkie rządy trzymające się ortodoksji niż długie, umożliwiające realizację wielu celów i zapewniające przedłużanie mandatu. Jarosław Kaczyński uważa, że ważniejsze jest długie rządzenie, gdyż tylko wtedy realnie zmienia się ramy ustrojowe, hierarchie prestiżu, jest czas na stworzenie czy wypromowanie nowych elit. I całkiem głęboka rekonstrukcja rządu jest nastawiona na długie rządzenie oraz poszerzanie bazy wyborczej.

Powierzchownie wygląda to na autorski rząd Mateusza Morawieckiego wynegocjowany z prezydentem Andrzejem Dudą. Gdy się jednak bliżej przyjrzeć, żadne strategiczne cele i wartości PiS nie zostały poświęcone.

Systematycznie poszerza się za to baza tej partii i, co naturalne, następuje dopływ nowych ludzi. W Polsce nie ma masowych partii, choćby na miarę liczących po ok. 450 tys. członków największych partii niemieckich, więc bez dopływu kadr z zewnątrz nie jest możliwe sprawne i długie rządzenie, tym bardziej na wielu szczeblach. Bez dopływu świeżej krwi, co przecież objawiło się już w wyborach w 2015 r., gdy powstał obóz Zjednoczonej Prawicy, nie jest możliwe rządzenie przez kilka kadencji, a bez tego nie da się głęboko zreformować państwa. Ambicje nowych liderów zaś, np. Morawieckiego, nie są niczym złym, gdyż mobilizują innych, przede wszystkim tych, którym się wydaje, że ich pozycja w partii rządzącej jest na zawsze ustalona.

Rekonstrukcja zmobilizowała wszystkie elementy układu rządzącego i nawet jeśli części wyborców się nie podoba, nie zagraża spójności Zjednoczonej Prawicy. Przynajmniej wtedy, gdy przywódcą tego obozu jest Jarosław Kaczyński, zdecydowanie rekonstrukcją wzmocniony.

eprasa.pl dd70aa56f6

Premier Mateusz Morawiecki ma w końcu swój rząd. Dopiero teraz jawnie widać bezzasadność szeroko głoszonego dotąd poglądu, iż grudniowa zmiana szefa rządu była niewiele znaczącym przesunięciem kadrowym, niezmieniającym niczego w samej naturze obecnego obozu władzy

Fot. Andrzej Iwanczuk/REPORTER

Stajnia premiera i sektor prezesa

JAN ROKITA

Gabinet Beaty Szydło okazał się w praktyce dość luźnym zlepkiem skonfliktowanych ministrów, których łączyło niewiele więcej niźli założona z góry uległość wobec woli i decyzji Jarosława Kaczyńskiego. Nic dziwnego, że przy braku wspólnej misji i wyraźnego kierownictwa jedynym sposobem na efektywne prowadzenie jakiejkolwiek resortowej polityki były swoiste starania o inwestyturę, które poszczególni ministrowie podejmowali nieformalnie u Kaczyńskiego, jeśli chcieli cokolwiek naprawdę zdziałać. Tak właśnie czynił Ziobro przed reformą sądów, Gowin w sprawie uniwersytetów, Szydło co do projektów socjalnych, a w końcu także

eprasa.pl dd70aa56f6

sam Morawiecki, uwodząc prezesa PiS swoimi wizjami modernizacji połączonej z przebudową społeczną, mającą owocować wielką wymianą elit.

NOWY PREMIER, NOWA STRUKTURA RZĄDU

We wtorek 9 stycznia 2018 r. sytuacja uległa istotnej zmianie. Morawiecki, który już od dwóch lat powoli budował osobiste imperium wewnątrz rządu, teraz mógł je rozszerzyć i skonsolidować. Organizacyjnym wyrazem tej przebudowy jest odejście od dziwacznej konstrukcji superresortu, jaki został dla niego stworzony w 2016 r. (skądinąd wbrew woli ówczesnej premier), złożonego z wcześniejszych resortów finansów, gospodarki, rozwoju, skarbu i rządowego komitetu ekonomicznego. Tamta konstrukcja nie była bynajmniej wyrazem jakiejś głębszej myśli z dziedziny zarządzania nowoczesnym państwem, ale miała charakter polityczno-koniunkturalny. Szło o to, aby w wewnątrzrządowym chaosie, panującym pod iluzoryczną władzą premier Szydło, stworzyć obszar jednolitej polityki i kierownictwa ekonomicznego, zabezpieczającego gospodarkę przed ryzykiem stoczenia się w chaos i kryzys. A przy tym stopniowo przygotowywać również planowaną od dawna przez szefa PiS operację wymiany Szydło na Morawieckiego.

Tak zbudowana struktura rządu osiągnęła teraz swoje cele, a tym samym owa dziwaczna anomalia organizacyjna mogła już zostać usunięta. I tak trzy na nowo zrekonstruowane resorty: finansów, rozwoju i przedsiębiorczości (ten ostatni – to zmodernizowana wersja dawnego resortu gospodarki), otrzymały szefów ze „stajni Morawieckiego": Jadwigę Emilewicz, Teresę Czerwińską i Jerzego Kwiecińskiego. Struktura rządu powróciła więc do normalności, ale zarazem segment „bezpośredniej kontroli" Morawieckiego uległ nawet pewnemu rozszerzeniu. Cała ta trójka traktuje bowiem Morawieckiego nie tylko jako szefa rządu i swego przełożonego, lecz także jako własnego lidera i przywódcę.

To, co zwraca uwagę, to personalne zazębianie się „stajni Morawieckiego" ze środowiskiem Jarosława Gowina. Emilewicz jest działaczką partii Porozumienie, stworzonej niedawno przez wicepremiera, i formalnie obejmuje urząd ministra z koalicyjnego parytetu, wedle którego stronnictwo Gowina ma prawo do obsady dwóch resortów.

Nawiasem mówiąc, widać, że ukarany został polityczny oportunizm Konstantego Radziwiłła, który dwa lata temu objął resort zdrowia z ramienia partii Gowina, właśnie w ramach owego parytetu, krótko potem zaś uznał, że lepiej mu będzie porzucić wierność wicepremierowi i zapisać się do PiS. Więc teraz, kiedy na Radziwiłła naszły liczne kłopoty za sprawą protestów lekarzy, nie było nikogo, kto chciałby go bronić. Wicepremier zaś skorzystał z okazji, aby podsunąć Morawieckiemu swojego współpracownika z resortu nauki, znanego ze wspólnych z Gowinem batalii w dziedzinie bioetyki, i w ten sposób ministrem zdrowia został formalnie bezpartyjny Łukasz Szumowski. Łatwo przewidzieć, że także dla tego nowego członka rządu jedynymi punktami odniesienia na politycznej scenie będą Morawiecki i Gowin, których strefy wpływów wewnątrz gabinetu się przenikają. Potwierdza to wcześniejsze hipotezy o pewnym wpływie, jaki Gowin wywiera na nowego premiera i swoistym sojuszu obu polityków w obliczu licznych czekających ich w nieodległym czasie przeciwności.

MON I MSWIA POD OKIEM KACZYŃSKIEGO

Naprzeciwko silnej „stajni Morawieckiego" ukształtował się w nowym gabinecie faktyczny sektor siłowy, którego kierownictwo wziął bezpośrednio w swoją gestię Jarosław Kaczyński. Zarówno Joachim Brudziński w MSWiA, jak i Mariusz Błaszczak w MON – to de facto swoiści sekretarze stanu do zarządzania tymi resortami w imieniu prezesa PiS. Polityczną ambicją Błaszczaka było zawsze zachowanie pozycji zaufanego asystenta prezesa, który w każdej chwili jest gotów na jego rozkaz objąć bądź porzucić dowolną zleconą mu placówkę. Teraz musiał wziąć w ręce rozżarzony węgiel, jakim jest przesiąknięte intrygami dowództwo armii, w którym najwyżsi rangą generałowie od wielu miesięcy próbowali przede wszystkim który „się ustawić" w sporze o władzę nad armią, jaki Macierewicz wszczął z prezydentem Dudą i jego dworem. Zadaniem Błaszczaka jest więc w takiej sytuacji przywrócenie hierarchii i porządku na szczytach armii i uświadomienie generałom, że ich prawdziwym przełożonym nie jest ani on sam, ani nawet prezydent, ale Kaczyński, który odtąd będzie osobiście decydować o wszelkich istotnych krokach MON.

Znacznie łatwiejsze zadanie ma w MSWiA drugi bliski współpracownik szefa partii Joachim Brudziński, znany opinii publicznej ze wspólnych wakacyjnych wypraw z prezesem nad Dunajec albo nad Świnę. Po dwóch latach działania Błaszczaka w tym resorcie panuje tam względny ład i spokój.

Ale w przypadku Brudzińskiego najciekawsze jest to, jak ma w praktyce zostać rozwiązany problem podwójnych (jak na razie) zadań nowego ministra: państwowych i partyjnych. Jako mocny sekretarz generalny PiS Brudziński zarządzał dotąd terenowymi strukturami partyjnymi. Nawet jeśli formalnie funkcję tę Kaczyński powierzy jakiemuś innemu działaczowi (czego należałoby logicznie oczekiwać), to ukształtowany przez kilka lat przemożny wpływ Brudzińskiego na terenowy aparat partii wzrośnie nawet (a na pewno nie zmaleje) po tym, jak stał się on teraz przełożonym dużej części terenowej administracji państwowej, z wojewodami na czele.

Jeśli więc w części aparatu PiS obecne zmiany w rządzie wywołują zaniepokojenie i konfuzję, to Brudziński trzyma w ręku instrumenty, aby nie tylko pacyfikować ów zamęt, lecz także by związać terenowy aktyw partyjny i lokalnych parlamentarzystów więziami silnej lojalności wobec rządu, który dla nich uosabiać będzie obecnie właśnie ich dotychczasowy szef – Brudziński – i jego nowi resortowi podwładni. Z kolei dla pisowskich wojewodów niewiele w gruncie rzeczy się zmieni: i tak podlegali dotąd po linii partyjnej gensekowi Brudzińskiemu, teraz będą mu podlegać także jako ministrowi.

eprasa.pl dd70aa56f6

Wszystko to sprawia, że szef MSWiA może się stać istotnym wsparciem dla Morawieckiego, mając znacznie silniejsze niźli sam premier instrumenty do budowania stabilnej lojalności partii wobec samego premiera i jego rządu. Jeśli z przyzwoleniem Kaczyńskiego obaj politycy znajdą dobry wspólny język, może to być istotny czynnik umacniający niepewną ciągle pozycję i przyszłość Morawieckiego.

Potencjalnie wiele zalet może mieć sytuacja, w której Kaczyński, skądinąd w zgodzie z własnymi zainteresowaniami, przejmuje pod osobistą kontrolę cały sektor siłowy. Najpierw dlatego, że jest to forma zabezpieczenia (jeśli nawet nie pełna gwarancja) realnego zaufania prezesa PiS do Morawieckiego i jego rządu, bez której obecny premier nie miałby żadnej racji politycznego bytu. Co więcej, w sektorze tym do rozwiązania pozostaje kluczowy dla polskiej polityki problem smoleński, który może być rozwiązany jedynie przez Kaczyńskiego. A już zwłaszcza Morawiecki, w żaden sposób niemający udziału w sprawie smoleńskiej, ani nie ma powodu, aby się nią teraz zajmować, ani też nie ma żadnych instrumentów jej zakończenia. Kaczyński publicznie obiecał, że miesięcznica kwietniowa i odsłonięcie pomników będzie politycznym finałem sprawy w nieodległym czasie.

Dymisja Macierewicza jest wstrząsem dla sporej części działaczy i zwolenników PiS, głęboko przejętych rysowaną przez lata wizją „smoleńskiego zamachu" i „smoleńskiej zdrady". Pewnie najlepiej świadczy o tym niezwykła przemowa, jaką pod krakowskim krzyżem katyńskim wygłosił w ubiegłą środę wybitny artysta i twardy pisowiec Stanisław Markowski, ogłaszający zgromadzonemu na miesięcznicy tłumowi, iż „przyszedł czas straszny, haniebny, gdyż odsunięto od władzy jednego z najwspanialszych Polaków", a zrobili to na dodatek nie „wrogowie", ale „swoi".

Aby ten wstrząs załagodzić, Kaczyński zdecydował o oddaniu Macierewiczowi kierownictwa komisji badającej katastrofę smoleńską. Ale tym samym na nowo związał sobie ręce tym, co w kwietniowym raporcie zechce na ten temat powiedzieć publicznie zdymisjonowany minister obrony. Tymczasem po prestiżowym uderzeniu w Macierewicza, jakim było pozbawienie go członkostwa rządu, można przypuszczać, że Kaczyński nie tylko nie będzie mieć wpływu na treść kwietniowych konkluzji Macierewicza, lecz również, że były minister może pójść w tym raporcie w stronę tez jeszcze bardziej ekstrawaganckich niż dotąd i słabo udokumentowanych faktami. Jeśli tak się stanie, to Kaczyński straci okazję do szybkiego i racjonalnego zakończenia kryzysu smoleńskiego, jaka otworzyła się wraz z dymisją Macierewicza.

Wygląda na to, że strach przed „odwróconymi miesięcznicami", na których uderzać się będzie (tak jak w Krakowie) w prezydenta Dudę, ale pośrednio także w samego Kaczyńskiego, okazał się silniejszy niźli perspektywa przecięcia w kwietniu kryzysu ciągnącego się już od ośmiu lat. Ten strach można było zauważyć już wtedy, gdy rzeczniczka partii (teraz awansowana do funkcji wicemarszałka Sejmu) niemal natychmiast po uroczystości powołania nowych ministrów w Pałacu Namiestnikowskim próbowała sprzedać mediom wersję zdarzeń, w której „jedynym winnym" dymisji Macierewicza miałby być... prezydent Duda. Sam Kaczyński wzmocnił siłę owej spiskowej teorii, nie pojawiając się osobiście na tej uroczystości i sugerując swym zwolennikom w ten sposób swego rodzaju dystans wobec, jakkolwiek by było, swoich własnych decyzji. Trochę wedle znanej w polskiej polityce zasady: „Nie chcem, ale muszem".

> Potencjalnie wiele zalet może mieć sytuacja, w której Kaczyński przejmuje pod osobistą kontrolę cały sektor siłowy

PROBLEM Z LEŚNYM LOBBY

Obok odsunięcia Macierewicza także dymisja Jana Szyszki z resortu środowiska stanowi dla partii rządzącej pewien problem. Spośród usuniętych ministrów tylko oni dwaj mają bowiem zaplecze, które jest dziś nie tylko rozczarowane, lecz także emocjonalnie podburzone i zdolne do wyrażania swego protestu.

Zbudowane przez Szyszkę i pośrednio zasilone przezeń funduszami publicznymi Ekologiczne Forum Młodzieży, które miało być narzędziem w walce z tradycyjnymi organizacjami ekologicznymi, śle teraz zbiorowe listy do Kaczyńskiego, nie przebierając przy tym w słowach w ocenie decyzji podjętych przez prezesa PiS. Mowa w nich o tym, że prezes stracił zdolność „rozumienia tego, co normalne, i tego, co nienormalne", a także że pozwolił „otorbić się przez lewactwo". Polityczna pewność siebie Szyszki brała się nie tylko z tego, iż ma on za sobą staż partyjny i rozbudowane w PiS grono przyjaciół, lecz przede wszystkim z tego, iż stało – i nadal za nim stoi – silne w Polsce lobby leśno-łowieckie, strzegące jak oka w głowie interesów swoistego państwa w państwie, którym są Lasy Państwowe. Sednem głośnego sporu o wycinkę w Puszczy Białowieskiej, sporu, który tak bardzo zaszkodził Polsce, była przecież nie ekologiczna ideologia, ale pieniądze zarabiane na wycince i sprzedaży drzewa. Szyszko nigdy nie ukrywał, że jest otwartym rzecznikiem tych interesów, teraz więc może liczyć na silną obronę.

Przed nowym ministrem Henrykiem Kowalczykiem stoi zatem niebłahy dylemat. Może szybko wejść w buty lobbysty Szyszki, przywracając spokój i zadowolenie w ważnym dla PiS segmencie elektoratu, co oznaczałoby w efekcie kontynuację szkód dla państwa, w tym także dalszych niepotrzebnych komplikacji zagranicznych. A może też odwrócić dotychczasową politykę na mniej lobbystyczną, a bardziej państwową, ale wtedy musi się liczyć co najmniej z biernym oporem i licznymi kłopotami w podległym mu sektorze.

eprasa.pl dd70aa56f6

Ostatnia prosta

Co oznacza powołanie Antoniego Macierewicza na szefa podkomisji wyjaśniającej katastrofę smoleńską? Czego możemy i czego powinniśmy oczekiwać od byłego ministra obrony na ostatniej prostej rządowego badania największej polskiej tragedii po II wojnie światowej?

MAREK PYZA

Gdyby nie Antoni Macierewicz, być może wyjaśnienie katastrofy smoleńskiej już dawno byłoby zaprzepaszczone. To niepodlega żadnej dyskusji. Przypomnijmy sobie wszystko to, co działo się między 2010 a 2015 r.

Owszem, swój wielki wkład mają i rodziny ofiar, i ich pełnomocnicy (po wsze czasy będę tu wymieniał człowieka zasługującego w tej sprawie na order – mec. Piotra Pszczółkowskiego), i naukowcy organizujący konferencje smoleńskie, i część mediów, i wielu, wielu innych. Ale to Macierewicz, dysponując de facto niewielkimi możliwościami, pozwolił tej sprawie żyć. Zorganizował zespół parlamentarny, który – choć liczył ponad setkę osób – w ogromnej mierze opierał się na działaniach jednego człowieka. Jeździł po świecie w poszukiwaniu ekspertów mogących pomóc w rzetelnym wyjaśnieniu śmierci polskiej elity. Drobiazgowo studiował każdy wątek sprawy, by móc osobiście wytykać błędy i przekłamania Komisji Badania Wypadków Lotniczych Lotnictwa Państwowego. Był wreszcie solą w oku wojskowej prokuratury, której śledztwo pod wieloma względami zakrawało na kpinę.

Nic nie wymaże jego zasług w sprawie dochodzenia do prawdy o 10 kwietnia. Ma swoje miejsce w podręcznikach.

ŻMUDNA PRACA PODKOMISJI

Gdy został ministrem obrony narodowej, powołał podkomisję, która ma zrobić wszystko to, czego nie zrobił zespół ludzi skupionych wokół Jerzego Millera. W naturalny sposób Macierewicz nie angażował już tak wiele uwagi i czasu w jej prace. Obowiązki szefa MON – zwłaszcza tak zapuszczonego resortu, przed którym stoi tak wiele pilnych wyzwań w tak newralgicznym obszarze, jakim jest bezpieczeństwo państwa – uniemożliwiały poświęcenie badaniu katastrofy tak wiele czasu jak przed 2015 r. Postawił na najlepszych ludzi, których spotkał na swej drodze w poprzednich latach, i nadzorował ich działania. „Tylko" nadzorował, choć w jego przypadku to i tak oznaczało wyjątkowo wnikliwe przyglądanie się postępom prac. To minister podejmował część kierunkowych, a bywało, że i szczegółowych, decyzji.

Teraz będzie podejmował wszystkie. Czy to dobrze? To na pewno szansa. Na takie zakończenie badania, jakie członkowie komisji założyli na początku – po przeprowadzeniu wszystkich zaplanowanych analiz.

Działania podkomisji prowadzone są w ciszy, niewiele przedostaje się do opinii publicznej. Z moich informacji wynika, że już teraz wykonała ona gigantyczną pracę, jak nikt wcześniej. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, jak wiele wykonano analiz, które istotnie

Fot. Jan Bielecki/East News

prowadzą do wniosku, że na pokładzie tupolewa doszło do wybuchu (lub wybuchów). Ale wiele pytań wciąż pozostaje bez odpowiedzi. By tylko pobieżnie dotknąć wątków szczegółowych: np. nie są skończone badania dotyczące zapisów systemów TAWS i FMS (dane w nich zawarte nie pokrywają się z tymi z czarnych skrzynek), wciąż przygotowywane są ekspertyzy medyczne (dotyczące obrażeń ofiar), a także materiałowo-wytrzymałościowe elementów wyposażenia Tu-154M, a nawet prowadzona jest... rekonstrukcja wraku. Wykonywane są i takie analizy, które komisja powinna dostać od służb specjalnych, ale wywiad (ani cywilny, ani wojskowy) się ich nie podjął.

To postępowanie wyjątkowe na skalę światową, bo przecież główny materiał do badań takich katastrof – szczątki samolotu i czarne skrzynki – nadal leżą w Rosji.

KIEDY RAPORT?

W kwietniu mamy poznać raport z prac podkomisji. Gdy jej członkowie usłyszeli o tym pomyśle, byli mocno skonsterno-

eprasa.pl dd70aa56f6

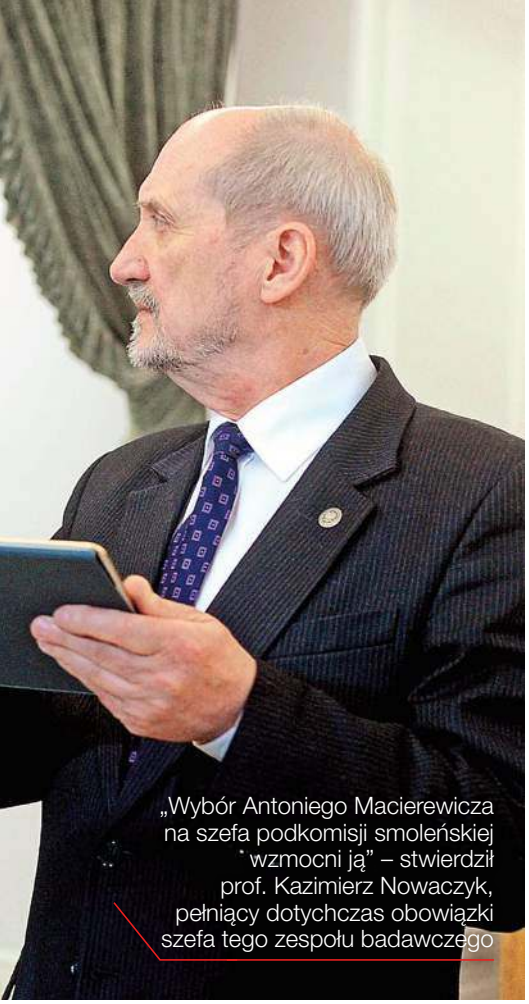

„Wybór Antoniego Macierewicza na szefa podkomisji smoleńskiej wzmocni ją" – stwierdził prof. Kazimierz Nowaczyk, pełniący dotychczas obowiązki szefa tego zespołu badawczego

wani. Harmonogram prac obejmował działania zaplanowane do października. Później – jeśli nie byłoby konieczne ich uzupełnienie – miał powstawać raport. Jego sporządzenie zostało więc mocno przyspieszone. Dziś słyszymy o „raporcie technicznym", a zatem dokumencie cząstkowym, nieopisującym wszystkich aspektów badania tragedii.

Po co więc tworzyć coś, co będzie tylko „półproduktem"? Czy nie lepiej byłoby wykonać wszystkie założenia, a następnie przedstawić owoce pracy? Na prawdę o Smoleńsku czekamy już prawie osiem lat. Poczekamy i kolejny rok. Poczekają też ci, którym na tej prawdzie najbardziej zależy. I nie potrzebują oni kolejnych „wzmocnień" w postaci ustaleń, za którymi nie idą dokumenty.

Krytycy Antoniego Macierewicza wytykają, że zmieniała się liczba wybuchów, które miały rozerwać kadłub rządowego samolotu – swego czasu były dwa, dziś mamy wersję o trzech. Zawsze słyszeliśmy o dowodach, których jednak szczegółowe pokazanie wciąż przed nami.

10 stycznia (jeszcze przed objęciem funkcji przewodniczącego przez Macierewicza) podkomisja wydała komunikat, w którym czytamy: „Frank Taylor, międzynarodowy ekspert z dziedziny badania wypadków lotniczych, po zapoznaniu się z materiałem dowodowym Podkomisji stwierdził: 1. Lewe skrzydło samolotu Tu-154 M zostało zniszczone w wyniku eksplozji wewnętrznej. 2. Istniało kilka źródeł eksplozji: w skrzydle, slocie, a także w centropłacie, potwierdzone przez analizę mechanizmu uderzenia drzwi w ziemię. 3. Brzoza nie miała wpływu na pierwotne zniszczenie skrzydła. Wnioski te zostały przyjęte przez członków Podkomisji i stanowią jedną z kluczowych konkluzji raportu technicznego".

W rzeczywistości Taylor wysłuchał referatów kilku członków komisji i zgodził się z częścią ich hipotez. Czy w taki sposób buduje się „jedne z kluczowych konkluzji raportu technicznego"? Czy nie lepiej byłoby podzielić się nimi po publikacji pełnego raportu i poprzeć je opisem bogatych analiz?

Podkomisji nikt nie pospiesza. Ma czas, środki, a dziś już także pełnowymiarową „opiekę" jednego z najbardziej zaangażowanych w sprawę polityków. Może on zmobilizować ekspertów do bardziej efektywnej pracy, lepiej ją organizować, łagodzić różnice zdań, typowe dla każdego większego zespołu, w którym spotykają się ludzie o różnych charakterach.

Co jakiś czas wypływają nagrania z posiedzeń komisji Jerzego Millera – kompromitujące członków tego gremium i każące wątpić w ich chęć wyjaśnienia tej katastrofy. Posiedzenia podkomisji kierowanej dziś już przez Antoniego Macierewicza też są rejestrowane. Kiedyś i te nagrania mogą ujrzeć światło dzienne. Wtedy zobaczymy, w jaki sposób po dobrej zmianie dochodzono do prawdy o Smoleńsku, jak ścierały się różne poglądy naukowców, jak interpretowano wyniki badań i jak formułowano wnioski. To, co działo się w kulisach podkomisji, będzie mieć jednak mniejsze znaczenie, jeśli opinia publiczna otrzyma niebudzący wątpliwości raport.

To Antoni Macierewicz go zaprezentuje. Będzie to oficjalny dokument Rzeczypospolitej przedstawiający przyczyny tragicznej śmierci Lecha Kaczyńskiego i towarzyszącej mu delegacji. Przed nami wydarzenie historyczne – takiej katastrofy nigdy nie było, żadna komisja nie stanęła przed tak trudnym zadaniem (działania bez dostępu do wielu dowodów), jednocześnie zmywając hańbiący dla państwa raport sporządzony przez poprzedników.

Ten materiał nie może zostawiać niedomówień, nie może być możliwości jego podważenia. To wszystko wciąż wykonalne.

DWA POSTĘPOWANIA

Na marginesie warto przypomnieć, że nie tylko od efektów pracy komisji zależy wyjaśnienie katastrofy smoleńskiej. Od prawie dwóch lat toczy się przecież kilka prokuratorskich śledztw nadzorowanych przez Marka Pasionka, w tym to najważniejsze – dotyczące przyczyn katastrofy. To w jego ramach cztery europejskie ośrodki naukowe prowadzą drobiazgowe badania laboratoryjne pod kątem obecności w badanych próbkach śladów materiałów wybuchowych. To w tym śledztwie prokuratorzy zdecydowali o ekshumacjach wszystkich ofiar katastrofy, prowadzą sekcje zwłok, przekazują materiały do analiz najlepszym ekspertom w Polsce i za granicą. Odpowiedzi na pytania, co się stało i kto jest za to odpowiedzialny, szukają właśnie śledczy.

Tajemnicą poliszynela jest pozostawiająca wiele do życzenia współpraca podkomisji z prokuraturą. Szwankuje przekazywanie materiałów (w obie strony), a nawet sama formuła kontaktów obu instytucji, wynikająca z niedostatecznego zaufania jednych wobec drugich. Kto jest temu winien? Odpowiedzi tyle, ilu ich udzielających. Przejęcie kierowania podkomisją przez Antoniego Macierewicza może być nowym otwarciem i na tym polu.

Byłemu ministrowi obrony trzeba dobrze życzyć. Choć dotychczas odegrał kluczową rolę w sprawie wyjaśniania tragedii smoleńskiej, jeszcze nigdy tak wiele nie było w jego rękach. To od niego zależy, jak śmierć swojego prezydenta wytłumaczy polski rząd.

eprasa.pl dd70aa56f6

Alfabet donosicieli

Na froncie walki politycznej nie cofną się przed niczym. Za nic mają dobre imię Polski i swoje własne. Oto ranking najbardziej żenujących wypowiedzi ludzi donoszących na nasz kraj poza jego granicami

KRZYSZTOF FEUSETTE

Bodnar Adam

„Musimy pamiętać, że wiele narodów współuczestniczyło w realizowaniu Holokaustu. W tym naród polski" – stwierdził w czerwcu 2017 r. na antenie TVP Info rzecznik praw obywatelskich. Przeprosił dopiero po kilkunastu godzinach, gdy o jego skandalicznej wypowiedzi zrobiło się głośno. Pikanterii sprawie dodaje to, że chciał on w ten sposób stanąć w obronie artykułu w niemieckim dzienniku „Frankfurter Rundschau", którego autor twierdził, iż „Polska chce przedstawić Holokaust jako czysto niemiecką zbrodnię, w której Polska nie miała udziału" (sic!).

Boni Michał

Europoseł PO w lipcu 2017 r. informował w języku angielskim międzynarodową opinię publiczną na Twitterze: „To jest Jarosław Kaczyński, dyktator, szef rządzącej partii Prawo i Sprawiedliwość". Miesiąc później, podczas debaty o Polsce, dziękował wiceszefowi Komisji Europejskiej Fransowi Timmermansowi za „angażowanie się w sprawy Polski". W listopadzie 2017 r., ponownie za pośrednictwem Twittera, wyrażał wdzięczność wobec tych europejskich polityków, którzy „bronią praworządności i demokracji w Polsce". Nie trzeba dodawać, że jako jeden z sześciorga polskich europarlamentarzystów, wbrew zaleceniom własnej partii, zagłosował za przyjęciem rezolucji Parlamentu Europejskiego „w sprawie praworządności w Polsce". Mediom tłumaczył, że dowodzi ona, iż „jest jeszcze nadzieja dla Polski". „Decyzja była taka, że jest wstrzymanie się od głosu. [...] Jednak to, że jestem w Komisji Wolności Obywatelskich, Sprawiedliwości i Spraw Wewnętrznych, dało mi taką przesłankę, że skoro chcę dalej rozmawiać i być wiarygodny, to trzeba było tak zagłosować. Myślę, że w niektórych sprawach trzeba pełnej jednoznaczności" – mówił dawny współpracownik SB.

Budka Borys

Jeden z czołowych polityków PO w sierpniu 2017 r. udzielił pamiętnego

eprasa.pl dd70aa56f6

wywiadu niemieckiemu dziennikowi „Die Zeit", w którym stwierdził, że „Unia Europejska musi postawić Polsce ultimatum" oraz „pokazać bezwzględność". Po fali miażdżącej krytyki skomentował swoją wypowiedź w rozmowie z portalem TVP Info. „Nie znam niemieckiego. Wywiadu udzielałem po polsku, autoryzacja też była po polsku. Przysłano mi tekst, ja wszystko poprawiłem i odesłałem do redakcji, zakładając, że w tym tłumaczeniu nie będzie jakichś wielkich rzeczy" – oświadczył. „Możliwe, że w wyniku tłumaczenia powstał jakiś błąd, przeinaczenie. To jedyna rzecz, która przychodzi mi do głowy".

Komitet Obrony Demokracji

Już w styczniu 2016 r. członkowie KOD (wtedy jeszcze z Mateuszem Kijowskim na czele) wysłali do europarlamentarzystów list otwarty. „Przez ostatnie 26 lat naród polski dwukrotnie wstępował na ścieżkę demokracji, wolności i rządów prawa. Po raz pierwszy, gdy obaliliśmy pokojowo komunistyczny reżim, i później, kiedy w referendum zdecydowaliśmy o wstąpieniu do Unii Europejskiej. Obecny rząd zawraca nasz kraj z tej ścieżki [...]. Dziękujemy za zorganizowanie debaty w Parlamencie Europejskim na temat demokracji i rządów prawa w Polsce. Potrzebujemy takich debat i – jeśli to okaże się niezbędne – również stanowczych akcji władz Unii Europejskiej" – kończyli list jego autorzy. Niemiecka komórka KOD przedstawiająca się jako „KOD DE" w listopadzie 2016 r. wysłała kolejną petycję – do ówczesnego szefa PE Martina Schulza, przewodniczącego KE Jeana-Claude'a Junckera, wiceprzewodniczącego Fransa Timmermansa oraz Donalda Tuska, apelując w niej o pomoc w „przywróceniu w Polsce demokracji". Z kolei komórka KOD w Wielkiej Brytanii w lipcu 2017 r. opublikowała na swojej stronie pismo wzywające europosłów do podjęcia natychmiastowej interwencji. Czytamy w nim: „Zwracam się z prośbą o wsparcie polskich obywateli i o zażądanie od Komisji Europejskiej, aby wdrożyła art. 7 Traktatu o Unii Europejskiej umożliwiający nałożenie sankcji, w tym odebranie prawa głosu państwu członkowskiemu".

Lewandowski Janusz

W grudniu 2016 r. eurodeputowany PO żalił się na konferencji prasowej: „Dziś Parlament Europejski patrzy na Aleppo, a powinien patrzeć na ulice Warszawy". Przewodniczący partii Grzegorz Schetyna próbował potem tłumaczyć, że słowa Lewandowskiego zostały „źle zrozumiane i źle wpisane w kontekst całej wypowiedzi dotyczącej Warszawy". Twierdził, że rozmawiał z Lewandowskim, i wie iż... nie było jego intencją porównywanie Aleppo i Warszawy. A jednak niespełna rok później, w listopadzie 2017 r., Lewandowski swoją „złotą myśl" twórczo rozwinął podczas debaty PE w Strasburgu. „To, co czuję dzisiaj, wyrażę słowami mojego rodaka, który dokonał desperackiego aktu samospalenia niedawno w centrum Warszawy. Jego słowa brzmiały:

»Wstydzę się, że znajomym z Zachodu muszę tłumaczyć, że Polska to nie to samo, co polski rząd«". I dodawał już od siebie: „Ludzie nie wiedzieli, że głosują [...] na deptanie ładu konstytucyjnego, niezawisłego sądownictwa, a nawet wycinanie ostatniej istniejącej puszczy na terenie Europy. A także ściganie uczestników pokojowych manifestacji, przy tolerancji dla tolerowania przejawów ksenofobii, rasizmu i neofaszyzmu na naszych ulicach [...]. Wolny świat, demokratyczny świat upomina się o Polskę jako członka własnej rodziny. Upomina się w imię zasad, w których kryje się mądrość zgromadzona w drodze prób i błędów. Mądrość, jak zorganizować wolne społeczeństwo, by chronić swobody obywatelskie przed dyktaturą. [...] To jest nasza Unia Europejska, to jest nasz Parlament!" – grzmiał Lewandowski. Kilkanaście dni temu dodał, że „oczywiście UE ma słabe narzędzia, aby karać [Polskę – przyp. K.F.]. Uważam, że jeżeli już, to należałoby sankcjonować osoby, tak jak to jest w przypadku otoczenia Putina".

Michnik Adam

Redaktor naczelny „Gazety Wyborczej" już w 2013 r. atakował na zagranicznych łamach PiS, czyli ówczesną opozycję. W wywiadzie dla niemieckiego „Der Spie-

eprasa.pl dd70aa56f6

gel" mówił np., że Jarosław Kaczyński pragnie „pełzającego zamachu stanu", a jego dojście do władzy „byłoby niebezpieczne". Twierdził, że Polacy i Węgrzy uważają się w UE za obywateli drugiej kategorii, porównywał Orbána i Kaczyńskiego do Hitlera. Niedługo potem w rozmowie z „Die Welt" przekonywał: „Jestem redaktorem naczelnym gazety, która walczy z ksenofobiczną histerią. Ale jest wytłumaczenie tych lęków: Polska za sprawą Hitlera i Stalina stała się krajem jednorodnym etnicznie. Jeśli ktoś jest np. ciemnoskóry, wygląda egzotycznie. Wielu ludzi odczuwa strach, bo tego nie znają". Opozycja PiS reprezentowała, jego zdaniem, stanowisko „nacjonalistyczne, ksenofobiczne i zakłamane". Słuszna była za to polityka Angeli Merkel. „Myślę, że postępuje właściwie. Jej podejście do tej sprawy jest szlachetne i mądre". „Wchodząc do UE, przejęliśmy odpowiedzialność za tę wspólnotę. Niektórzy polscy politycy sądzą, że UE jest po to, by nam dawać pieniądze, i w zamian nie może na nic liczyć" – opowiadał Michnik.

Po wygranych przez PiS wyborach parlamentarnych trzech dziennikarzy „GW" (Michał Kokot, Paweł Wroński, Roman Imielski) zostało „oddelegowanych" do komentowania sytuacji w Polsce na łamach „Die Zeit". „Krok po kroku nowy rząd w Polsce buduje państwo narodowo-prawicowe. Te zmiany będą dokumentować polscy dziennikarze" – czytaliśmy na stronie internetowej niemieckiego tygodnika. W październiku 2016 r. w rozmowie z „Der Spiegel" Michnik miał nawet nieoczekiwanie stwierdzić, że jego rodzice zginęli w Holokauście – chociaż ojciec zmarł w 1982 r., a matka w 1969 r. Po fali oburzenia, jaka przetoczyła się przez polskie media, redakcja „Der Spiegel" zaczęła wspominać o tradycyjnych już w takich przypadkach „przekłamaniach w tłumaczeniu".

Petru Ryszard

W kwietniu 2017 r. ówczesny lider Nowoczesnej napisał list do Guya Verhofstadta, przewodniczącego Grupy ALDE (Porozumienie Liberałów i Demokratów na rzecz Europy) w PE. Dziękował w nim za „troskę o Polskę" i spieszył donieść, że kraj nasz „przestaje być demokratycznym państwem". „Często przypominasz nam, że łamanie demokracji i praw człowieka przez rząd PiS nie jest tylko polskim problemem. To problem całej Europy. Wiemy, że cała rodzina europejskich krajów jest z Polakami i wspiera nas w tych trudnych dla demokracji i dla naszego państwa chwilach [...]. Rząd ogranicza prawa obywatelskie i prawa człowieka, niszczy sądownictwo, organizacje pozarządowe i media" – alarmował lider Nowoczesnej w liście do człowieka, który po ubiegłorocznym Marszu Niepodległości bredził w Strasburgu, iż „tysiące faszystów, neonazistów i zwolenników supremacji białej rasy przemaszerowało 300 km od Auschwitz".

Sroka Magdalena

W październiku 2017 r. media obiegł skan listu podpisanego kilka miesięcy wcześniej przez szefową Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej – do hollywoodzkiego stowarzyszenia filmowców MPAA. „Sytuacja w Polsce jest znów bardzo niebezpieczna [...]. To przerażające, jak szybko możemy wrócić do absurdalnej cenzury prowadzeni przez ksenofobicznych nacjonalistów w cieniu figury Chrystusa króla Polski, wymazując z podręczników szkolnych Lecha Wałęsę i nazywając go zdrajcą". Szef Rady PISF reżyser Jacek Bromski tłumaczył, że autorką listu podpisanego przez Srokę była jedna z pracownic instytutu.

Thun Róża

Znanej z zamiłowania do polityki Niemiec europosłanki PO nie mogło zabraknąć w grupie sześciorga polskich eurodeputowanych opowiadających się za uruchomieniem przez Radę UE działań przeciwko Polsce. Wielokrotnie opowiadała się za przyjęciem przez nasz kraj muzułmańskich imigrantów, wbrew woli zdecydowanej większości społeczeństwa. Gdyby ktoś chciał otrzymać jej poglądy w pigułce, może obejrzeć niedawny reportaż „Re: Polen vor der Zerreißprobe – Eine Frau kämpft um ihr Land" przygotowany przez kanał Arte (finansowany przez niemiecki rząd), ukazujący Polskę jako antydemokratyczne państwo zmierzające ku dyktaturze. „Słuszne", antypolskie treści pojawiają się już w zapowiedzi. „Róża Thun często walczyła o swój kraj. Jako była rzeczniczka »Solidarności« była istotną współuczestniczką przełomu 1989 r. W 2017 r. znowu mu-

eprasa.pl dd70aa56f6

siała wyjść na ulicę, ponieważ nigdy nie straciła marzeń, a kurs rządów PiS znowu prowadzi do systemu autokratycznego" – mówi niemiecki lektor. „O demokrację walczyliśmy przez dekady. A teraz oni chcą ją zniszczyć? To zmierza w kierunku dyktatury, ale my na to nie pozwolimy!" – piekli się w filmie Thun.

Tusk Donald

Na początku 2016 r. przewodniczący Rady Europejskiej mówił do eurosocjalistów, iż ma nadzieję, że „ich słowa i działania pomogą złagodzić zachowanie partii Kaczyńskiego". W listopadzie 2017 r. pisał na Twitterze: „Alarm! Ostry spór z Ukrainą, izolacja w Unii Europejskiej, odejście od rządów prawa i niezawisłości sądów, atak na sektor pozarządowy i wolne media – strategia PiS czy plan Kremla? Zbyt podobne, by spać spokojnie". Być może była to jakaś forma zemsty na Polsce, która jako jedyny kraj unijny nie poparła jego kandydatury na drugą kadencję w RE. Co ciekawe, o brutalności policji w Hiszpanii czy bestialskich atakach imigrantów w Niemczech na kobiety współtwórca PO milczał jak zaklęty.

Wałęsa Lech

Jeden z najbardziej zajadłych wrogów dzisiejszej Polski, zapowiadający użycie przemocy fizycznej wobec członków polskiego rządu. Już we wrześniu 2016 r. pisał na Twitterze: „Moja zdecydowana prośba do Parlamentu Europejskiego. Nie dajcie się wodzić za nos. To, co robią w Polsce rządy, to jest niebezpieczne, niewłaściwe i na to solidarność międzynarodowa pozwolić nie może". Dwa miesiące później w wywiadzie dla niemieckiej gazety „Sueddeutsche Zeitung" dodawał: „Domagam się efektywnych działań, łącznie z groźbą wykluczenia Polski z Unii Europejskiej [...]. Ludzie Kaczyńskiego, sięgając po populizm i demagogię, wprowadzili wiele zła i będą to kontynuować, aż nie zostaną zatrzymani". Ponadto „Polska znajduje się w ślepej uliczce i dlatego potrzebuje pomocy z całego świata". W listopadzie 2017 r. rosyjskiej agencji ITAR-TASS komunikował, że „należy stworzyć z Polski i Niemiec jedno państwo". Chwilę potem znów apelował do unijnych struktur: „W związku ze szkodliwym, bezczelnym działaniem polskiego rządu i ludzi tej opcji apeluję do wolnego świata i organizacji demokratycznych o solidarną pomoc, by wszędzie, gdzie to możliwe, ludzi tych wyrzucić z zajmowanych stanowisk". Ponowił swoje wezwania miesiąc później: „Bardzo proszę Unię i innych przyjaciół Polski o jeszcze bardziej zdecydowane działania dyscyplinujące". W nowym, 2018 r., zdążył już wyrzucić z siebie kolejną porcję frustracji. „Mamy nową sytuację na Zachodzie i inne problemy w rodzinie europejskiej, której jesteśmy częścią. Nie możemy myśleć kategoriami państewek [...]. Sankcje nie powinny być nałożone na Polskę, ale na rządzących z PiS. Niech decydenci osobiście ponoszą konsekwencje. Nie wpuszczać ich na Zachód. Nie przyjeżdżać z delegacjami. Zablokować konta. Uderzyć w parlamentarzystów PiS i rząd" – prosi Wałęsa.

Fot. Andrzej Skwarczyński (x 2), Andrzej Wiktor (x 3), Mateusz Zelnik, M. Czutko, East News/Wiktor Dąbkowski, East News/Bartosz Krupa, Andrzej Banas/Polska Press, East News/Michał Woźniak, Shutterstock

eprasa.pl dd70aa56f6

Rozbiliśmy bank

Zarzuca się nam propagandę, ale ona działa tylko w warunkach monopolu tej propagandy. Tylko wówczas jest skuteczna. Gdy mamy pluralizm, a mamy, widz sam wybiera to, co chce – mówi prezes TVP ***Jacek Kurski*** w rozmowie z Jackiem Karnowskim

Fot. Andrzej Wiktor

8 stycznia 2016 r. objął pan stery telewizji publicznej. Minęły więc równo dwa lata.

Jacek Kurski: Bardzo trudne dwa lata, ale zdecydowanie na plus. Bo najważniejsze, że idziemy w dobrym kierunku, tak by odbudować wielkość, prestiż i misję publiczną Telewizji Polskiej.

Ale nie wszystko się udało. W pierwszym wywiadzie dla „Sieci" zapowiadał pan m.in. weekendy tożsamościowe. To miała być skoncentrowana dawka przekazu związana z tematem dotychczas przemilczanym lub zakłamanym.

Tak, był taki pomysł. Okazało się jednak, że rozproszenie rynku jest zbyt duże, by sfokusować uwagę opinii przy tak dużej dawce misji i tożsamości. Nie można aplikować zbyt dużo pigmentu. Ale to była cenna lekcja.

W jakim sensie?

Wniosków na przyszłość. Są dwa podejścia do misji telewizji publicznej. Posłużę się metaforą rozpędzonego pociągu. Telewizja to rozpędzony skład pociągu. Skuteczna realizacja misji

eprasa.pl dd70aa56f6

uda się, gdy dostawimy jeden lub nawet kilka wagonów z misją i jedziemy dalej z tą samą prędkością. Temu służy „Korona królów". Temu służą atrakcyjne realizacje Teatru Telewizji, np. „Marszałek", czy też umieszczenie teatru między „Wiadomościami" a „Bondem". Skuteczna misja telewizji musi być dawkowana i dostosowywana do widza. Oprócz kultury wysokiej, która oczywiście musi być obsługiwana i jest obsługiwana przez telewizję publiczną, należy mieć ambicję dotarcia z misją pod strzechy. To mi się kulturowo i tożsamościowo wydaje równie ważne na przyszłość.

Jakie jest drugie podejście do misji?

Ono zakłada, że pociąg misji wcale nie musi pędzić tak szybko. To może być nawet wąskotorówka, sunąca bocznym torem, ale spójna, pełne wagoniki wyłącznie misyjne, dla niewielu pasażerów. Tego typu podejście preferują np. niektóre ważne osoby publiczne z obszaru instytucjonalnego otoczenia mediów publicznych, i mają swoje racje. W przypadku TVP przykład wspomnianych weekendów tożsamościowych pokazał nam jednak, że zbyt duża dawka czystej misji będzie po prostu przeciwskuteczna, bo jej widownia nadmiernie się skurczy.

W pociągu TVP będą więc wagony misyjne i niemisyjne?

Wagony to duże uproszczenie. Jednak te załadowane lżejszymi gatunkami i formami nadają pociągowi prędkość. Według mojej koncepcji wątki misyjne muszą być wplatane wszędzie tam, gdzie to możliwe. A więc do teleturniejów, seriali, transmisji z meczów piłkarskich i skoków narciarskich.

Skoków?

Gdy hymn narodowy odegrany przez góralską kapelę na skrzypcach w Zębie po zwycięstwie Kamila Stocha słyszy w TVP1 7 mln ludzi, to przecież to umacnia wspólnotę. To emocje wspólnotowe, misja w czystej postaci. Ale wracając do misji: pewne złudzenia co do możliwości realizowania misji rozwiały się, ale nie poddajemy się. Szukamy najbardziej efektywnego sposobu działania.

Jakie jeszcze złudzenia się rozwiały?

Okazało się, że niestety nie ma wielu dobrych producentów telewizyjnych, którzy czekają w blokach startowych na swoją szansę. Kilka prób przebiegło podobnie: najpierw było oczekiwanie, aby produkować rozrywkę czy reportaż zagraniczny za duże pieniądze, a kiedy efekt był mizerny i widzowie nie docenili tych dzieł, następowały pretensje do telewizji i całego świata. Na szczęście sporo powrotów się powiodło, by wymienić choćby Anitę Gargas, Marcina Wolskiego czy Jacka Łęskiego.

Ale jeśli TVP nie będzie szukała alternatywy, to zawsze będzie zakładnikiem producentów mainstreamowych.

Ależ od pierwszego dnia w TVP szukamy alternatywy. I znajdujemy. Wiemy też już, że opcja światopoglądowa poprzednio w telewizji nieobecna nie ma w tym obszarze istotnych zasobów. Musimy je wspólnie stopniowo rozwijać, a to projekt na wiele lat. Najważniejsze, że wprowadzamy uczciwe reguły i standardy pozyskiwania kontentu.

Były też zapowiedzi, że TVP będzie więcej sama produkowała, zamiast kupować u zewnętrznych producentów.

Udział własnej produkcji systematycznie rośnie. Brakuje nam własnych hal i sprzętu, aby ją zrealizować. Dziś bywa tak, że nasze wszystkie studia są zajęte. Dlatego nie możemy produkować u siebie „The Voice Kids" ani „Koła Fortuny". Pod koniec roku ruszymy z budową profesjonalnych, wielofunkcyjnych hal zdjęciowych, tu, na Woronicza. Mają mieć elastyczne łączniki, dzięki czemu będziemy mogli wyciszyć drgania i jednocześnie realizować dwie lub trzy produkcje. Nasi poprzednicy zachowywali się jak właściciele lombardu czy komisu: kupowali formaty, także seriale, bez praw autorskich, tak robią najsłabsze telewizje. Teraz staramy się sami nabywać licencje do formatów oraz prawa do scenariuszy. Odzyskaliśmy prawa do „Familiady" i „Jaka to melodia". Producent zewnętrzny coraz częściej staje się tylko usługodawcą, a nie właścicielem marki. Oprócz zdolności produkcyjnych odbudowujemy zasoby kreatywne. Temu służy reforma strukturalna. Sukces odbudowanego Teatru Telewizji pokazał pilotażowo słuszność tej reformy. Konsolidacja gatunku telewizyjnego i zasobów twórczych, plus budżet w jednych rękach zamiast szczątków redakcji teatru w TVP1, TVP2, TVP Kultura, i są efekty. Silna telewizja sama kreuje, produkuje i sprzedaje innym licencje oraz formaty.

TVP nie ma też praw do wielu polskich filmów, bo nie przedłużyła w przeszłości licencji. To dlatego popularnych komedii nie można zobaczyć w telewizji publicznej, ale można w stacjach komercyjnych.

Doprowadza mnie do szału, gdy widzę u konkurencji „Samych swoich". Taka była polityka poprzedników, którzy lekką ręką wyzbywali się praw. W sferze praw autorskich jest dużo bałaganu, są jakieś półpaństwowe, półprywatne instytucje, które na tym zarabiają.

Podjął pan również walkę w dziedzinie telemetrii, zarzucając firmie Nielsen, że jej panel badawczy krzywdzi media publiczne. Z pewnymi sukcesami, bo panel został nieco skorygowany, a Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji zapowiedziała budowę własnego systemu badawczego.

Mamy też dostęp do danych operatora kablowego, które w czasie rzeczywistym pokazują, co ogląda ok. 0,5 mln widzów. Można powiedzieć, że Nielsen to sondaż przedwyborczy, a nasze dane to realne wyniki wyborów z komisji wyborczych, nie wszystkich, ale jednak wielu. Komu wierzymy bardziej?

To zależy. Wyniki nawet z większości komisji mogą być mylące. Pamiętamy wybory, w czasie których po północy na prowadzenie wychodził kandydat przegrany.

Tak, ale różnice były dwu-, trzyprocentowe, a nie – jak w przypadku naszego sporu z Nielsenem – sięgające kilkudziesięciu procent. Pamiętajmy też, że próba Netii jest dość niekorzystna dla TVP: albo wielkomiejska, albo skupiona w zachodniej Wielko-

eprasa.pl dd70aa56f6

polsce, na Kujawach, na Śląsku, Dolnym Śląsku, w Opolskiem czy na Pomorzu i w okolicach Warszawy. Mimo to wyniki są dla nas korzystniejsze. Te dane pokazują, że TVP jest zwyczajnie oszukiwana.

Ale na danych, które pan prezentuje w mediach społecznościowych, widać, że czasem np. „Wiadomości" nawet według danych Netii przegrywają z „Faktami".

W Netii nie widać 600 tys. widzów „Wiadomości", którzy oglądają ten program w TVP Info. Zsumowane wyniki dają zawsze prowadzenie naszemu programowi. Wyniki oglądalności decydują o przepływie miliardów złotych, a błędy pomiarów mogą skutkować tym, że niektórzy nadawcy komercyjni uzyskują w wyniku zmowy pseudorynkowej nawet setki milionów dodatkowych przychodów kosztem TVP. Do annałów przejdzie raport oglądalności sprzed dwóch tygodni, w którym Nielsen wykazał, że najchętniej oglądaną pozycją świąt Bożego Narodzenia nie był „Kevin sam w domu", ale była... przerwa reklamowa w czasie tego filmu. Nigdzie na świecie czegoś takiego nie ma, w Nielsenie jest. Ale telemetria to niejedyne źródło strat TVP. Drugim jest definicja grupy komercyjnej, czyli grupa, za którą płacą reklamodawcy. Dziś definiowana jako osoby w wieku od 16 do 49 lat. To najbardziej bandycki sposób okradania TVP. Na przykład „Jaka to melodia" wygrywa swoje pasmo siedem razy w tygodniu. Program ogląda według Nielsena średnio ok. 2 mln 200 tys. osób, ale pieniądze dostajemy za 250 tys. osób grupy komercyjnej, których wykazuje Nielsen. To oznacza, że musimy dokładać do programu, który bije konkurencję. I to niejedyny taki przypadek. Jest ich multum, z „Rolnik szuka żony" na czele. 4,5 mln widzów i dopłacamy do programu.

Co z tym można zrobić?

Grupa komercyjna powinna obejmować wszystkich mieszkańców Polski od 16. roku życia. Uświadamiamy reklamodawcom, także podczas spotkań bezpośrednich, że robią zły biznes. Są jak posiadacze kredytów we frankach, których kosztem zarabiali deweloperzy i banki. W reklamie tracą ci, którzy się reklamują, a zarabiają prywatne telewizje i domy mediowe. Krucjata więc trwa, jesteśmy blisko przełomu.

Definicja grupy komercyjnej pewnie się zmieni, gdy widownia TVN nieco się zestarzeje. Wówczas dojdą do wniosku, że starsi i młodsi mają jednak także dużo pieniędzy.

Będzie jak w dowcipie, według którego po wygranych przez PO wyborach w 2007 r. szefowie TVN ogłaszają: „Dość już krytykowania rządu, to już nudne, od teraz krytykujemy opozycję". Dane GUS pokazują, że dziś sytuacja jest absurdalna: grupa komercyjna wydaje na dobra konsumpcyjne 278 mld zł rocznie, a grupa niekomercyjna, czyli 50 plus, niemal tyle samo, bo 258 mld. W przeliczeniu na głowę nawet więcej o 100 zł na miesiąc, bo jest trochę mniej liczna. To ludzie, którzy są na szczycie życiowej kariery, mają oszczędności, wychowali dzieci, spłacili zobowiązania, mają czas.

Podkreśla pan, że chce, by współczesna TVP była przede wszystkim telewizją „na żywo", telewizją wielkich wydarzeń łączących Polaków. Bo stara telewizja sztywnych ramówek i cyklicznych programów może nie umiera, ale słabnie. Widać to także w wynikach stacji komercyjnych.

Intuicyjnie czułem to od dawna, a teraz mam już pewność. Dlatego tak mocno inwestujemy w telewizję live, czyli w wysokogatunkowy sport, w niezbędny sprzęt dla upgrade'u technologicznego i wizualnego newsów czy koncerty live od tego roku. Bo w świecie telewizji zachodzi naprawdę duża zmiana. Nawet świetne zachodnie filmy oglądane są dość słabo. Każdy z nas ma poczucie, że może w każdej chwili włączyć komputer i wybrać, co chce. A jeżeli coś jest „na żywo", to ludzie jednak mają poczucie wyjątkowości oraz współuczestnictwa. I zostają z nami.

Dlaczego?

Czują się świadkami wydarzeń, ich częścią. Nie chodzi tylko o sprawy oczywiste, a więc sport, wielkie wydarzenia, np. Światowe Dni Młodzieży, Drogę Krzyżową w Koloseum i widowiska, takie jak narodowy sylwester. Pewnie zaskoczę czytelników, ale bardzo dobrze oglądają się np. transmisje mszy świętych. To jednak kosztuje. Telewizje komercyjne nie inwestują zbyt dużo w sylwestra, bo wiedzą, że to im się nie zwróci. Czyli taki model nie jest możliwy albo bez skutecznego abonamentu, albo bez wsparcia z budżetu państwa.

Według prawa powinniśmy mieć z abonamentu 2 mld 400 mln zł rocznie, a mieliśmy 360 mln, więc 15 proc. Przy czym wpływ abonamentu na nasze działania jest neutralny, bo realizując misję, ponosimy koszty i stosujemy się do wielu ograniczeń. Gdybyśmy nie mieli abonamentu, a jednocześnie mogli przerywać „M jak miłość" i inne seriale reklamami, to wpływy na pewno wyrównałyby straty.

Ale widać także, że kierowana przez pana telewizja rezygnuje na niektórych antenach z reklam, np. w TVP Info.

To są zawsze dylematy. Zdjęcie dużej części reklam przyniosło wzrost oglądalności, ale dział reklamy protestuje. Trzeba to balansować. Moim zdaniem musimy się ścigać z rynkiem, walczyć o pieniądze z rynku, bo to motywuje, ale to nie powinno być naszym głównym celem.

Czy po tych dwóch latach wie pan już, jaką telewizję chce budować? Jak mają wyglądać poszczególne anteny?

Tak, to mamy już jasno określone. Jedynka będzie anteną „Misja milion plus". Docelowo w najlepszym czasie antenowym powinna prezentować wyłącznie programy, które nie schodzą poniżej 1 mln widzów. To muszą być produkcje wciągające widzów, budzące pozytywne emocje, odwołujące się do wielomilionowej publiczności, a jednocześnie możliwie tożsamościowe. To ma być „misja sexy".

A Dwójka?

Dwójka to rozrywka: seriale, teleturnieje, widowiska muzyczne, z wyjątkiem wydarzeń zarezerwowanych dla Jedynki, a więc np. festiwali. Czyli też

eprasa.pl dd70aa56f6

Fot. Andrzej Wiktor

misja, ale skoncentrowana na rozrywce i life style'u. No i wreszcie Trójka, czyli TVP3, do tej pory pozbawiona tożsamości, nie wiadomo do końca, dla kogo robiona, nie wiadomo, z jaką misją. Mój pomysł jest jasny: to powinna być antena „Misja milion minus". Chodzi o audycje misyjne, potrzebne, ciekawe i ważne, ale jednak niszowe, zaniżające wynik dwóch głównych anten, trafią docelowo właśnie tam. Te wszystkie cenne programy historyczne, rekonstrukcyjne, wojskowe, przyrodnicze, lajfy lokalne, ale i do pewnego stopnia z charakterem wydarzenia ogólnopolskiego, jak ingres biskupa nie największej diecezji albo relacje z ważnych eventów sportów drugiego wyboru, jak żużel, hokej czy piłka nożna niższych lig, albo też losowanie lotto. Słowem misja, która ciągnęłaby TVP1, TVP2 czy Info w dół, a dzięki ofercie ciekawej dla 400–900 tys. widzów – da TVP3 nowe życie i nową tożsamość, a z czasem prestiż jako antenie ogólnopolskiej.

Taka „bajaderka", ciastko z tego, co zostało?

Nie, to ma być antena traktowana poważnie, na równi z Jedynką i Dwójką. Chcemy przesunąć pasma regionalne z wczesnego wieczoru na wcześniejsze godziny. To będzie korzystne dla oddziałów regionalnych, bo dziś są one przesłaniane przez prime time głównych anten i zwyczajnie nie są oglądane. Życie w terenie dzieje się od rana, a oddziały TVP mogą to pokazać najwcześniej o 18.30. Taka antena jest TVP bardzo potrzebna. Oczywiście, musi się to łączyć z dofinansowaniem naszych oddziałów, co zaczęliśmy robić.

Czy będą zmiany w obszarze kanałów tematycznych?

Chcemy, by obok TVP ABC, TVP Historia i TVP Kultura na multipleksie pojawił się TVP Sport, dziś nadawany przez satelitę i sieci kablowe. Przed nami rok olimpijski, rok mundialu. Przy okazji stało się jasne, że opłaciło się nam czekanie ze startem nowych kanałów na MUX-8, gdzie mamy trzy miejsca, tzw. sloty; cztery telewizje, które tam wystartowały, szybko się wykrwawiają i raczej nie zawojują świata. Każdy ruch trzeba starannie przemyśleć. Rynek telewizyjny jest tak nasycony, że śmierć czyha za rogiem.

Zasięgi MUX-8 były relatywnie małe, a do tego oferty nowych telewizji były do siebie podobne; ponadto chciały walczyć na drogim rynku programów informacyjnych. To musiało się skończyć katastrofą.

Wspomniał pan o sylwestrze. Ponoć tani nie był...

Kosztował, ale znacznie mniej, niż słyszę na mieście. Moi poprzednicy myśleli pieniędzmi. Jeśli Wrocław daje 3 mln, to jedziemy do Wrocławia, połowę kosztów mamy z głowy, wszystko gotowe, scena stoi na betonie, nie trzeba żadnych umocnień, nic. A ja pomyślałem sobie: nie tędy droga, pieniądze są bardzo ważne, ale nie najważniejsze. Przecież to ma być narodowy sylwester Polaków! Nikt nie jedzie na sylwestra do Katowic czy Warszawy. A do Zakopanego jedzie cała Polska. Więc gdzie TVP ma witać Nowy Rok, jeśli nie tam?

Narodowy sylwester, czyli też misja?

Tak, do tego delikatne motywy patriotyczne. Biało-czerwony napis „2018" i wykonawcy śpiewający na 100-lecie niepodległości, że „ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy".

Czy gwiazdy i gwiazdeczki przestały już się gniewać na TVP?

Ta próba sił została, czuję to, rozstrzygnięta właśnie w sylwestra. TVP pokazała, że można obalić monopol III RP w sferze rozrywki. Wyznacznikiem telewizji publicznej muszą być ambicja i aspiracja. Musimy mieć wszystko, co najlepsze, a co jest w naszym zasięgu. A więc walczymy o „Despacito", rozmowy są trudne, ale wygrywamy. I mamy bombę, największą światową gwiazdę 2017 r. Wygraliśmy sylwestra przed sylwestrem. Walczymy o najbardziej gorący polski przebój i mamy Sławomira z jego zjawiskowym przebojem „Miłość w Zakopanem".

„Despacito" to 0,5 mln euro?

Znacznie mniej, choć sporo. Większą część honorarium pokryli dedykowani tej gwieździe sponsorzy.

Czy disco polo naprawdę musi bawić Polaków w TVP? Czy to jest ambicja?

Ambicja, ale we właściwej proporcji. W TVP wszystkie gusta powyżej pewnego elementarnego poziomu estetyki powinny być reprezentowane. A disco polo, niezwykle rzadko pokazywane w TVP, jest powyżej pewnego poziomu, to nie jest rąbanka, to są piosenki o czymś, zgrabne muzycznie. To jest przeciwdziałanie niewspółrodzajowości, gest przeciwko wykluczeniu znacznej części naszego społeczeństwa.

Co ważne, nikt nie strzelił focha, nikt nic nie rzucił ze sceny. Nawet prowadząca Barbara Kurdej-Szatan, która wystąpiła w spocie PO „wolne sądy".

To było dobre prowadzenie wieczoru, energetyczne, dotrzymane zostały ustalenia. Dowód na to, że nie zamykamy się na ludzi o innych poglądach. Z kolei do artystów dotarło, że oddziaływano na nich manipulacją, fejkiem i zbiorową psychozą w celu demonstracji politycznej. Jest wyraźne uspokojenie, a telewizja jest otwarta na każdą uczciwą współpracę.

Początek roku to również wielka debata wokół „Korony królów". Obóz krytyków był bardzo szeroki, próbowano chyba nawet wykreować modę na szydzenie z serialu. Wypominano, że prezes Kurski obiecał polską „Grę o tron", a wyszła telenowela.

Nigdy nie obiecywałem „Gry o tron", to nieporozumienie. Od początku mówiłem, że to będzie telenowela, kosztująca nie 2, 5, 10, 20 czy 50 razy

eprasa.pl dd70aa56f6

mniej, ale... 220 razy mniej niż jeden odcinek serialu Netflixa. To zupełnie różne gatunki. Naszym punktem odniesienia było bardziej tureckie „Wspaniałe stulecie", niedrogie, ale kolorowe, zmysłowe. My pokazaliśmy, że w ten sposób można zaprezentować i naszą historię. Przełamaliśmy niepisane prawo III RP, które mówiło, że w serialach i telenowelach nie ma przeszłości, nie ma korzeni, nie ma Polski. To się wreszcie udało.

„Korona królów" zaczyna się w chwili śmierci Władysława Łokietka. To był wybór oczywisty?

Toczyły się debaty, był pomysł, by zacząć od początków państwa polskiego. To chyba jednak za daleko, trochę hermetyczne. Wybraliśmy moment, w którym krystalizuje się królestwo, w którym rodzi się potęga, w której cieniu wciąż żyjemy. Co ważne, to jest produkcja wewnętrzna, którą uruchomiliśmy, gdy nie było pewne, że dostaniemy pieniądze.

Widzowie dopisali.

Mamy stabilizację na poziomie ponad 2,5 mln, a w samym VOD 0,5 mln wejść. To fantastyczne osiągnięcie pokazujące, jaki jest głód opowieści o polskiej historii. A ta fala hejtu to również wynik takiego nawyku, że to, co robi TVP, trzeba zjechać, wyśmiać. Nam się po prostu nie może udać.

Dla wielu TVP to przede wszystkim informacja i publicystyka. Ponoć nawet niektórzy politycy PiS po cichu mówią, że przesadzacie. Do pana też takie głosy docierają?

Rzadko, ale docierają, jednak gdy schodzimy do poziomu konkretu, i pytam, co było nieprawdą, to dochodzimy do wniosku, że wszystko było prawdą, tylko że za topornie.

To owe „paski", czyli tytuły do tematów pojawiające się na ekranie, realnie gotują krew?

One są chyba symbolem. Ale my nie kłamiemy, a w TVN24 był taki pasek: „Obywatele RP: w czasie brunatnego marszu pobito kobiety". Nie było żadnego brunatnego marszu, nikogo nie pobito.

Ale TVP Info też potrafi. Na przykład: „Ewa Kopacz chwali kobiety, które zamiast przygotowywać święta, stoją pod sądami". To zrobiło wrażenie.

Czasem nasi dziennikarze przesadzą, ale wówczas staram się ich upominać, a nawet karać. Umiemy się przyznać do błędu. Najważniejsze jest jednak złamanie monopolu III RP na przekaz elektroniczny, a istotą krytyki TVP jest tęsknota za tą samą monokulturą we wszystkich trzech telewizjach.

> Jedynka będzie anteną „Misja milion plus". Docelowo w najlepszym czasie antenowym powinna prezentować wyłącznie programy, które nie schodzą poniżej 1 mln widzów

Ton i kierunek zaangażowania TVP jest jednak jednoznaczny.

Kiedyś powiedziałem, że nie ma telewizji obiektywnych, i spadły na mnie gromy. Ale taka jest prawda: rozwój cywilizacji eksponuje emocje, spory tożsamości. To niekończąca się rywalizacja.

Ale to jest telewizja publiczna.

Jesteśmy przywiązani do naszej misji i do ideałów telewizji publicznej, ale nie możemy abstrahować od tego, co się dzieje wokoło. Telewizje komercyjne dostarczają takiej liczby fejków, prowadzą tak wiele kłamliwych kampanii, że musimy reagować. Pluralizm i obiektywizm w Polsce należy rozliczać, analizując bilans trzech największych telewizji. Nie możemy zaakceptować tezy, że dwie wielkie stacje prywatne, mające oficjalnie prawie połowę rynku, mogą być stronnicze i nie można nic z tym zrobić, a publiczna ma być pół na pół. W takiej sytuacji TVP musi dopełniać pluralizmu.

Czyli idealna telewizja publiczna nie jest możliwa w sytuacji, gdy w basenie pływają rekiny?

Tak. Zarzuca się nam propagandę. Ale ona działa tylko w warunkach monopolu tej propagandy. Tylko wówczas jest skuteczna. Gdy mamy pluralizm, a mamy, widz sam wybiera to, co chce. I wybiera nas. Wyniki pierwszych dni nowego roku są wręcz olśniewające. Rozbiliśmy bank w rozrywce, serialu, w sporcie. Również w informacji, bo nawet według Nielsena TVP Info wygrywa z konkurencją, mimo że TVN24 jest w oczywisty sposób przeszacowane. Zresztą wystarczy zapytać posłów PO, po wizycie w której stacji mają więcej reakcji zwrotnych. Z tego, co mi mówią, nasza stacja jest bezkonkurencyjna. „Wiadomości" również są bardzo oglądane. Szykujemy eksperyment, który to udowodni, ale niestety nie mogę o nim jeszcze mówić.

Czy ostatnie zmiany polityczne mogą wpłynąć na sytuację w TVP?

Paradoksalnie sytuację w TVP stabilizuje wynik konkursu przeprowadzonego przez RMN. Zakończył się on w gorącej atmosferze i przy dużej konkurencji jesienią 2016 r. Nie minęła jeszcze nawet 1/3 mojej kadencji. Tymczasem cele wyznaczane zarządowi TVP przez radę nadzorczą, również wybieraną przez RMN, są jak dotąd realizowane z naddatkiem. TVP rozwija się szybciej, niż to planowaliśmy. Nie ma zatem obiektywnych przesłanek do radykalnych decyzji personalnych. Uzyskaliśmy wreszcie sterowalność okrętu, zdiagnozowaliśmy kondycję, wiemy co, jak i kiedy zrobić. I robimy, przełamując opór imposybilizmu, że nic się nie da. Daje się. Odbudowujemy pozycję i prestiż telewizji publicznej. Tylko że to wymaga czasu i spokoju.

eprasa.pl dd70aa56f6

Serial dopiero się rozkręca

Znam odcinki do 25. i mogę powiedzieć, że będzie to atrakcyjniejsze, teraz nabieramy tempa. Będzie więcej plenerów, będą ciekawe sceny – włącznie z polowaniami i ze scenami zbójeckimi – mówi w rozmowie z Marcinem Fijołkiem ***Ilona Łepkowska****, konsultantka scenariuszowa „Korony królów”*

Spodziewała się pani tak wyraźnej reakcji na „Koronę królów”?

Ilona Łepkowska: Szczerze przyznam, że pierwsze dwa odcinki oglądałam na wsi, a mąż [Czesław Bielecki – przyp. red.] nie widział ich wcześniej; wymieniliśmy się opiniami, po emisji zaś pojechaliśmy do Warszawy. Włączyłam internet i na większości portali były już recenzje. I to nie dwuzdaniowe, ale szeroka krytyka, rekordowe zasięgi hasztagów na Twitterze, mnóstwo komentarzy i uwag...

Fot. East/News/Tomasz Urbanek/East News

eprasa.pl

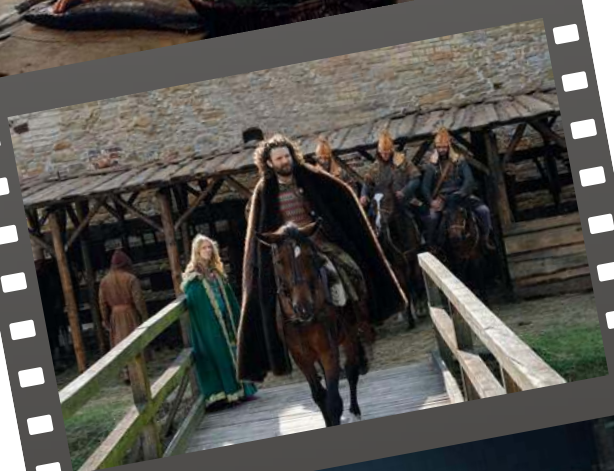

Skąd takie zainteresowanie?

Powodów jest kilka. Po pierwsze, od bardzo dawna nie było żadnej polskiej produkcji kostiumowej. Może poza „Belle Epoque" w TVN, po którym też zresztą ostro się przejechano, ale w mniejszym stopniu niż po „Koronie królów". Rzeczywiście to coś, w czym można się doszukać wielu błędów, organizować zawody pt. „Kto znajdzie więcej nieścisłości" i wygrać nagrodę dnia w internecie...

Po drugie, chodzi o stosunek dużej części społeczeństwa i mediów do TVP. Po stronie opozycyjnej czeka się, że telewizja się na czymś potknie i przewróci. Na razie się tak nie stało. Jest wiele osób, które tylko wypatrują, aż prezes Jacek Kurski się poślizgnie. Tymczasem nawet jeżeli wyniki będą na poziomie 2 mln oglądalności, to polecam zobaczyć statystyki innych seriali, które są na antenie dłużej. Mamy lepszą widownię niż np. „Pierwsza miłość", która jest serialem Polsatowskim pojawiającym się od kilkunastu lat. Nie jest źle. Gdyby widownia ustabilizowała się na takim poziomie, można by mówić o sukcesie.

No dobrze, ale sam prezes Kurski mówił o tym, że to będzie polska wersja wielkiej „Gry o tron", serialu kultowego, wielkiego, bogatego.

Nieszczęśliwie się stało, że w jakiejś wypowiedzi prezes użył sformułowania, że to będzie superprodukcja czy „Gra o tron". Oczywiście, że na bezrybiu i rak ryba, i przy „Klanie" jesteśmy superprodukcją, bo mamy i kostiumy, i szerszy plan itd. Ale rzeczywiście – to było porównanie, które w jakimś sensie zabiło tę produkcję już na starcie. A przynajmniej rozbuchało oczekiwania.

Ilekolwiek razy byśmy to prostowali, i tak to porównanie będzie wracało jak bumerang.

Sprostujmy zatem raz jeszcze. Czym jest „Korona królów"?

To telenowela, czyli gatunek, który ma zdefiniowane ograniczenia. Opiera się w większości na scenach realizowanych w pomieszczeniach, opartych głównie na dialogu. Intryga jest dość uproszczona. W każdej telenoweli i w wielu serialach, które znamy i kochamy od lat – a sama je dobrze znam, bo większość z nich wyszła spod mojej ręki – są uproszczenia. W szpitalu w Leśnej Górze w „Na dobre i na złe" diagnostyka działa bez najmniejszego potknięcia, a pacjenci zdrowieją w okamgnieniu. Jak mówił Hitchcock: „Film to życie, z którego wymazano plamy nudy".

Zatem tacy widzowie jak ja, którzy uwielbiają seriale Netflixa czy HBO, nie mają co liczyć na to, że „Korona królów" im dorówna? O ile mniejszy budżet ma TVP na ten serial?

To jakieś dwieście, może dwieście pięćdziesiąt razy mniej. „Gra o tron" to inna liga nawet w stosunku do wysokobudżetowych polskich produkcji kręconych dla Canal+ czy HBO.

No właśnie, czy „Korona królów" nie mogłaby osiągnąć poziomu choćby „Paktu" czy „Watahy"?

eprasa.pl dd70aa56f6

Nie ścigamy się w tych zawodach. Nie można w jednym biegu wypuścić profesjonalnego sportowca, np. Usaina Bolta, i emerytki, która chodzi do klubu fitness, i dziwić się, że ona z nim przegrała w dystansie na 100 m. Bo przecież – powie ktoś – ona też ma dwie nogi, wie, gdzie jest meta, i powinna być dla niego równorzędnym partnerem.

Z czym w takim razie możemy porównać „Koronę królów"?

Z historycznymi telenowelami tureckimi, np. ze „Wspaniałym stuleciem", choć myślę, że tam mieli większy budżet. To smutna refleksja, ale jesteśmy średniej wielkości i na razie niezamożnym krajem w Europie Środkowej. Swoimi produkcjami telewizyjnymi, w których liczy się pieniądz – bo fachowość to następstwo pieniądza – ustępujemy najlepszym.

U nas krawcy również są dobrzy, ale nie uszyjemy strojów z jedwabiu, bo nie ma na to pieniędzy. Jeśli czytam na portalach grup rekonstrukcyjnych, kto sobie skąd sprowadzał stare koce z sukna angielskiego, z czystej wełny, i szył strój według wzorca z książki, to chylę czoła i mówię: szacunek. Jednak tak na szerszą skalę za małe pieniądze nie da się pracować. My ten serial robiliśmy w biegu.

Pani dołączyła do ekipy stosunkowo późno.

Tak, a ten serial został skierowany do produkcji na podstawie zupełnie innych scenariuszy. Sporo zmienialiśmy... I jeżeli ktoś dziś narzeka na dialogi, to owszem – mogę się podpisać i powiedzieć: tak, dałam ciała. Ale nie będę tłumaczyć skomplikowanych meandrów dotyczących dwóch pierwszych odcinków, które musiały być skrócone, inaczej zrealizowane, w zasadzie rozpoczęte raz jeszcze.

To wszystko jest rozpoznaniem bojem. Nie było żadnych prób na poligonie, od razu zostaliśmy rzuceni na głęboką wodę. W ciągu dwóch dni musiałam zebrać zespół scenariuszowy i musieli to być ludzie, którzy znaliby się na historii. Dostaliśmy stertę książek, wykonaliśmy ogrom pracy.

Internauci wytykają wiele błędów, nieścisłości, gadżetów, które nie pasują do epoki historycznej.

To często dyskusje o tym, czy mąka na planie serialu mogła być biała... Oczywiście może na stole mogły być miski żeliwne, nie drewniane. Ale podam panu przykład: ktoś się przyczepił, że jedna z bohaterek odmawia „Ave Maria", i napisał, że to modlitwa zaakceptowana przez Kościół 200 lat później, niż toczy się akcja serialu.

I to oczywiście prawda, lecz wystarczy przeczytać podstawowe informacje o tej modlitwie, by przekonać się, że jej pierwsza część to fragmenty Nowego Testamentu, znane i odmawiane dużo wcześniej. Z kolei Adam Wajrak pisze, że litewska puszcza wyglądała inaczej. No tak! Mamy odtworzyć XIV-wieczną puszczę litewską? Albo jechać do rezerwatu na Litwie? Przecież to jakaś brednia.

eprasa.pl dd70aa56f6

Mimo wszystko są i uwagi bardziej merytoryczne, trafione, rzeczowe, często płynące z dobrego serca, a nie woli prostego hejtu. Biorą je państwo pod uwagę?

Ależ oczywiście. Z tym że kalendarz jest taki, że te uwagi czy sygnały możemy wdrożyć dopiero przy czterdziestym odcinku realizacyjnym, a scenariuszowo sześćdziesiątym.

Będzie więcej wartkiej akcji? „Korona królów" nabierze tempa, rozwinie się nieco?

Znam odcinki do 25. i mogę powiedzieć, że będzie to atrakcyjniejsze, teraz nabieramy tempa. Będzie więcej plenerów, będą atrakcyjne sceny – włącznie ze ścinaniem głów, z polowaniami i ze scenami zbójeckimi. Myślę, że nie będzie tak najgorzej, jak kreślą niektórzy. A przede wszystkim zobaczymy to, na czym się opiera telenowela: emocje, bohaterów, za których historią będziemy szli i czekali na jej rozwój. A przy okazji – wszyscy będziemy się uczyć dziejów Polski.

Zresztą odnoszę wrażenie, że już teraz dzięki „Koronie królów" wszyscy się uczymy. Choćby ci, którzy otwierają encyklopedie i podręczniki, by wytknąć nam jakieś merytoryczne błędy [śmiech]. Bardzo dobrze, prosimy o więcej uwag, czytajmy o naszej historii, szukajmy dziur w całym.

> Z „Wyborczej" dowiedziałam się, że nie przez przypadek robimy film o Piastach, bo w ich czasach Polska była otoczona wrogami i byliśmy sprzymierzeni tylko z Węgrami

Mówiła pani na początku naszej rozmowy, że część pretensji wobec „Korony królów" to tak naprawdę pretensje wobec Jacka Kurskiego, wobec TVP w ogóle. Nie ma co kryć – telewizja publiczna jest mocno zaangażowana w bieżący spór polityczny. Nie przeszkadza to pani?

Tak, wiem, stałam się kolaborantką pisowskiego reżimu. Niedawno z „Gazety Wyborczej" dowiedziałam się, że nie przez przypadek robimy film o Piastach, bo w ich czasach Polska była otoczona wrogami i byliśmy sprzymierzeni tylko z Węgrami. Zatem generalnie rzecz biorąc, tworzymy „Koronę królów", a przy okazji po prostu podpieramy politykę zagraniczną obecnej władzy.

Za chwilę w serialu zjazd wyszehradzki. Aż się prosi o skojarzenia.

Myślę, że niebawem będę miała szansę w „GW" przeczytać, że fakt, iż Elżbietę, córkę Łokietka, w swoim czasie wydano za króla węgierskiego Karola Roberta, przez co stała się królową węgierską, został spreparowany przez Jarosława Kaczyńskiego. To jakiś absurd. Mam nadzieję, że duża część ludzi zrozumie, iż to nie w porządku.

eprasa.pl dd70aa56f6

Pokierować własnym losem

Świat ma swoje parametry: szerokość geograficzną, długość geograficzną i... ***Franciszka Pieczkę***

Fot. Jacek Kurnikowski/AKPA

eprasa.pl dd70aa56f6

Pięknie powiedział o nim Jan Jakub Kolski, z którym spotkał się m.in. przy filmach „Jańcio Wodnik" i „Historia kina w Popielawach": „Świat ma swoje parametry: szerokość geograficzną, długość geograficzną i... Franciszka Pieczkę. Ten trzeci wskaźnik powinien być uwzględniony w GPS-ach jako miara skromności, serdeczności, ludzkiego ciepła i życzliwości. Pamiętam, jak na planie któregoś z filmów powołaliśmy jednostkę o nazwie »Jedna Pieczka«, żeby lepiej orientować się w czasoprzestrzeni. Franka liczyć trzeba na miliony tych jednostek, wszystkich innych – na tysiące. Świat nam psieje, ale da się go uratować, mierząc ludzkie uczynki w »Pieczkach«".

Aktor, niedawno odznaczony Orderem Orła Białego, 18 stycznia kończy 90 lat. Jego zasługi doceniło Stowarzyszenie Filmowców Polskich, przyznając mistrzowi Nagrodę Specjalną. Dzień po hucznych urodzinach na duże ekrany trafi zaś „Syn Królowej Śniegu" w reżyserii Roberta Wichrowskiego.

Z Franciszkiem Pieczką w 90. rocznicę jego urodzin rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Pod koniec minionego roku odebrał pan Nagrodę Specjalną Stowarzyszenia Filmowców Polskich, spytam więc na początek: za co kocha pan kino?

Franciszek Pieczka: Pozwoliło mi się rozwinąć aktorsko. Te wszystkie propozycje, które dostałem – a miałem takie szczęście, że otrzymywałem je od wybitnych reżyserów, dziś już niestety często świętej pamięci: od Wojciecha Jerzego Hasa, Jerzego Kawalerowicza, Andrzeja Wajdy, Krzysztofa Kieślowskiego, ale też Jana Jakuba Kolskiego czy Kazia Kutza. To była duża radość pracować z takimi twórcami. A teraz... no cóż, chociaż ten czas tak szybko minął, wciąż nie wydaje mi się, że to koniec. Myślę, że jeszcze znajdzie się jakiś desperat i obsadzi tego... staruszka, w którego duszy jest jeszcze troszeczkę ekspresji, którą chciałby jeszcze wyrazić przed kamerą.

Pewnie wielu reżyserów marzy o takim aktorze. Zresztą pan nie daje o sobie zapomnieć. Za chwilę kinowa premiera „Syna Królowej Śniegu", a na małych ekranach wciąż jest pokazywane „Ranczo" – serial, dzięki któremu kolejne pokolenie pana rozpoznaje. Rozpoznawalność jest zawsze dobra?

Koledzy różnie się na to zapatrują. Niektórzy mówią, że przeszkadza, gdy widz za bardzo identyfikuje aktora z jakąś postacią, bo trudno się potem od niej oderwać. Ja tego nie doświadczyłem. Dlaczego? Wydaje mi się, że jestem aktorem charakterystycznym. Moje role za każdym razem były dużą transformacją.

„Jańcio Wodnik", reż. Jan Jakub Kolski (1993)

Kinomani pamiętają m.in. Matisa z „Żywota Mateusza", Taga z „Austerii", Czepca z „Wesela" i Mullera z „Ziemi obiecanej" czy Cygę z „Matki Królów". Masowa publiczność wspomina Kiemlicza z „Potopu", który słyszał od synów „Ociec, prać?". Teatromani wymieniają kreacje stworzone w teatrach: Ludowym w Nowej Hucie, Starym w Krakowie, Dramatycznym i Powszechnym w Warszawie. Gustlik Jeleń nie wchodził tym kreacjom w paradę?

Powtarzałem sobie często: „A co mi to przeszkadza?". Widz mówi: „Gustlik, Gustlik"", więc kolejna rola to będzie podwójna transformacja. Pieczka w Gustliku, a Gustlik w „Hamlecie".

Spytałam jednego z pana dorosłych już wnuków o rolę, która mu się najbardziej z panem kojarzy. Domyśla się pan, co odpowiedział?

Ciekawe.

Najpierw wymienił nazwisko Kolskiego i jego „Jańcia Wodnika", ale zaraz potem padło imię: Gustlik.

No taaak [śmiech]... Nie wypieram się tej roli. I chociaż różnie się dziś o „Czterech pancernych" mówi, nie poczytuję sobie jako ujmy, że brałem udział w takiej produkcji. Pamiętam, zaraz po pierwszej emisji, mieliśmy słynny przejazd czołgiem po ul. Piotrkowskiej w Łodzi, do którego właściwie nie doszło, bo zebrało się blisko pół miliona widzów i organizatorzy bali się o bez-

eprasa.pl dd70aa56f6

pieczeństwo. Ludzie chcieli podejść jak najbliżej, dotknąć czołgu, załogi.

Na czterech domorosłych filozofów z ławeczki „Rancza" już tak nie napierają?

Sympatię dla Stacha Japycza wyrażają inaczej. Czasy się zmieniły. Bohater też jest inny. Kiedy poproszono mnie, bym wszedł do serialu jako brat Jana Japycza, granego przez dziś już świętej pamięci Leona Niemczyka, zgodziłem się, pod warunkiem że Leon nie miałby nic przeciwko temu. Nie tylko nie był przeciw, lecz i ucieszył się.

W filmie Roberta Wichrowskiego, który trafi do kin 19 stycznia, gra pan emerytowanego pisarza, dzięki któremu mały bohater z opresyjnego domu ucieka w baśniowy świat.

Trochę niezręcznie chwalić coś, w czym się zagrało, ale wydaje mi się, że obrazy takie jak „Syn Królowej Śniegu" są jak najbardziej na czasie. Kiedy zewsząd widać chęć bycia za wszelką cenę, zagarniania do siebie. W taki czas refleksja wypływająca z filmu Wichrowskiego jest potrzebna.

Dzieci i zwierzęta potrafią na planie przyćmić największego aktora. Nie miał pan oporów przed pracą z kilkulatkiem?

Ba! Dzieci, odpowiednio zaanimowane, mają w sobie nieprawdopodobną prawdę. I trudno aktorowi przyzwyczajonemu do pewnych form sprostać takiemu wyzwaniu, ale mnie się bardzo miło z nimi grało. Mówię: „nimi", bo w bohatera, na zmianę, wcielali się bliźniacy. Nie do odróżnienia.

Kiedy spytałam, czy był pan dziadkiem czytającym baśnie, wnuk stwierdził, że Andersena w pana wykonaniu nie pamięta, ale podobno opowiadał pan różne inne historie. O rodzinnym Godowie i swoim dzieciństwie też?

Cała moja rodzina mówiła gwarą śląską, no i siłą rzeczy ja również, ale nie miałem z nią kłopotów, bo nim trafiłem do szkoły teatralnej, nabrałem językowej ogłady w zespole rapsodycznym, który działał przy Wojewódzkim Ośrodku Kultury w Katowicach. Szlifowałem mówienie bez naleciałości, biorąc udział w inscenizacjach poezji romantycznej.

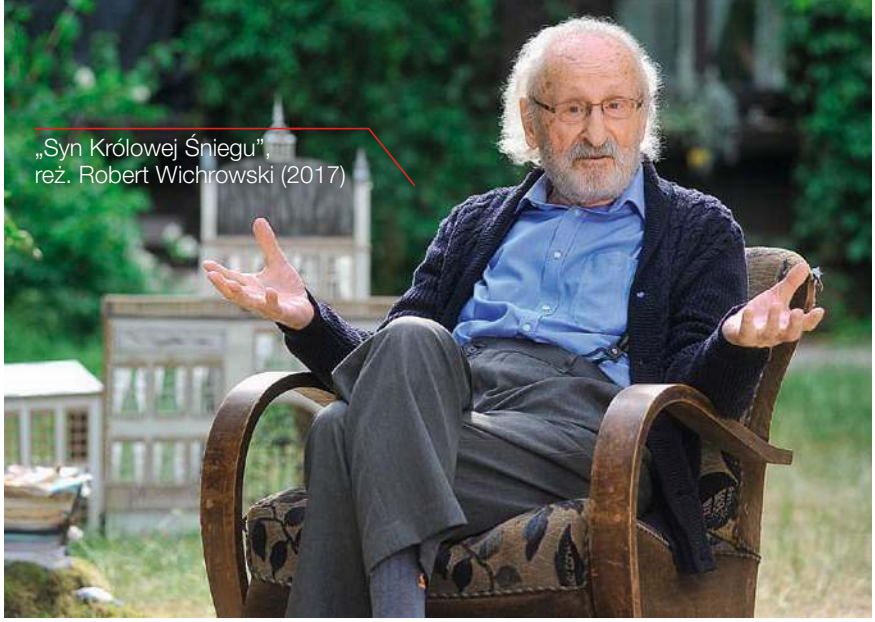

„Syn Królowej Śniegu", reż. Robert Wichrowski (2017)

Już wtedy marzyło się panu aktorstwo?

Ależ skąd. Kończyłem tzw. Uniwersyteckie Studium Przygotowawcze w Katowicach. Po nim miałem wstęp na wszystkie wyższe uczelnie w Polsce bez egzaminu, wyłączając szkoły artystyczne. Ale na tamtym etapie w ogóle nie myślałem o aktorstwie. Miałem zostać inżynierem. Tego oczekiwał ojciec. I poszedłem na politechnikę. Śląską. Tylko profesor, który prowadził zespół rapsodyczny, mówił: „Głupstwo robisz, powinieneś zostać aktorem!".

Chyba miał rację?

Okazuje się, że miał. Po miesiącu studiów na wydziale elektrotechnicznym zdecydowałem się zdawać do warszawskiej PWST. Koledzy ze studiów pukali się w głowę. Ojciec protestował.

Czy któremuś ze swoich dzieci, a później wnuków powiedział pan kiedyś: „Powinieneś zostać aktorem"?

W tej kwestii ani nie namawiam, ani nie odmawiam. Sam zadecydowałem o swojej przyszłości wbrew rodzicom. Doświadczyłem, co znaczy, jak mawiał wieszcz, bycie „samemu sobie sterem, żeglarzem, okrętem", ale dziś nadal uważam, że trzeba umieć pokierować własnym losem. Wtedy ma się satysfakcję.

Zgadza się pan z tym, że kto kocha to, co robi, nie przepracował ani dnia?

Prawda, ale bywało też niełatwo. Najtrudniejsze okazały się role „wojskowe"; to czołganie się, wybuchy, dymy nieustające. Tyle że stawałem przed takimi wyzwaniami jako młody człowiek. Dziś nie tylko ja bym się podobnego zadania nie podjął. Zrealizowanie filmu takiego jak „Czterej pancerni i pies" byłoby nie do pomyślenia. Chociaż cyfrowo cuda teraz można robić. Wtedy wszystko było kręcone „na setkę". Wojsko także było prawdziwe. Dzisiaj armia żądałaby zapłaty za udział w zdjęciach.

Nie wiem, czy to z powodu statuetki, którą panu przyznano, czy towarzystwa, w jakim ją pan odbierał (nagrody SFP otrzymali też m.in. Marcel Łoziński – reżyser dokumentalista, i Witold Sobociński – operator filmowy), nawet gdy rozmawiamy o sprawach poważnych, widzę w pana oczach przebłyski uśmiechu. Nie ma to jak poczucie humoru i dystans?

Jest w filmie „Syn Królowej Śniegu" pewna scena – nie będę zdradzał, gdzie się rozgrywa, ale to miejsce, z którego ze spokojem można popatrzeć na ten padół płaczu. I ocenić wszystkie działania, które były. I które są.

Z takim nastawieniem jest coś, co panu przeszkadza?

Stałe kłótnie, wszędzie. Ten mówi: „Czarne", a drugi zaraz: „Nie, to białe!". Inny rzuca: „Białe", ale już po chwili słyszy: „Nie, to czarne!". A dajcież już z tym święty spokój!

eprasa.pl dd70aa56f6

Cudowne rozmnożenie

Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta – głosi przysłowie. W przypadku rywalizacji Warszawskiej Opery Kameralnej z dopiero co powstałą Polską Operą Królewską wygranym jest publiczność. Zalicza premiery to na jednej, to na drugiej scenie, ciesząc się wzbogaconą ofertą artystyczną

ADAM CIESIELSKI

Niespodziewane rozmnożenie oper nastąpiło za sprawą głośnego konfliktu w istniejącej od półwiecza zasłużonej, ale archaicznie zetatyzowanej Warszawskiej Operze Kameralnej. Zwolnienie przez nową dyrekcję ponad setki artystów wiosną 2017 r. wywołało falę protestów. Gdy marszałek województwa mazowieckiego, któremu WOK podlega, odrzucił ratunkową ofertę pomocy finansowej w prowadzeniu placówki ze strony Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, szef resortu, wicepremier Piotr Gliński powołał w lipcu Polską Operę Królewską.

Stworzenie od zera za państwowe pieniądze (16 mln zł rocznej dotacji) teatru operowego to w dzisiejszych czasach ewenement. Dyrektor nowej instytucji Ryszard Peryt, doświadczony reżyser teatralny i operowy, zatrudnił większość śpiewaków i instrumentalistów zwolnionych z WOK. Zgrany, dodatkowo zjednoczony wspólnymi przeżyciami zespół pozwolił już 2 listopada zaprezentować „Requiem" Mozarta w archikatedrze św. Jana Chrzciciela, a zaraz potem wyjść z premierą „Dziadów-Widm" – kantaty Moniuszki do II części arcydzieła Mickiewicza na oddanej POK scenie Teatru Stanisławowskiego w Łazienkach. Przeżyliśmy nastrojowe misterium z niepowtarzalnym Adamem Kruszewskim w partii Guślarza.

Oklaski zbierała też najświeższa premiera sceniczna POK: „Wesele Figara" Mozarta – kolejne dzieło, do którego realizacji Peryt wraca po latach, opierając program swego teatru na repertuarze polskim i klasyce gatunku. W stawce wokalistów błyszczały Marta Boberska (Zuzanna) i Anna Wierzbicka (Hrabina), a głosem wieczoru był świetnie dysponowany Robert Gierlach (Hrabia).

Premiera goni premierę także w Warszawskiej Operze Kameralnej w zredukowanym składzie. Mogła się podobać pokazana w listopadzie „Armida" – barokowe arcydzieło Jeana-Baptiste'a Lully'ego w międzynarodowej koprodukcji. Odkryciem wokalnym była Marcelina Beucher jako Armida. Inscenizacji Dedy Cristiny Collonny lekkość nadawały taneczne popisy Nordic Baroque Dancers i świetlne dekoracje. Podobnej lekkości zabrakło niestety w odświeżonej przez Romanę Agnel realizacji dzieł Jeana-Phlippe'a Rameau: „Pigmaliona" i „Dardanusa".

Wydarzeniem grudnia była światowa prapremiera „Tanga" – opery Michała Dobrzyńskiego według dramatu Sławomira Mrożka. Kompozytor, jednocześnie autor libretta, stworzył dysonansową, niepokojącą muzykę, oddającą klimat rozpaczliwego poszukiwania idei w dobie, gdy wszystko jest dozwolone. Reżyseria Macieja Wojtyszki eksponuje ironię i komizm sytuacyjny, szkoda, że niuanse błyskotliwych kwestii momentami zagłusza muzyka. Oryginalnym pomysłem było powierzenie roli Artura kontratenorowi (Jan Jakub Monowid) i dodanie mu czteroosobowego chórku. To bohater skazany na porażkę. Finałowa akcja porządkowa Edka – chama z mocną pięścią (w tej roli kapitalny Piotr Nowacki) – budzi zaś grozę. Przesłanie „Tanga" nie traci mocy.

Adam Mickiewicz/Stanisław Moniuszko
„Dziady-Widma"
reż. Ryszard Peryt
premiera: 3 listopada 2017

Wolfgang Amadeusz Mozart
„Wesele Figara"
reż. Ryszard Peryt
premiera: 30 grudnia 2017

Polska Opera Królewska

Jean-Baptiste Lully
„Armida"
reż. Deda Cristina Colonna
premiera: 5 listopada 2017

Michał Dobrzyński
„Tango" (wg dramatu Sławomira Mrożka)
reż. Maciej Wojtyszko
premiera: 8 grudnia 2017

Warszawska Opera Kameralna

eprasa.pl dd70aa56f6

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Bronię „Korony królów”

Nie sądzę, aby miało sens przywoływanie przy okazji błahego sporu o telenowelę „Korona królów” patriotycznych deklaracji sugerujących, że kto nie z filmem, ten wróg i prześmiewca. Przeciw „Koronie” stanęło wielu widzów czekających na wielkie wydarzenie, i rozczarowanych. Także konserwatystów. Ich krytycyzm wobec kostiumów czy gry aktorów nie wynika z zamiaru wojowania z historycznymi produkcjami.

Niemniej część wrzawy wymierzonej przeciw „Koronie królów” ma podtekst polityczny. W Polsce powstało sporo nieudanych seriali, a takich emocji nie było. Ponieważ Jacek Kurski nieostrożnie ogłosił, że dostaniemy pierwsze od dawna poważne dzieło historyczne, a zarazem wykwit popkultury na poziomie „Gry o tron”, ci, co zwietrzyli krew TVP, ruszyli do boju, z potężną histerią.

To zradykalizowało obrońców. Dowiedzieliśmy się nawet, także od polityków PiS, że gra idzie o zagrożoną reputację ostatnich Piastów. Choć jak się zastanowić, Władysław Łokietek i Kazimierz Wielki ze swoim realizmem, cofaniem się przed Krzyżakami i rezygnacją z walki o ziemie zachodnie pasują bardziej na patronów PO niż PiS. Oczywiście żartuję.

A teraz zaskoczę. Z powodu uciążliwej kontuzji pozostaję w domu. I nie mogę ogłosić, jak wielu zawiedzionych, że odszedłem od telewizora po 10 minutach. Przeciwnie: znając specyfikę telenoweli, zostałem. I jestem coraz mocniej zaciekawiony, choć to gatunek adresowany nie do mnie.

O tym zapominają inteligenccy krytycy. Telenowela złożona z odcinków pokazywanych codziennie rozwija się niespiesznie. Fabuła jest narysowana grubą kreską. To opowieść – nie uwłaczając nikomu – zwrócona ku gospodyniom domowym zerkającym na ekran pośród domowych czynności, bez wielkiej koncentracji. I taka jest „Korona” ze swoimi cokolwiek deklaratywnymi dialogami.

Notabene początkowo dość „sprawozdawcza”, aby zapoznać widzów z postaciami, staje się ostatnio nawet cokolwiek sensacyjna.

Że mówią współczesnymi słowami? Śmieszy mnie, gdy ktoś pyta: czy wybierasz się „do pracy na Wawel”. Ale nie znamy do końca języka dialogów tamtych ludzi. Jeśli rezygnujemy ze sztucznego odtwarzania staropolszczyzny, nie dziwmy się – w „Rzymie” czy w „Rodzinie Tudorów” mówią tak samo kontra epoce. Że rozliczne wpadki, zbyt współczesna liturgia kościelna na przykład? To posprawdzajcie w tamtych serialach, czy wszystko się zgadza. Także w tureckim „Wspaniałym stuleciu”, które jest bezpośrednim wzorem.

Mnie w „Koronie” podoba się jedno, i to zapewne zasługa czuwającej nad scenariuszem Ilony Łepkowskiej. Wbrew narzekaniom to nie jest bogoojczyźniana politgramota. Przeciwnie: próbuje się pogodzić dwie prawdy. Królowa Jadwiga, wdowa po Łokietku, bywa okrutna i dwulicowa, a jej syn Kazimierz Wielki to babiarz skłonny nawet do zbrodni. Ale to oni bronią rodzącej się polskiej racji stanu. Jak w serialach francuskich czy angielskich, w których królowie są ludźmi z krwi i kości, a jednak czasem warto za nich trzymać kciuki.

Słabością jest bieda dekoracji i kostiumów oraz dobranie do wielu ról aktorów, delikatnie mówiąc, nieprzykuwających uwagi. Łącznie z odtwórcami Łokietka i Kazimierza. Pewnie błąd, zważywszy na zapowiedzi. Ale już Halina Łabonarska jest coraz wspanialsza, w roli królowej, przebiegłej, po średniowiecznemu sofistycznej, zapobiegliwej. Dla samej jej roli warto, aby ten serial powstał. Choć mógł być doskonalszy.

Piotr Zaremba

epfasa.pl 0aa56f6

Sowiecki kot i polska mysz

Wojciech Stanisławski

Wydaje się, że nawet osoby trzeźwo myślące o przeszłości nie są wolne od rozważania alternatyw, innych wariantów, całego trybu warunkowego dziejów

Gdyby wczesne kochanie spełniło się było / Gdybyśmy byli z Genuą zawarli przymierze" – pisał Czesław Miłosz. Kto ma skłonność do takiego smakowania cierpkich niespełnień, zadręczania się myślą, czy nie należało inaczej otworzyć partii szachów na deszczowych wakacjach przed laty, znajdzie wiele materiału do rozważań w najnowszej książce Nikołaja Iwanowa.

Zbiór szkiców (bo nie jest to jednorodna monografia, wydawcom nie udało się do końca „zszyć" poszczególnych części) o najtrudniejszych latach w relacjach polsko-rosyjskich w XX w. – dziesięcioleciu 1939–1948, od „czwartego rozbioru" do całkowitego podporządkowania sobie satelickiego kraju za żelazną kurtyną – nie zawiera zbyt wielu nieznanych wcześniej faktów. Owszem, uderzają smaczki (kto pamięta, że jesienią 1943 r. wśród Polaków pozostałych w ZSRS po wyjściu Armii Andersa, w większości byłych łagierników, zbierano dobrowolnie-przymusowo składki na kolumnę czołgów walczących pod nazwą „Mściciel Katynia"?!), „Komunizm po polsku" jest jednak w zamierzeniu autora przede wszystkim rozważaniem nad tym, jakim zakresem autonomii cieszyły się, począwszy od 17 września i przez kolejne zwroty, zdziesiątkowane środowiska ocalałych z czystek starych KPP-owców, nowej daty entuzjastów i poputczików: na ile wzniesiona Polska Ludowa była ich dziełem (choćby powstałym w określonych warunkach, pod ciśnieniem i ze wsparciem Moskwy), na ile zaś byli jedynie wykonawcami – w najlepszym (dla nich) razie nieświadomymi swojej roli, w najgorszym zaś ochoczo ją akceptującymi? Drugie, równoległe, choć nie równoznaczne, pytanie dotyczy szans na „finlandyzację Polski": czy kiedykolwiek mogła się ziścić, czy też zawsze było to mrzonką realistów, tchórzy i reformatorów?

To oczywiście pytania bardzo istotne, od odpowiedzi na nie zależy w dużym stopniu nasze rozumienie PRL: w ciągle niedomkniętym sporze, w którym jedni do znudzenia relatywizują („wszyscy byliśmy umoczeni"), drudzy, głównie młodzi z przysłowiowej Czwartej Brygady, lekkim gestem zrównują śledczego z Informacji Wojskowej z dyrektorką liceum-pozytywistką z lat 80., prawda o rzeczywistych intencjach batiuszek-założycieli jest ważna, nawet jeśli nie rozstrzygająca. Ja jednak czytałem książkę Nikołaja Iwanowa w trochę innym kluczu: jako przygnębiające świadectwo perfekcyjnego przygotowania sowieckiej dyplomacji do kolejnych „zwrotów akcji" w latach całkowitej dekompozycji przedwojennego porządku, zdolności do myślenia kilka ruchów na przód, którą Stalin był w stanie ograć i Churchilla, i Roosevelta – choć z Sikorskim i Mikołajczykiem poszło mu i prędzej, i łatwiej.

Tak naprawdę można by wręcz czytać „Komunizm po polsku" jako przewrotną, szyderczą, ale godną zapamiętania pochwałę sztuki rządzenia, w której liczą się panowanie nad emocjami, chłodna kalkulacja, nieujawnianie całej wiedzy ani wszystkich zasobów. Frazę Dzierżyńskiego o „gorącym sercu i zimnej głowie" cytuje się prześmiewczo, zwłaszcza jeśli pamiętać, że trzecią postulowaną cnotą czekisty miały być czyste ręce – ale tak naprawdę to mądrość pochodząca od Machiavellego, którą wcielono w życie na Kremlu. Przynajmniej w polityce polskiej na każdą okoliczność miał Stalin w zanadrzu alternatywę, inny scenariusz, drugi garnitur wykonawców trzymanych do

czasu w odwodzie. W dniach po 17 września gdzieś na zapleczu istnieje grupa lojalnych polskich komunistów, których może uda się z czasem wykorzystać do budowy struktur władzy, a Zygmunt Berling prosto ze Starobielska jest ewakuowany do willi w Małachówce pod Moskwą, w której pracuje nad koncepcją nowych sił zbrojnych. Najcięższej wojennej jesieni 1941 r., gdy Stalin poszedł na niespotykane, wydawałoby się, koncesje wobec Polaków, umożliwiając prowadzenie akcji werbunkowej niemal w łagrach i de facto pozwalając na stworzenie „państwa w państwie" – w gabinetach, w których nie gaśnie światło, przez całą noc są tasowane scenariusze: zostaną z nami – dobrze; wyjdą do Iranu – też dobrze... Nawet bardzo trudną dla Kremla sytuację, jaką jest ujawnienie przez Niemców okoliczności mordu katyńskiego, potrafi Stalin obrócić na swoją korzyść, zrywając ostatecznie stosunki z Rządem na uchodźstwie, ostatecznie likwidując niezależne polskie struktury, ba, włączając do mistrzowskiej operacji medialnej nawet powstanie w getcie. A drugie powstanie warszawskie, to z sierpnia 1944 r.? Nic lepszego nie mogło się nam trafić...

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Nikołaj Iwanow, „Komunizm po polsku. Historia komunizacji Polski widziana z Kremla", Wydawnictwo Literackie, 2017

Takie odczytanie książki Iwanowa nie musi, w żadnym razie nie powinno prowadzić do defetyzmu i poczucia bezradności: z pewnością przyda się jako przestroga i jako ostroga. Także – jako antidotum na zbyt triumfalistyczne odczytanie obrotów lat 80. Zasługi aktywistów i męczenników podziemnej „Solidarności" są wielkie – warto jednak nie zapominać o tym, że druga strona miała nieporównanie więcej czasu i zasobów, by rozważać scenariusze transformacji. I w ogóle – chociaż miłość własna chętnie przegląda się w figurze Dawida walczącego z Goliatem, chociaż krzepiła serce piosnka Młynarskiego o grze w szachy („trzy figurki naraz ruszył / dziób mi puchnie, płoną uszy / a najśmieszniejsze, że on chyba znowu przegrał..."), warto pamiętać przestrogę Józefa Wissarionowicza przed zawrotem głowy od sukcesów.

Bramy umarłych

Powieści, które przywołują czas i doświadczenia młodości, jest pod dostatkiem. Wyraźnie mniej w literaturze ważnego, trudniejszego do zdefiniowania okresu w życiu człowieka, który można by roboczo nazwać „czasem wczesnej dorosłości": to czas, gdy każdy musi wziąć odpowiedzialność za swoje życie, sięgnąć po którąś z ról społecznych i powołań, przeznaczonych „dorosłym" – małżonka, rodzica, żołnierza – i próbuje w tym kostiumie, w tej ściągającej ku ziemi zbroi spełnić to, czego pragnął, ku czemu dorastał, po raz pierwszy oddzielony od fazy marzeń, beztroski. Najdoskonalszą książką z tej kategorii pozostaje dla mnie „Rozmowa w »Katedrze«" Llosy: ale do nie tak wielu innych, które traktowałyby o pierwszej smudze cienia, można śmiało zaliczyć jedną z trzech powieści Antala Szerba.

Czytelnicy o bardziej wyczulonym uchu mogą poczuć się zaniepokojeni tytułowym „światłem księżyca", które wyda im się pretensjonalne (kto w ogóle w XX w. ośmielił się coś na serio napisać o księżycu, prócz może Cummingsa?), ale nie warto się tym zrażać. Owszem, księżyc, który „zarzucił kotwicę po drugiej stronie rzeki, ponad olbrzymimi i przytłaczającymi ruinami Teatro Marcello" jest odrobinę teatralny, podobnie jak – w pierwszej części powieści – zachowania głównych bohaterów, którzy zdają się zarażeni przykładem powieściowego rodzeństwa, Tamása i Évy, uciekającego od życia w sceny odgrywane w zaciszu domu. Te zachowania-gesty tłumaczą się jednak tym, że mamy do czynienia z „powieścią i dei", w której chodzi o pociąg do miłości i do śmierci, dwie potęgi, o których mówi profesor Waldheim, porte parole religioznawcy, Karla Kerényiego, przyjaciela autora.

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Antal Szerb, „Podróżny i światło księżyca", tłum. Jan Zimierski, PIW, 2017

Zarazem „Podróżny i światło księżyca" nie jest w żadnym razie powieścią szeleszczącą papierem: to rzecz o zbyt mało znanych nam Węgrzech, szczęśliwych w ostatnich latach przed I wojną, następnie upokorzonych traktatowym rozbiorem w Trianon, rewolucją, interwencją Ententy. I o Włoszech, które okazują się dla tylu przybyszów ciągnących na Południe Anglików, Węgrów, Polaków kolebką, miejscem odrodzenia.

Główny bohater, po trosze porte parole autora, patrzy na te Włochy przełomu lat 20. i 30. z zachwytem i pobłażaniem: „Jego instynkt podszeptywał mu, że właściwie wszystko jedno, kto aktualnie znajduje się we Włoszech u władzy. Polityka dotyka ledwie naskórka, lud natomiast, wspaniały, żywotny i płodny lud włoski [...] ze zdumiewającą biernością dźwiga ciężar przemian". Gorzko jest myśleć, że Antal Szerb, genialny humanista, gorliwy katolik zakochany w literaturze i tradycji Węgier, musiał – jak pisze w posłowiu Teresa Worowska – „przyjąć do wiadomości niepojęty fakt, że nie jest uważany ani za Węgra, ani za chrześcijanina", ginąc z ręki strzałokrzyżowca w strasznym styczniu 1945 r.

eprasa.pl dd70aa56f6

Adamski

Wolność czy bezpieczeństwo?

Kiedy już się wydawało, że po trzech sezonach zjawiskowy i pełen oszałamiających pomysłów „Black Mirror" musi zacząć zjadać własny ogon, Charlie Brooker dał nam kolejne sześć filmów, które w zdumiewający sposób przerażają i zmuszają do głębokiej refleksji.

Nie będę streszczał poszczególnych sześciu godzinnych epizodów opowiadających o nadchodzącej wielkimi krokami dyktaturze nowoczesnej technologii. Każdy, kto zna poprzednie sezony „Black Mirror", wie, jak zaskakująco pomysłowe, mądre i przenikliwe to historie. Brookera interesuje wciąż ten sam temat – służba technologii. Ta jednak, zamiast pomagać ludzkości, staje się jej kajdanami. Oczywiście przez defekty samych ludzi, którzy nie umieją się oprzeć pokusie wykorzystywania jej do swoich niecnych celów. Nawet jeżeli ma ona pomóc osobom w śpiączce, umarłym, zakompleksionym czy pełnym dobrych intencji rodzicom. Źle zaprogramowana staje się systemem zabierającym wolną wolę, zdejmie odpowiedzialność z ludzi. Ale pomoże też złapać przestępcę. Jakim jednak kosztem?

Każdy odcinek tego serialu jest precyzyjnie przemyślany i stanowi zupełnie oryginalny film SF, który może zawstydzić tak wtórnych dawnych mistrzów gatunku jak Ridley Scott. Motywem przewodnim czwartego sezonu jest pokazanie, jak łatwo sprzedajemy wolność za bezpieczeństwo. Jak łatwo pozwalamy kontrolować każdy aspekt naszego życia w imię wygody i pozbycia się odpowiedzialności za własne wybory.

„Black Mirror" jest bardzo przystępnym serialem – można go oglądać bez zachowywania chronologii. Każdy odcinek to oddzielny obraz z własną stylistyką i specyfiką. Ta produkcja była już romansem, komedią, thrillerem, horrorem i nawet kinem wojennym. Nieważne jednak, jaki gatunek oglądamy – ani na moment nie gubimy największej istoty tej niepowtarzalnej i bodaj najoryginalniejszej realizacji telewizyjnej ostatniej dekady. Jest nią krzyk rozpaczy nad zanikaniem człowieczeństwa.

„BLACK MIRROR", SEZON CZWARTY SERIALU JEST DOSTĘPNY NA NETFLIX.COM

Internet

Zapomniana klasyka

Charles Bukowski (1920–1994) w każdej swojej książce, zbiorze poezji czy esejach zabierał nas do rynsztoku amerykańskich ulic, tanich barów z prostytutkami, gangsterami i upadłymi moralnie aniołami. Bukowski był pozbawiony pijackiego romantyzmu Ernesta Hemingwaya i infantylizmu Jima Morrisona. Zamiast celebrować pijaństwo, pokazywał, czym ono jest. Odrażające, upodlające, odczłowieczające. Bukowski to nonkonformistyczna „ćma barowa", doskonale sportretowana przez Mickeya Rourke'a w filmie Barbeta Schroedera. Był niepoprawnym politycznie indywidualistą, tak samo mocno walącym w pokolenie beatników jak w stróżów moralności. „Ćma barowa" z 1987 r. była do tej pory trudno dostępna na polskim rynku. Rourke jako alter ego pisarza – Henry Chinaski – stworzył jedną z najlepszych ról w burzliwej karierze. Choć w Chinaskiego wcielali się też inni aktorzy, to on idealnie obnażył duszę niespokojnego pisarza. Zapomniana klasyka kina.

„ĆMA BAROWA", REŻ. BARBET SCHROEDER, FILM DOSTĘPNY NA SHOWMAX.COM

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl dd70aa56f6

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

polec

Klaun wrócił

DVD

Twórcy nowego „To" mierzyli się nie tylko z potężną, liczącą ponad tysiąc stron powieścią Stephena Kinga, lecz i z kultową dla fanów horrorów rolą Tima Curry'ego, który wykreował przerażający obraz klauna Pennywise'a w miniserialu lat 80. Sprostali zadaniu doskonale, choć na razie sfilmowali połowę książki. Obraz Andresa Muschiettiego jest przerażający, zabawny i do tego kapitalnie eksploatuje wakacyjne przygodowe kino o nastolatkach. Ostatni raz tak dobrze skrojone postacie dzieciaków walczących z monstrum widziałem w przebojowym Netflixowym „Stranger Things".

„To" zresztą łączy ze wspomnianym serialem granie klimatem końca lat 80. Nie ma internetu ani komórek. Na ekranach kin szaleje Freddy Krueger, w walkmanach grają New Kids On The Block, a gry komputerowe dopiero zaczynają opanowywać umysły. Nie wakacyjne rozrywki są jednak w głowach kilku dzieciaków, które szukają zagubionego braciszka swojego przyjaciela. To o tyle trudne, że grupa jest traktowana przez rówieśników jak wyrzutki. Bici przez silniejszych, wyśmiewani za swój wygląd (mamy tu jąkałę, grubaska, hipochondryka, okularnika i ściętą na chłopczycę pogruchotaną psychicznie dziewczynę), sami nazywają się „Klubem frajerów". To jednak ci frajerzy stawiają czoła demonicznemu klaunowi, któremu przerażającą głębię nadał Bill Skarsgård. Złamał nostalgiczne wspomnienie starej wersji, ale nie zerwał z jej magicznym klimatem.

Muschietti ani razu nie gra fałszywej nuty. Wyciąga z powieści Kinga cały jej humor zamknięty w słownych przekomarzankach dzieciaków. Do tego mistrzowsko buduje osobowość każdego z nich. Wyrzuty sumienia z powodu zaginięcia braciszka, molestowanie w domu, zagłaskanie przez nadwrażliwą matkę, rasowe uprzedzenia – wszystko to wybrzmiewa dzięki zgrabnemu scenariuszowi.

No i on. Klaun, który żywi się lękiem. Jest najgorszym drapieżnikiem. Wabi dzieci śmiechem, który momentalnie przeradza się w ryk bestii. Czy paradoksalnie tylko dziecko może go zagłuszyć?

„TO", REŻ. ANDRES MUSCHIETTI, DYSTR. GALAPAGOS

Od żołnierza do świętego

Kino

Św. Ignacy Loyola, założyciel Towarzystwa Jezusowego, zasługuje na wielkie filmowe dzieło. Loyola to jeden z tych świętych, który zanim poznał Chrystusa, upadł na samo dno. Jego niezwykła biografia nadaje się co najmniej na serial.

Ten film nie jest jednak dziełem, które rozsławi na świecie tę postać. Hiszpańsko-filipińskiej produkcji Paola Dy bliżej do ckliwych protestanckich christian movies albo telewizyjnych konfesyjnych filmów włoskiej telewizji RAI. Ja jednak mam słabość do takiego kina. Wyłączam przy nim oko wymagającego krytyka filmowego i daję się porwać popkulturowej katechezie. Mimo naiwności, uproszczeń i małego budżetu, który odsłania reżyserskie braki Dy, ten tytuł ma w sobie coś uroczego. Oddaje bowiem istotę „ignacjańskiego ducha" człowieka, który z brutalnego żołnierza i bawidamka stał się jedną z najbardziej inspirujących postaci Kościoła katolickiego.

„IGNACY LOYOLA", REŻ. PAOLO DY, DYSTR. RAFAEL

Skala ocen: dno · koszmar · rozczarowanie · można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl dd70aa56f6

Tam się budzi demon

W Polsce zagrożenia banderyzmem nie traktuje się poważnie. W warszawskich kabaretach w latach 30. też śmiano się z Hitlera – z księdzem ***Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim*** *rozmawia Piotr Skwieciński*

Teza, że nie ma Polski niepodległej bez niepodległej Ukrainy, jest zdaniem księdza nieaktualna?

Tadeusz Isakowicz-Zaleski: Ona była częściowo prawdziwa. Choć za I Rzeczypospolitej Ukraina nie istniała, a Polska była niepodległa, jak najbardziej...

...który to stan rzeczy zakończył się jednak rozbiorami...

...i dlatego Józef Piłsudski przyjął tę maksymę. Uznał bowiem, że Polsce między nią a Rosją potrzebny jest bufor (to określenie skądinąd nie jest miłe dla Ukraińców). I wtedy to było słuszne. Chciałbym podkreślić, że Ukraińcy Petlury byli naszymi lojalnymi sojusznikami, w 1920 r. dzielnie walczyli w obronie Zamościa przed Armią Czerwoną. Po roku 1991 ta idea została już jednak zrealizowana. Powstał pas państw buforowych.

I jesteśmy w NATO.

A pomimo to do idei niepodległej Ukrainy i jej znaczenia dla naszego kraju przywiązuje się w Polsce wciąż takie znaczenie, jakby nic się nie zmieniło.

Bo istnieje Rosja i przeżywa fazę imperialistycznego wzmożenia. Gdyby w jakiejś formie objęła kontrolą Ukrainę, gdyby dokonała zjednoczenia potencjału obu tych krajów, to oczywiście niepodległości w tym momencie byśmy nie stracili, ale nagle znaleźlibyśmy się w sytuacji nowej i groźnej.

I dlatego maksyma, o której mówimy, pozostaje częściowo aktualna. Ale bez przesady. Myślę, że niedługo Rosja wpadnie w tak olbrzymie problemy gospodarcze, że takie zagrożenie będzie już dla wszystkich nierealne. To niedługo będzie mocarstwo o skali tylko lokalnej.

Na nas to w zupełności wystarczy.

Tak jak Turcja nie musi być światowym supermocarstwem, wystarczy, że jest potęgą regionalną, a i tak wzbudza strach na całym Bliskim Wschodzie. I m.in. dlatego nie jestem przeciw niepodległości Ukrainy. Również z tego powodu, że obawiam się jej rozpadu na kilka części, tak jak kiedyś rozpadła się Jugosławia, w co do pewnego momentu też nikt nie chciał wierzyć. A to byłoby dla nas złe, bo obecnie ukraiński wschód i południe jakoś tam równoważą nacjonalistyczny zachód. W razie rozpadu na naszej granicy pojawiłoby się państwo agresywne, jednoznacznie nacjonalistyczne i antypolskie.

Antypolskie? Kult Bandery w obecnym wydaniu jest poszukiwaniem pamięci o walce o wolność. Jest antyrosyjski, a nie antypolski.

To jest takie pocieszanie się, że wściekły pies na razie gryzie sąsiada. W warszawskich kabaretach w latach 30. też nie traktowano poważnie Hitlera i śmiano się z niego. Tam się budzi demon.

To są sformułowania, łagodnie mówiąc, na wyrost. I co zresztą ten ukraiński nacjonalizm, choćby się naprawdę wściekł, mógłby nam realnie zrobić? W odróżnieniu od Litwy czy Białorusi Polaków jest na Ukrainie bardzo mało. Nie kłują w oczy, nie stanowią obiektu, który nadawałby się do ogniskowania nacjonalistycznej agresji, choćby ten banderyzm naprawdę upowszechnił się i zradykalizował.

Ale już teraz trwają tam szykany wobec polskości. We Lwowie przez cały okres radziecki działały dwa pozostawione Polakom kościoły rzymskokatolickie. Niemal 30 lat temu powstała niepodległa Ukraina. I od tego czasu nie można się doprosić zwrotu choćby jeszcze jednej świątyni. Trwają problemy z zabudowaniami parafialnymi.

To nadal nie uzasadnia aż tak dramatycznej diagnozy.

To prawda – to nie jest mordowanie siekierami ani widłami, ale trwa depolonizacja tych terenów, co ma cechy działania w podobnym kierunku. Zaciera się polską historię tych ziem. Najgorsza jest zresztą blokada ekshumacji, brak możliwości godnego pochowania polskich ofiar ludobójstwa. Strona ukraińska zaś w Polsce uzyskuje, co chce, gdy tymczasem społecznicy z Polski, na przykład zabiegający o budowę w Lublinie pomnika ofiar UPA, otrzymują od strony ukraińskiej zakazy wjazdu. Poza tym na Ukrainie potęguje się kryzys, rośnie wściekłość na korupcję rządzących klik, a to jest paliwo dla nacjonalizmu i antysemityzmu z racji pochodzenia premiera Wołodymyra Hrojsmana i kilku innych bardzo liczących się tam polityków i oligarchów. Również antypolskość w tych warunkach może się spotęgować.

Czy jednak eskalując bitwę o pamięć, strona polska nie strzela z armaty do wróbla? Bo w mojej optyce, choć na

eprasa.pl dd70aa56f6

Fot. Piotr Tracz/REPORTER

Ukrainie dzieją się w tej sferze złe rzeczy, to jednak ich skala nie usprawiedliwia przykładania do nich aż tak wielkiej wagi. We wszystkich badaniach opinii publicznej na Ukrainie wychodzi, że Polska i Polacy są tam ciągle lubiani i uważani za przyjaciół.

Wróbel to był do 2007 r. Bo przedtem tradycja banderowska była ściśle lokalna, galicyjsko-wołyńska. Ale w 2007 r. prezydent Juszczenko przeniósł na całą Ukrainę kult Romana Szuchewycza, dowódcy UPA, masowego mordercy Polaków i Żydów. Nawiasem mówiąc, dziwi mnie, że teraz w kulcie UPA czynnie uczestniczy premier Hrojsman, przecież Żyd, i to – jak sam twierdzi – praktykujący. No cóż, widać wielka polityka ma pierwszeństwo... W 2007 r. Polska, oczywiście, schowała głowę w piasek, więc Juszczenko poszedł dalej. Przyznał upowcom prawa kombatanckie, a potem, na zakończenie swoich rządów, uczynił Stepana Banderę bohaterem Ukrainy. Za Janukowycza było trochę inaczej, ale jak doszedł do władzy oligarcha Poroszenko...

...skłonił głowę pod pomnikiem Wołyńskiej Dywizji AK...

...ale nic tam nie powiedział. A jego realne działania idą w odmiennym kierunku. Przyjęto ustawę, nie tylko gloryfikującą UPA, lecz także wprowadzającą sankcje karne za sprzeciwianie się tej gloryfikacji.

W efekcie teraz znacznie więcej Ukraińców niż w 2007 r. uważa Banderę za bohatera, a banderyzm za swoją tradycję. I to już nie jest wróbel.

Czy jednak postępujące zdominowanie relacji współczesnych i może przyszłych przez spór historyczny jakkolwiek nam się opłaca?

Przecież to nie Polska eskaluje. Ustawę gloryfikującą banderyzm ukraiński parlament przyjął, przypomnę, demonstracyjnie w czasie wizyty w Kijowie prezydenta Komorowskiego w 2015 r. A potem Poroszenko podpisał ją między pierwszą a drugą turą naszych wyborów prezydenckich. Żeby mieć gwarancję, że Polska, wtedy jeszcze bardziej niż zwykle zajęta sama sobą, nie zareaguje.

To na pewno świadczy o tym, że tu ze strony ukraińskiej nie ma, jak chcieliby niektórzy, chaosu ani ciągu przypadków, tylko realizowana jest na zimno świadoma polityka. Mimo to zapytam raz jeszcze: czy udział w tej obustronnej eskalacji leży w naszym interesie? Czy my sobie w ten sposób sami nie robimy krzywdy?

Skoro przed wizytą prezydenta Dudy na Ukrainie w Kijowie manifestacyjnie przemianowuje się jedną z ulic na Romana Szuchewycza, to jak Polska mogłaby nie reagować? Zresztą w tym straszeniu, co to się strasznego nie stanie, jeśli Polska przestanie chować głowę w piasek, wiele jest ogromnej przesady. Kiedy na ekrany miał wejść film „Wołyń" Smarzowskiego, wróżono, że we wzajemnych relacjach nastąpią jakieś horrory. Nie nastąpiły. Nie trzeba się bać prawdy. I to jest też fragment odpowiedzi na pytanie: czy opłaca się fałszować prawdę dla dobrych relacji z Kijowem? Doradca prezydenta Dudy Andrzej Zybertowicz ostatnio powiedział, że dbanie o prawdę powinno ustąpić interesowi bezpieczeństwa państwa. To jest podejście marksistowskie. Ale też nierealistyczne. Tak się po prostu nie da. Zwłaszcza po filmie „Wołyń" i reakcjach na niego w polskim społeczeństwie. I na skutek polityki samej Ukrainy. Zresztą, jak już mówiłem: nie trzeba się bać prawdy.

Obecni rządzący Polską się jej boją?

Tak samo jak wszystkie ekipy dotąd – Unia Wolności, SLD, Platforma. Oni wszyscy uważali, że można budować dobre relacje z sąsiadem bez prawdy. A to jest niemożliwe. Jakie mogłyby być nasze stosunki z Niemcami, gdyby oni utrzymywali, że SS i Gestapo to były formacje narodowowyzwoleńcze...? Nie wszyscy tak się boją prawdy jak my. Półtora roku temu był w Kijowie prezydent Izraela, nie oglądając się na nic, powiedział w parlamencie prawdę o udziale Ukraińców i OUN w Holokauście. I jakoś Ukraina wojny Izraelowi nie wypowiedziała.

Izrael, proszę księdza, nie graniczy z Rosją, nie czuje się przez nią zagrożony, więc też jego polityka nie ma takich ograniczeń jak nasza.

Wracamy więc do pytania: czy można poświęcać prawdę dla relacji politycznych?

Oczywiście nie można się godzić na nieprawdę. Nie można samemu jej głosić, trzeba natomiast mówić, jak było. Pytam jednak o to, jak intensywne ma być to nasze głoszenie prawdy. Czy walki o nią nie można odseparować od wszystkich innych wzajemnych spraw?

> Na Ukrainie, na skutek kryzysu i korupcji, rośnie nacjonalizm i może urosnąć antypolonizm. Tymczasem my wciąż cieszymy się, że wściekły pies gryzie sąsiada, a nie nas

To byłby błąd. Ale ja jestem osobą prywatną. Dlatego mogę powiedzieć PiS zupełnie niepolitycznie: to po co było obiecywać prawdę?

W Polsce przecież nikt prawdy o Wołyniu nie ukrywał ani nie ukrywa.

Nie ukrywa, ale do ofiar ukraińskich nacjonalistów nie przywiązywano i dalej nie przywiązuje się takiej wagi jak do innych ofiar. To ma zresztą również przyczyny bardzo klasowe, w Katyniu i powstaniu Warszawskim zginęli głównie inteligenci, a na Wołyniu – zwykli chłopi... Jednak Andrzej Duda jako kandydat zabiegał o głosy Kresowian, którzy w pierwszej turze w dużym procencie głosowali na Pawła Kukiza jako kandydata nam bliskiego. Wtedy obecny prezydent nazwał ludobójstwo ludobójstwem. To ważne, ale potem nie zrobił nic. Trzykrotnie był na Ukrainie i ani razu nie złożył wieńca na mogiłach ofiar UPA i SS Galizien. Odmawia patronatu uroczystościom kresowym. I nie wprowadził Kresowian do komitetu 100-lecia niepodległości. Marszałek Kuchciński zaś w 2016 r. długo blokował sejmową uchwałę nazywającą zbrodnie OUN-UPA ludobójstwem, jeździł wtedy do Truskawca, gdzie wysłuchiwał syna zbrodniarza wojennego, deputowanego Jurija Szuchewycza, namawiającego go, żeby tego dokumentu nie przyjmować... To wszystko pokazuje, jak silna jest presja ukraińska wywierana na Polskę. I idąca z nią w tej sprawie ręka w rękę amerykańska.

No właśnie, amerykańska też. To, że jest wywierana, coś pokazuje. Że i Amerykanie, i ci, którzy w Polsce próbują nie dopuścić do katastrofy na tle Wołynia w relacjach Warszawy z Kijowem, boją się tego, żebyśmy nie dali Rosji oręża do ręki.

A właśnie, że to teraz dajemy. Bo kiedy Rosja widzi, że Polska chowa głowę w piasek w tych sprawach, zaostrza swoje działania. Żeby wykazać, iż Polska jest na tym polu słaba. Gdyby zaś ten problem rozwiązano, to Putin nie miałby w co ingerować. Zresztą jest jeszcze jeden aspekt tej sprawy. To, co się dzieje, te napięcia, to oskarżanie Kresowian o to, że co najmniej nieświadomie idą na pasku Rosjan, bardzo pogarsza relacje wśród Polaków i jeszcze intensyfikuje wojnę polsko-polską. I Rosja na tym też korzysta.

Doprowadzenie do przełomu, powiedzenie całej prawdy o zbrodniach nacjonalistów ukraińskich jest jak bolesna operacja w przewlekłej i pogarszającej się chorobie. Trudno się na nią zdecydować, ona jest bardzo niekomfortowa, ale przecież zarazem jednorazowa. Trzeba ją w końcu przeprowadzić. Ale nikt jej nie przeprowadza, bo nikt nie wie, co zrobić. MSZ uprawia wobec Ukrainy politykę na kolanach...

Muszę się nie zgodzić. Odwrotnie, ostatnio uczestniczy w eskalacji konfliktu.

eprasa.pl dd70aa56f6

W ostatnich tygodniach minister Waszczykowski, bojąc się o swoje stanowisko, miotał się i zachował się jak słoń w składzie porcelany. Ale zasadniczo MSZ nie reagowało ani na ukraińskie prowokacje, ani na nasze prośby. Podczas gdy ukraińska dyplomacja interweniuje natychmiast, gdy w Polsce dzieje się cokolwiek z ukraińskiego punktu widzenia niekorzystnego. Protestują bez przerwy. To zresztą nie dotyczy tylko MSZ. Także MON. Pamięta pan sprawę nowych tablic na Grobie Nieznanego Żołnierza? Była tam tablica poświęcona obronie Birczy. Szef ukraińskiego IPN Wjatrowycz zaprotestował – i natychmiast ją usunięto. Żeby tylko nie drażnić Ukraińców.

Raczej dlatego, że ta sprawa uderzyła we wrażliwy punkt obecnie rządzących – w paradygmat antykomunizmu. Birczy i jej polskiej ludności broniła nie tylko cywilna samoobrona czy regularne WP, lecz również KBW oraz UB; tego obrazu nie może zaakceptować pisowska wrażliwość.

Ale przecież o tym MON wiedziało wcześniej! Treść tych tablic była ustalona i uzgodniona, skonsultowana z historykami, nie sposób utrzymywać, że się nie wiedziało, kto walczył w Birczy. I w takich okolicznościach najpierw wieszać tę tablicę, a po kilkudziesięciu godzinach ją zdejmować? Przecież to jest niepoważne.

Ale teraz ja chciałbym pana zapytać: co pan o tym wszystkim sądzi?

Uważałem i uważam, że waga utrzymania realnej niezależności Ukrainy od Rosji jest dla Polski tak wielka, że wtedy kiedy ta sprawa się ważyła, kiedy nie było wiadomo, czy rosyjska agresja nie zakończy się pełnym zwycięstwem, w 2014 czy nawet 2015 r., objęcie zasady nieprzeszkadzania Kijowowi najwyższym priorytetem było ze strony Warszawy rozsądne. Ale to zagrożenie już minęło.

No więc właśnie, a prezydent Duda i rząd PiS nadal się nad stosunkami z Ukrainą trzęsą. Wzajemności zaś nie widać. I to jest drażniące, bo ostatecznie kto tu od kogo bierze pieniądze?

Jeśli ktoś od kogoś, to Ukraina od Polski, a nie na odwrót. Tylko że, proszę księdza, to nie są wielkie pieniądza. One nie są dla Ukraińców argumentem. I tam panuje przekonanie odwrotne: że Ukraina niczego Polsce nie zawdzięcza i że Polska w zasadzie nie jest Ukrainie do niczego potrzebna. Bo Kijów ma i zawsze będzie miał zaplecze w naprawdę silnym partnerze – w Niemczech.

No to powiedzmy może prawdę – że Polska jest im niepotrzebna! Zwłaszcza że banderowcy byli zawsze proniemieccy. Stańmy w prawdzie. I na tej prawdzie budujmy nową politykę.

W ogóle we wszystkich sprawach trzeba powiedzieć prawdę. I iść dalej.

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

PANA PROF. BOGUSŁAWA BANASZAKA

Członka Rady Nadzorczej
Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Spółki Akcyjnej,

wybitnego konstytucjonalisty, Dziekana Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Zielonogórskiego,
Sędziego Trybunału Stanu, Członka Komisji Weneckiej, autora kilkuset prac naukowych,
doktora honoris causa prestiżowych uczelni, odznaczonego Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski

Żonie, Rodzinie i Bliskim

składamy wyrazy głębokiego współczucia

Członkowie Rady Nadzorczej, Zarządu oraz pracownicy PZU SA

26/0118/F

eprasa.pl dd70aa56f6

Europa w śmiertelnym niebezpieczeństwie

Fascynująca książka „Przedziwna śmierć Europy" apeluje przede wszystkim do rozumu. Niestety w debacie o imigracji trudno z takimi apelami dotrzeć do europejskich elit

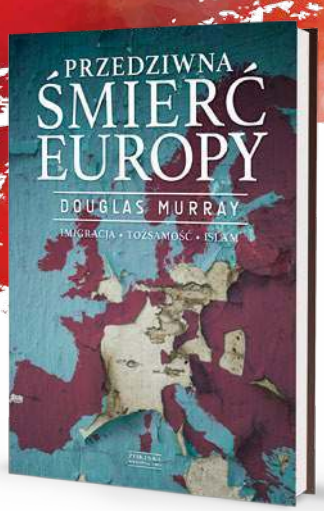

Rys. Shutterstock

Zanim kanclerz Merkel, jej współcześni i jej poprzednicy zechcieli to wszystko przemyśleć, zanim przeobrazili nasz kontynent, mogli się poradzić wielu wybitnych filozofów, na przykład Arystotelesa. Dowiedzieliby się od niego, dlaczego pytania te wydają się tak skomplikowane. Usiłowali znaleźć złoty środek nie między dobrem a złem, ale między sprzecznymi cnotami, sprawiedliwością i miłosierdziem. Jeśli cnoty te zdają się wchodzić z sobą w konflikt, mówi Arystoteles, to dlatego, że jedna z nich jest błędnie zrozumiana".

PIOTR ZAREMBA

To fragment książki Douglasa Murraya „Przedziwna śmierć Europy" wydanej

eprasa.pl dd70aa56f6

właśnie przez wydawnictwo Zysk. Względnie mainstreamowy brytyjski dziennikarz, zastępca redaktora naczelnego „Spectatora", próbuje wyciągnąć wnioski z tego, co dzieje się teraz z imigracją, rzucając wyzwanie wciąż mainstreamowym poglądom. Powątpiewa, czy jest prawdziwym miłosierdziem zapraszanie do Europy milionów ludzi – w dłuższej perspektywie los tych mas pozostaje także niepewny. Na pewno jest to natomiast jego zdaniem cios zadany sprawiedliwości.

PO CO TA KSIĄŻKA?

Sprawiedliwość jest zagrożona z punktu widzenia europejskiego liberała (o ile zechce to dostrzec), dlatego że „realizując liberalną politykę imigracyjną, może stracić swoje liberalne społeczeństwo". I jest zagrożona z perspektywy konserwatysty, bo „nawet jeśli uznasz, że niektóre poglądy i praktyki twoich przodków można by zmodyfikować, nie wynika z tego, że powinieneś przekazać następnemu pokoleniu społeczeństwo chaotyczne, sfragmentaryzowane i zmienione nie do poznania". Fenomen tej książki polega na tym, że Murray próbuje reprezentować i jedne, i drugie poglądy. Z obu perspektyw wieści katastrofę.

Zacząłem od końcowego fragmentu, aby pokazać, że autor ma odwagę zmierzyć się z konkluzją dotyczącą dnia dzisiejszego. Zarazem jego książka jest odmienna od stert doraźnej publicystyki na tematy imigracyjne opisującej Europę tak, jakby zaczęła się zaledwie wczoraj. To erudycyjna – pełna nazwisk, faktów i anegdot – opowieść o tym, jakie błędy popełniły w tej jednej materii europejskie rządy i społeczeństwa przez ostatnie kilkadziesiąt lat.

Patrząc z tej perspektywy, mieszanina bezradności i cynizmu wobec ostatniego potężnego kryzysu jawi się nawet jako coś mimo wszystko bardziej usprawiedliwionego. Szok wywołany fotografią utopionego trzyletniego Syryjczyka był do pewnego stopnia autentyczny. Natomiast przeraźliwy brak elementarnej zdolności przewidywania następstw długoletnich procesów społecznych, kiedy były jeszcze do ogarnięcia, zasługuje na akt oskarżenia europejskich polityków.

POLITYCY TYM GRALI

Polityków bez mała wszystkich opcji, przynajmniej tych mainstreamowych. Początkowo ze zrozumiałych powodów Murray koncentruje się na Anglii. Potem jednak opisuje mechanizmy rządzące imigracyjną polityką wielu krajów, w sumie dość podobne do siebie.

Może nieco lekceważy ekonomiczny motyw wieloletniego otwarcia granic – w moim przekonaniu elity biznesowe są ważnym wspólnikiem w dziele przemiany społeczeństw na bardziej „chaotyczne, sfragmentaryzowane i zmienione nie do poznania". Także dziś włoscy czy francuscy przedsiębiorcy szukają tanich pracowników jako swoistej recepty na dumping w czasie, kiedy praca stała się na socjalnym Zachodzie generalnie droższa.

Świetnie wychwytuje natomiast Murray motywy ideologiczne, portretując dla przykładu Barbarę Roche, wieloletnią minister w rządzie Blaira, która uważała, że samo wspominanie o imigracji to rasizm. Przedstawia ją jako wyznawczynię naiwnej wiary w to, że „wszyscy jesteśmy imigrantami", ale też gracza wierzącego, iż imigracja trwale zmieni brytyjską scenę polityczną w kierunku dominacji Labour Party. A równocześnie przypomina, że torysi okazywali się w tej polityce rzecznikami zmian co najwyżej kosmetycznych czy pozornych.

Jednym z głównych tematów jest fałsz elit. Z jednej strony francuscy socjaliści traktują imigrantów jako narzędzie zmiany oblicza francuskiego społeczeństwa, a z drugiej potrafią obiecywać bardziej restrykcyjną politykę, aby przelicytować prawicowych konkurentów. Ale wzajemna wyborcza licytacja zwykle okazuje się pozorna. Zapowiedzi ostrożnego przymknięcia granic, ba, choćby skuteczniejszego stosowania prawa, to prawie zawsze wyborczy rytuał, po którym wszystko zostaje po staremu.

Uczestniczą w tej komedii także tuzy zachodniej prawicy, w tym politycy przedstawiani przez lewicową propagandę jako nacjonalistyczne diabły – francuski minister spraw wewnętrznych Charles Pasqua czy obecny szef brytyjskiego MSZ Boris Johnson. To ten ostatni radził całkiem niedawno swoim rodakom, aby uznali zmianę swojej ojczyzny w narodowościowy tygiel za coś nieuchronnego, nad czym nie ma sensu się użalać.

O ZAMYKANIU UST

Murray nie jest gołosłowny. Nie poprzestaje na ogólnych deklaracjach o „utracie tożsamości" jako konsekwencji masowego napływu obcych. Polecam choćby precyzyjny, pełen liczb i faktów, opis zmiany społeczeństwa Szwecji pod wpływem obecności imigrantów zapraszanych i manifestacyjnie witanych przez tamtejsze elity, media oraz znaczne kręgi zwykłych obywateli. Ten rejestr najróżniejszych patologii dedykuję tym, którzy wyśmiewali posłużenie się szwedzkim przykładem przez Jarosława Kaczyńskiego. Wyrywkowe, ale sugestywne, przykłady brytyjskie, francuskie czy holenderskie są równie konkretne.

Może najgorsze w tym wszystkim są opisy wyciszania krytyków, tak bardzo sprzeczne z zasadami liberalnej demokracji opartej ponoć na jawnej dyskusji. To nie tylko manipulacje urzędników fałszujących statystyki czy policji programowo nieingerującej w pewien typ przestępstw. To także przypadki zaszczucia tych, którzy próbują się nie zgadzać.

Murray zaczyna od wypchnięcia z brytyjskiej polityki Enocha Powella, który jeszcze w latach 60. ubiegłego wieku chciał debaty na temat długofalowych konsekwencji imigracji wewnątrz brytyjskiej Partii Konserwatywnej. Ale może bardziej drastyczny jest los Raya Honeyforda, dyrektora szkoły w brytyjskim Bradford, który w 1984 r. w niskonakładowym piśmie przedstawił kłopoty z edukacją tam, gdzie większość uczniów placówki oświatowej stanowią muzułmanie. Nie tylko został natychmiast usunięty przez muzułmańskiego burmistrza, lecz również nie znalazł potem pracy w szkolnictwie jako „rasista". A przecież nie formułował żądań politycznych. Chciał tylko rozmowy o społecznych zjawiskach.

eprasa.pl dd70aa56f6

To opowieść o tendencyjnie pisanych naukowych raportach i o programach w telewizji, w których problem imigrantów sprowadza się do osiedlenia w Wielkiej Brytanii przedsiębiorczego Francuza – coś takiego można zamknąć pointą: przecież to niczym nie grozi, to dźwignia postępu.

Murray dość beznamiętnie rejestruje i skądinąd podważa główne argumenty za otwartymi granicami: że Europa się starzeje, więc potrzeba jej nowej krwi, że cudzoziemcy są potrzebni gospodarce czy że społeczeństwa wielokulturowe „są lepsze". A równocześnie pokazuje, że znaczna część uczestników tych debat nawet nie próbuje się zapoznać z faktami. Wystarczą słowne mantry.

WYCIEŃCZONY KONTYNENT

Czym to tłumaczy? Choć pojawia się długi passus dotyczący George'a Sorosa – nie spiskiem, ale wewnętrznym kryzysem społeczeństw europejskich, które przeżywają dziwny okres zmęczenia samymi sobą. Stąd fenomen całego zastępu polityków – od francuskich po szwedzkich – zapewniających, że ich kultury narodowe nie istnieją, a przybysze są w istocie lepsi od gospodarzy.

Nie ma powodu wątpić, że odzwierciedlają oni nastawienie wielu swoich wyborców, którzy wprawdzie zauważają poniewczasie, jakie niewygody wynikły z nowej struktury społeczeństwa, ale nie mają psychicznej siły się sprzeciwiać. Czasem zresztą przybiera to postać owego miłosierdzia, od którego zacząłem, silnego poczucia winy wobec reszty świata itd.

Tu dochodzimy do tematu bardziej ogólnego: kryzysu Europy jako takiej. Murray niepokoi się zagrożeniem dla jej wartości liberalnych, martwi się brakiem poszanowania dla gejów czy kobiet przez świat islamu, co kiepsko koresponduje z nastawieniem, powiedzmy, polskiej prawicy. Równocześnie zaś mocno podkreśla negatywne konsekwencje upadku religii. To od niego zaczęła się najpierw ekspansja ideologii skrajnych – komunizmu czy nazizmu – a potem dominacja kultury wiecznego zwątpienia.

Może najlepiej ilustruje ją kapitalna anegdota, którą autor kwituje porażkę czegoś, co nazywano „muskularnym liberalizmem": gotowości walki na całym świecie o prawa człowieka. „Pewien minister niemieckiego rządu powiedział mi kiedyś, że również jego kraj musi się zmierzyć z tą kwestią: istnieją pewne wartości, za które powinien być gotowy nie tylko walczyć i umierać, lecz i zabijać. Spytałem, czy mogę go anonimowo zacytować. »Absolutnie nie« – odparł, co kazało mi się zastanowić nad skutecznością polityki kraju, który deklaruje się jako gotowy walczyć, umierać i zabijać za swoje przekonania, ale tylko poza protokołem".

> Szef brytyjskiego MSZ Boris Johnson radził całkiem niedawno swoim rodakom, aby uznali zmianę swojej ojczyzny w narodowościowy tygiel za coś nieuchronnego, nad czym nie ma sensu się użalać

APEL DO ROZUMU

Murray nie ułatwia życia bezrefleksyjnym oponentom obcych. Jest dziennikarzem, przez kilka lat jeździł śladami opisywanych przez siebie zjawisk, odwiedził także obozy, w których zgromadzono przybyszów. Obok masy imigrantów ekonomicznych pokazuje także prawdziwych uchodźców. Opowieść Afgańczyka, dyrektora szkoły, który uciekł przed talibami, kiedy kazali mu spalić tę szkołę wraz dziećmi, brzmi wstrząsająco.

A jednak wybierając między cnotami, upiera się, że zmierzamy ku kataklizmowi. Jego scenariusze są niejasne, można by rzec – alternatywne. Może nim być stopniowe przejmowanie krajów zachodniej Europy przez obcych, może wzrost prawicowego ekstremizmu zagrożonych pierwotnych gospodarzy, a może nawet starcia między różnymi grupami przybyszów. W każdym razie lepiej nie będzie – konstatuje – zwłaszcza że europejska klasa polityczna zasadniczo nie chce się wycofać z błędnej polityki, choć oferuje korekty i półśrodki.

Będzie więc nam powtarzać, że utrzymanie kilku imigrantów w namiotach w Szwecji jest warte tyle, ile utrzymanie wielotysięcznego obozu dla uchodźców w Jordanii. Będzie opowiadać historie ludzi, którzy dziś są nadal zakrzykiwani, choćby konserwatywnego posła do brytyjskiego parlamentu Davida Daviesa, oskarżonego, że jest rasistą, kiedy zaproponował badania dentystyczne, aby odróżnić wśród imigrantów autentyczne dzieci od podszywających się pod nich dorosłych. I będzie pytał, dlaczego Europa dała się wpędzić w aż takie poczucie winy. Rzeczywiście imigracja to konsekwencja globalizacji? Dlaczego zatem nie żąda się przyjęcia obcych od bogatej Japonii czy Australii?

W książce jest rozdział poświęcony specyficznemu stanowisku Europy Wschodniej. Murray dostrzega je i aprobuje, choć w zasadzie nie dotyka roli Polski, cytując i uznając za lidera wschodniego oporu węgierskiego premiera Orbána.

W czasie, kiedy pisowski rząd obwinia się o wszystko, to może nawet i dobra wiadomość. Warto sobie jednak na tle tej listy zaniechań i głupot zachodnich elit zadać pytanie, czy nawet cokolwiek toporna linia oporu polskiego rządu wobec imigracyjnej linii większości Unii nie jest lepsza niż zachodnia sofistyka. Ja osobiście jestem zwolennikiem ustępstw w takich sprawach jak korytarze humanitarne. Ale ten opór wydaje mi się generalnie czymś bezpiecznym.

Nie ma tu niczego, czego byśmy nie znali w postaci haseł. Rzecz w tym, że on to zebrał, usystematyzował, pogłębił. Dał argumenty ludziom racjonalnym, jeśli tylko zechcą dostrzec problem. Czy zechcą? Właśnie.

eprasa.pl dd70aa56f6

ZGODY I KOSY

O Róży w podróży

Nocą wiatr hulał na kartoflanych polach. Za dnia psy łańcuchami dzwoniły, jakby imigranta wyczuły

Zjechała do kraju na inspekcję Róża Gräfin von Thun und Hohenstein. Ledwie granicę minęła, już koła złoconej karety w koleinach błotnistych ugrzęzły i trzeba było wzywać okolicznych chłopów, by wołami powóz wyciągnęli. – Jak wam się żyje? – spytała Gräfin. – Narzekać nie mogę – odparł kmieć wąsaty, łypiąc spode łba na Niemca stangreta. – Robotę żem znalazł, na każde dziecię 500+ dali, to i sakwa coś waży. Rano wstaję, Pan Bóg siłę daje, w domu żona z ciepłą strawą czeka... Czegóż chcieć więcej? – A nie chcielibyście, gospodarzu, ciekawej książki poczytać? – zagaiła hrabina. – Przywiozłam kilka lektur o tym, jak ludzie żyją na Zachodzie, jakie mają wartości, marzenia... – Ja, pani, niepiśmienny jestem. Ledwiem trochę łaciny liznął u ojców jezuitów – uciął pogawędkę chłop i oddalił się w stronę wioski majaczącej na horyzoncie jak na płótnach Chełmońskiego.

Było w ojczyźnie ciemno i zimno. Nocą wiatr hulał na kartoflanych polach, do chałup przez okna się wdzierał, gromnice gasił. Za dnia znowu psy łańcuchami dzwoniły, rzucając się w tę i nazad, jakby imigranta wyczuły. Po wioskach pełno było szpiegów rządowych i widok buntowników dźwigających kajdany w asyście siepaczy z grup rekonstrukcyjnych nie należał do rzadkości. Jednak wieczorami drogi pustoszały. Karmieni propagandą TVP ludzie zatrzaskiwali drzwi z obawy przed gejami. W stolicy kraju rozmodlony tłum wznosił narodowe hasła i sztandary. – „Biedne społeczeństwo zamknięte" – pomyślała Thun und Hohenstein w drodze powrotnej ku zachodniej granicy.

Może nie jest to wierne streszczenie paradokumentu z udziałem europosłanki PO, wyemitowanego przez niemiecko-francuską telewizję Arte, ale atmosfera się zgadza. Najgorsze w tym lirycznym thrillerze wcale nie są obsesyjne oskarżenia pod adresem Jarosława Kaczyńskiego i polskiego rządu. Razi przede wszystkim obraz narodu, który wyznaje chrześcijańskie i patriotyczne wartości tylko dlatego, że jest zacofany albo zmanipulowany. Zarówno autorom filmu, jak i pani Róży wydaje się, że kwestią czasu jest stworzenie w Europie ponadnarodowego społeczeństwa, w którym ludzie – jak to ujął Zygmunt Bauman – „nie będą odczuwali potrzeby odpowiadania na pytanie »Dlaczego jesteś liberałem?«". Rzeczpospolita, traktowana jako wschodnia prowincja imperium, to dla zachodnich elit teren misyjny, który z nieznanych im przyczyn dotąd nie poddał się lewackiej ideologii. Wprawdzie tubylcy tłumaczą swoją postawę imperatywem „polskiej duszy", ale przecież żadna „dusza" nie istnieje.

Paradokument Arte doskonale wpisuje się w proces zapoczątkowany w epoce oświecenia. W Polsce działał wtedy stołeczny „Monitor" ze swoją teorią kręgów: im dalej od Warszawy, tym większa ciemnota. Jedźmy tam z misją otwierania umysłów „przez komunikacyją refleksyi rozumniejszych patriotów do mniej rozumnie konwersujących". Niedługo później, w 1820 r., bodaj po raz pierwszy w literaturze polskiej pojawił się szyderczy neologizm, który do dziś bywa używany przez szermierzy postępu. W satyrycznej, nawiązującej do wzorów wolteriańskich powieści „Podróż do Ciemnogrodu" Stanisław Kostka Potocki zbudował karykaturę Rzeczypospolitej pełną odniesień do katolicyzmu i kultury sarmackiej. Wielki mistrz rodzimej masonerii wyśmiewał obrzędy odprawiane na Jasnej Górze, a wiernych przedstawiał jako dzikusów. Piętnując obskurantyzm i ksenofobię przywódców narodu, dodawał, że w Ciemnogrodzie „ludźmi strachem i musem rządzić tylko można". Dydaktyczny wymiar powieści zdominował jej zakończenie. Dzięki wygłaszanym przez światłego podróżnika pouczeniom oraz przywiezionym przez niego książkom kraj wkroczył wreszcie na drogę postępu. Ciemnogrodzianie zrozumieli, że „różnica, która między nami i Europejczykami zachodzi, jest ta, że nasze wychowanie i ustawy psują rozsądek, wasze prostują". Czy nie do takiej koncepcji chciała nas przekonać Róża Gräfin von Thun und Hohenstein podczas swej podróży po Polsce?

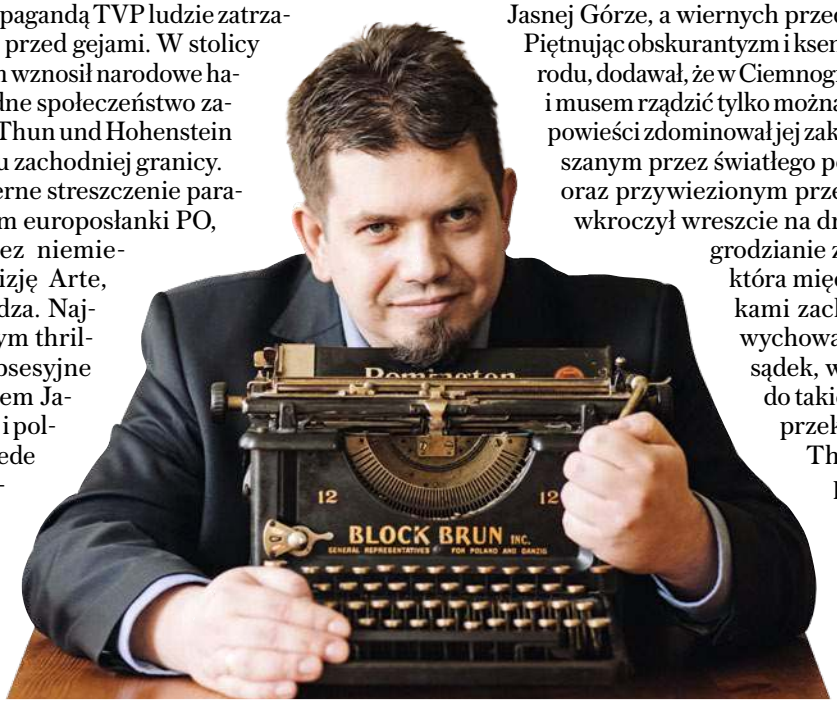

A poza tym uważam, że Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina musi zostać zburzony.

Wojciech Wencel

eprasa.pl dd70aa56f6

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Dobra zmiana na zakręcie?

Po dwóch niezwykle dobrze rokujących dla Polski latach rządu Prawa i Sprawiedliwości dobra zmiana znalazła się na zakręcie. To niewątpliwie efekt uległości wobec totalnej opozycji z jej hasłami „ulica i zagranica", wobec Komisji Europejskiej, ale także wobec prezydenta Andrzeja Dudy, który jako jeden z nielicznych w obozie dobrej zmiany podważył reformę sądownictwa, wcześniej zawetował ustawę o Regionalnych Izbach Obrachunkowych, a teraz wpłynął na kształt rządu Mateusza Morawieckiego. Na razie zanotowaliśmy bezradną wypowiedź nowego ministra środowiska Henryka Kowalczyka w sprawie Puszczy Białowieskiej. Powiedział, że rozwiązanie tego problemu „leży gdzieś pośrodku między skrajnymi wariantami". A więc te „skrajne warianty" to na wskroś polityczne i demagogiczne stanowisko Unii Europejskiej oraz Trybunału Europejskiego, zakazujące jakiejkolwiek ingerencji człowieka w życie puszczy, i aktywna polityka ochrony puszczy przed kornikiem realizowana przez byłego ministra środowiska prof. Jana Szyszkę. Jedynego chyba ministra i specjalisty tak dobrze przygotowanego do sprawowania swojej funkcji.

Do nowego rządu nie weszli najbardziej krytykowani przez opozycję ministrowie. To jakby ukłon w stronę „ulicy i zagranicy"

Nowy minister nie wie jeszcze, kto ma rację, czeka na uzasadnienie wyroku Trybunału, opinie polskich ekspertów, ale już teraz uważa, że najlepszym rozwiązaniem byłby kompromis. Jaki kompromis, skoro premier Mateusz Morawiecki już w swoim exposé zapowiedział wykonywanie europejskich wyroków? Sprawa ochrony Puszczy Białowieskiej wydaje się zatem przesądzona. Polska podda się dyktatowi z Brukseli. I zapewne nie tylko w tej sprawie.

Innego rodzaju kontrowersje wzbudza polityka ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry. Ponoć narusza „pakiet praworządności" wypracowany przez europejskie elity, stąd m.in. rozmowa na ten temat premiera Mateusza Morawieckiego w Brukseli z komisarzami UE Junckerem i Timmermansem. Premier miał wyjaśniać powody zmian w polskim prawie, nawet podawać przykłady sądowniczych patologii, jakie nagromadziły się w tej niereformowanej od lat, wciąż postkomunistycznej trzeciej władzy. I samo to musi budzić zdumienie, gdyż komisarzom z pewnością nie chodziło o „polską narrację", ale o uzyskanie zapewnienia uległości wobec unijnych zastrzeżeń na temat reform sądownictwa. Podobnie rozmiękczający charakter musiała mieć rozmowa „w cztery oczy" polskiego premiera z Jeanem-Claude'em Junckerem. Czy rzeczywiście potrzebne są takie „szczere" rozmowy, skoro stanowisko Polski było i powinno pozostać jednoznaczne? Sprawa reformy sądownictwa jest prawem i obowiązkiem każdego suwerennego rządu – członka Unii Europejskiej i tym bardziej nie powinna być omawiana podczas prywatnych zakulisowych rozmów.

Do nowego rządu Mateusza Morawieckiego nie weszli najbardziej krytykowani przez opozycję ministrowie: Jan Szyszko, Antoni Macierewicz, Witold Waszczykowski, Konstanty Radziwiłł, Anna Streżyńska. To jakby ukłon w stronę „ulicy i zagranicy", tym bardziej że wśród zdymisjonowanych były silne i raczej konserwatywne osobowości. A skoro konserwatywne, to oczywiście kontrowersyjne, bo w III RP tylko konserwatyzm poglądów może budzić kontrowersje. Normą jest nowoczesna lewicowość, jej nowomowa i polityczna poprawność.

Minister Kowalczyk tymczasowo kierował Ministerstwem Skarbu Państwa, po odwołaniu z urzędu Dawida Jackiewicza krótko był tymczasowo przewodniczącym Komitetu Stałego Rady Ministrów i zapewne tymczasowo pokieruje Ministerstwem Środowiska do czasu likwidacji tego resortu.

Podobnie niepewnie mogłoby być z MON po odwołaniu ministra Antoniego Macierewicza, gdyby nie postać nowego ministra Mariusza Błaszczaka. Konserwatyzm poglądów ministra, gorącego przecież przeciwnika napływu do Polski emigrantów, zapewne nie ulegnie zmianie, ale – jak widać – ważniejsza stała się chęć wyeliminowania „kontrowersyjnego" Antoniego Macierewicza, od lat konsekwentnego przeciwnika III RP, postkomuny i WSI oraz poważnego dla prezydenta Andrzeja Dudy w rozmowach o Wojsku Polskim partnera, a nie tylko jego podwładnego.

Nowy rząd Matusza Morawieckiego, powstały po wymuszeniu na Beacie Szydło rezygnacji z funkcji premiera, a teraz, po odsunięciu od władzy niezwykle zasłużonego dla wolnej Polski Antoniego Macierewicza, nie będzie już tym samym rządem dobrej zmiany, tego samego PiS, choć jego prezes Jarosław Kaczyński uspokaja i każe ufać. Wkrótce się okaże, co dalej z dobrą zmianą.

eprasa.pl dd70aa56f6

DARIUSZ KARŁOWICZ

Demos o demokracji

W połowie zeszłego roku CBOS przedstawiło bardzo ciekawy komunikat z sondażu pt. „Zasady demokracji i ich realizacja w Polsce". Chodzi o poważny sondaż – nie o kilkadziesiąt telefonów z redakcji, która potrzebuje sensacyjnego newsa. Solidna firma, solidna próba, kapitalny temat i bardzo interesujące wyniki.

Sondaż rzuca snop światła na polskie spory polityczne ostatnich dwu lat, które – niezależnie od tego, jak często przyjmują postać farsy – toczą się wokół spraw fundamentalnych, dotyczą przecież kształtu ustrojowego Polski. Choć nie wszystkich to cieszy, to trudno zaprzeczyć, że debata o porządku politycznym wymknęła się z gabinetów, seminariów i Magdalenek. Poszła w lud. Rozpoczęły się polskie ćwiczenia z podmiotowości. Czy się to komuś podoba, czy nie, czasy są takie, że o Monteskiuszu dyskutują nawet ci, którzy go nigdy nie czytali. Po epoce odgórnej transformacji to duża zmiana.

Trudno wątpić, że w samym centrum dyskusji znajduje się kwestia demokracji (pole konfrontacji symbolicznie wyznacza nazwa KOD), ale paradoks polega na tym, że w obronie „prawdziwej demokracji" występują obie strony tego zażartego konfliktu.

Pytanie, na jaki grunt padają hasła wzywające do ratowania demokracji, to kwestia, która może przesądzić o losach całych formacji politycznych. Skoro wszyscy zachodzą w głowę, dlaczego przewlekły konflikt ustrojowy wzmacnia PiS – to z pewnością warto się dowiedzieć, co o pożądanym kształcie demokracji sądzi demos.

Chodziłoby więc o definicję demokracji, ale nie tę, którą można znaleźć w książkach filozofów polityki, ani tę, którą umieszczono w ustawach czy międzynarodowych traktatach, lecz o wyobrażenie potoczne. I tym właśnie zajęło się CBOS.

W komunikacie najciekawsze wydają mi się dwie sprawy: kwestia rozumienia demokracji i pytanie, jaka jest jej kondycja w Polsce? W obu wypadkach obraz jest bardzo intrygujący.

Odpowiadając na pytanie o najważniejsze cechy demokracji, niemal wszyscy badani wskazują na wolne i uczciwe wybory, równość wobec prawa i powszechne prawo wyborcze (odpowiednio: 96 proc., 95 proc., 94 proc.). Innymi słowy, demokracja to ustrój, w którym prawo i praktyka wyborcza gwarantują powszechność, wolność i uczciwość wyborów i w którym nie istnieją grupy uprzywilejowane – a więc ludzie, którym – już z tytułu prawa – wolno więcej.

Doskonale widać dwa silnie obecne konteksty. Pierwszy stanowi ciągle żywa trauma PRL, drugi to fala antyegalitarystycznych nastrojów związana z kryzysem powojennego porządku ustrojowego – fala, która przetacza się przez cały liberalno-demokratyczny świat.

Cieszymy się z końca komuny i ciągle boimy się jej powrotu. Poniżająca fikcja ludowładztwa i rzekomej równości nie została zapomniana. Podobnie jak represje. Wspomnienia tych doświadczeń dają o sobie znać, gdy ankietowani zgodnie podkreślają wagę, jaką w demokracji ma wolność osobista (94 proc.) oraz wolność słowa i organizowania się (91 proc.).

Wśród wskazywanych cech uderza bardzo silna obecność kwestii równości w dostępie do rozmaitych dóbr. Tu na wspomnienie PRL nakładają się – jak sądzę – problemy znane już z III RP. Takiemu podwójnemu kontekstowi przypisywałbym znaczenie przekonania, że do obowiązków demokracji należy dbałość o dobrobyt (91 proc.), gwarancja równego startu (95 proc.) i zapewnienie dostępu do istotnych dziedzin życia.

Clou sondażu dotyczy opinii na temat realizacji tego, co badani uważają za właściwą postać demokracji. Tu widać najlepiej, dlaczego teza o wywołanym przez PiS kryzysie trafia w próżnię.

Okazuje się, że prawie wszyscy, bo aż 92 proc., uważają (zdecydowanie tak + raczej tak), że w Polsce mamy powszechne prawo wyborcze; ¾, że wybory są wolne i uczciwe; ¾, że istnieje wybór między programami partii politycznych; 71 proc., że obywatele mają możliwość aktywności na forum publicznym, 68 proc., że istnieje wolność poglądów i organizowania się, a 65 proc., że wolność osobista obywateli jest chroniona.

Dużo słabiej wygląda realizacja takich pryncypiów, jak równość wobec prawa (tak i raczej tak – 39 proc.), możliwość uzyskania wykształcenia (43 proc.), pomoc najuboższym (43 proc.), ograniczanie nierówności warunków bytu (43 proc.); rządy prawa (47 proc.); skuteczna kontrola władzy (40 proc.); właściwy dobór elit władzy (33 proc.) i konsultacje społeczne (29 proc.).

Jak widać, więcej demokracji znaczy dziś przede wszystkim więcej solidarności społecznej, więcej równości oraz lepsze od obecnych i lepiej kontrolowane elity. Kto tego nie rozumie, ten nie zostanie zrozumiany – zwłaszcza gdy chce mobilizować lud w obronie ludowładztwa. Krytyka 500+, obrona „specjalnej kasty", parady zgorzkniałych celebrytów i pogarda wobec ludu potwierdzają tylko podejrzenia dotyczące antydemokratycznych skłonności dawnych elit. Nie jest to oczywiście problem wyłącznie lingwistyczny, ale można chyba przyjąć, że umieszczając na sztandarach „demokrację", opozycja strzela głównie do własnej bramki. Wygląda na to, że w oczach Polaków najwięcej cech prawdziwego KOD ma dzisiaj PiS.

eprasa.pl dd70aa56f6

5 stycznia 2018 r. minęła pierwsza rocznica śmierci wielkiego człowieka, który swoją historią i postawą życiową zaświadczał o miłości do ojczyzny. Gen. Janusz Brochwicz-Lewiński ps. Gryf na stałe zapisał się w panteonie Polaków

Fot. Rafał Oleksiewicz/REPORTER

Wszystko dla Polski

STANISŁAW ŻARYN

Gen. „Gryf" już za życia stał się ikoną dla wielu środowisk. I nic dziwnego: jego służba wojskowa, działalność wywiadowcza, doświadczenia wojenne sprawiły, że był wzorem dla wielu Polaków. Z gen. Brochwiczem-Lewińskim chętnie spotykali się żołnierze czy też pracownicy i funkcjonariusze instytucji zajmujących się bezpieczeństwem państwa. Garnęła się do niego młodzież – szczególnie harcerze – która wyczuwała autentyzm i szczerość bijącą z jego opowieści. Po śmierci „Gryf" jest również wspominany z życzliwością i wdzięcznością. Pamięć o nim jest żywa m.in. w Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, która inspiruje się jego postawą i przybliża jego postać swoim funkcjonariuszom. Ten wielki Polak, bohater z czasów II wojny światowej, skuteczny wywiadowca walczący z Niemcami, a potem komunistyczną Rosją, jest dziś stawiany za wzór w ABW. Jego życie oraz wartości, którym służył, doskonale korespondują z misją i charakterem pracy agencji.

WOJENNY HART DUCHA

„Pan miał wyzwania wielkie i straszne, ale pan je przeszedł, zawsze z podniesionym czołem, zawsze z dumą. Jako patriota, jako żołnierz Rzeczypospolitej, wierny, niecofający się nigdy przed wykonaniem obowiązku wobec ojczyzny, wobec bliskich, wobec towarzyszy broni" – mówił prezydent Andrzej Duda w 2015 r., w czasie urodzin generała.

Janusz Brochwicz-Lewiński już jako młody człowiek stanął przed ogromnymi wyzwaniami i wykazywał hart ducha. Był przedstawicielem pokolenia, które musiało się zmierzyć z wojenną pożogą. Gdy wybuchła II wojna, przyszły gen. „Gryf" miał niecałe 19 lat. 19. urodziny obchodził w dniu, w którym Polska została zaatakowana przez rosyjskie wojska. Czas wojny to dla tego bohatera bardzo trudny okres walki z okupantami, ale również okres wielu heroicznych czynów. Do historii przeszła słynna obrona pałacyku Michla. Gen. „Gryf" na początku powstania warszawskiego był dowódcą oddziału, który bronił strategicznie ważnego miejsca przed atakami niemieckich wojsk, w tym wojsk pancernych. Dzięki niezwykłej odwadze, umiejętnościom i kunsztowi wojskowemu udało mu się odeprzeć uderzenia niemieckie. „Walczyłem m.in. z brygadą Dirlewangera, złożoną z morderców. Ci ludzie byli wypuszczani z więzień, pod warunkiem że będą się bili na śmierć i życie. To była dla nich jedyna droga do wolności" – wspominał „Gryf" w wywiadzie dla wPolityce.pl.

Obejmując oddział powstańczy, miał już na koncie wojenne sukcesy, choćby skuteczną akcję w aptece Wendego, placówce dla Niemców, z której udało mu się wywieźć leki dla żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego. Akcja prowadzona w dzielnicy Warszawy kontrolowanej przez Niemców była ogromnym sukcesem Brochwicza-Lewińskiego. Dużą skuteczność miały również działania „Gryfa" związane z jego współpracą z podziemnym wywiadem, w ramach której zdobywał cenne informacje m.in. o transporcie wojskowym Niemców i Rosjan. Do tej pracy wykorzystywał swoje biuro umieszczone na jednej ze

eprasa.pl dd70aa56f6

stacji kolejowych na Lubelszczyźnie, które pozwalało mu na rejestrowanie ruchu kolejowego. „Ja te raporty robiłem i oddawałem do wyższej instancji; one były transmitowane albo drogą radiową, albo inną kurierską do Warszawy, do głównej kwatery Związku Walki Zbrojnej" – wspominał w rozmowie nagranej przez Muzeum Powstania Warszawskiego.

PRZECIW KOMUNIE

Gdy wybuchło powstanie warszawskie, był więc już doświadczonym i ukształtowanym żołnierzem oraz konspiratorem. Niestety po kilku dniach walk powstańczych został bardzo ciężko ranny. Do zdrowia wrócił dopiero na emigracji w Wielkiej Brytanii, po miesiącach rekonwalescencji i wielu operacjach.

Zakończenie wojny zastało generała na Wyspach, nie oznaczało jednak dla niego końca walki. Po 1945 r. Brochwicz-Lewiński kontynuował pracę dla wolnej Polski, tym razem walcząc w szeregach brytyjskiej armii z wpływami Rosji na świecie. Swoją misję na rzecz zwalczania wpływów rosyjskich motywował walką o wolną ojczyznę, okupowaną przez Moskwę. O funkcjonariuszach reżimu komunistycznego mówił zawsze jako o „pachołkach" Kremla.

Jako agent brytyjskiego wywiadu „Gryf" pracował na misjach w Izraelu, Egipcie, Sudanie, a także w Niemczech, gdzie jego zadaniem było wyłapywanie komunistycznych agentów, którzy z okupowanych przez Sowietów terenów próbowali się przedostać do Niemiec Zachodnich wśród innych imigrantów. Jego aktywność była szalenie niebezpieczna dla Rosji, której wpływy zwalczał, gdziekolwiek stacjonował. Przez to na Brochwicza-Lewińskiego wydano wyrok śmierci. Już po zakończeniu wojny jego życie było kilkakrotnie zagrożone. W 1948 r. jego samochód został ostrzelany w pobliżu brytyjsko-rosyjskiej linii demarkacyjnej. Kilka lat później, w 1953 r., jego auto staranowała dziesięciotonowa ciężarówka. Stracił wtedy tak dużo krwi, że lekarz wiozący go w sanitarce nie wierzył, iż generał dojedzie żywy do szpitala. Już po powrocie „Gryfa" do Polski i zamieszkaniu przez niego na stałe w Warszawie próbowano go dwukrotnie otruć. Nie miał wątpliwości, że były to zamachy na jego życie. „Gdyby mogli, sprzątnęliby mnie na ulicy" – mówił w 2015 r. o Rosjanach w wywiadzie dla portalu wPolityce.pl.

WIECZNY PRZYKŁAD

Powrót do ojczyzny nie był dla generała łatwy, ale z czasem otworzył przed nim kolejne możliwości działania na rzecz Polski. Rozpoczął on aktywność edukacyjną. Zaczął działać w środowisku kombatanckim, spotykać się, opowiadać o historii i swoim życiu. Stał się wzorem dla wielu środowisk. Za ofiarną służbę ojczyźnie został uhonorowany wieloma odznaczeniami, m.in. Krzyżem Walecznych (dwukrotnie), Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski oraz Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari. W 2008 r. został mianowany przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego na stopień generała brygady. W latach 2009–2014 był członkiem Kapituły Orderu Wojennego Virtuti Militari, a od 2014 r. zasiadał w Komitecie Honorowym Fundacji „Łączka". Zmarł 5 stycznia 2017 r. w Warszawie. Pośmiertnie prezydent Andrzej Duda awansował „Gryfa" na stopień generała dywizji.

Gen. Janusz Brochwicz-Lewiński był człowiekiem walki, walki o Polskę, walki o zasady. „Polakami jesteśmy wtedy, gdy jesteśmy chrześcijanami. Musimy bronić wartości. Gdy tego nie obronimy, leżymy tak samo jak wszystkie państwa europejskie" – mówił jednoznacznie o współczesnej Polsce. „Trzeba się modlić za Polskę, ale trzeba także dla niej bardzo wytrwale pracować" – stwierdzał w 2015 r. Choć był człowiekiem wielkiej odwagi i wielkich zasług, nie wywyższał się. W kontakcie bezpośrednim był radosnym, otwartym człowiekiem, od którego emanowało ciepło. Wizyta w jego warszawskim mieszkanku dawała możliwość zanurzenia się w fascynującą historię opowiedzianą przez uczestnika niezwykłych wydarzeń. Jego historie i opowieści poruszały realizmem oraz autentycznością, trafiając zarówno do dorosłych, jak i do dzieci. Był człowiekiem niezłomnej postawy, ale jednocześnie człowiekiem skromnym. O swojej pracy mówił krótko: „Nie zrobiłem nic niezwykłego, wykonałem to, co do mnie należało". Opowiadał też, że „robił dobrą robotę". I była to robota, u której podstaw leżało umiłowanie ojczyzny.

Postawa, ale i kodeks wartości są szalenie ważne w kształtowaniu funkcjonariuszy i pracowników takich instytucji jak Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. W szeregach ABW muszą się znajdować osoby o wysokich walorach moralnych, żelaznym charakterze, charcie ducha, miłości do Polski. Takie same osoby muszą być przedstawione jako wzór dla funkcjonariuszy i pracowników. Dlatego obecne kierownictwo ABW kładzie duży nacisk na popularyzację wiedzy o bohaterskich Polakach, którym zawdzięczamy wolność. Wśród tych, o których w ABW pamięta się szczególnie mocno, jest miejsce dla gen. „Gryfa", żołnierza, wywiadowcy, Polaka walczącego o naszą ojczyznę. To nie jest jedynie deklaracja. Kierownictwo ABW wzięło udział w uroczystościach pogrzebowych generała w związku z 73. rocznicą powstania warszawskiego, w centrali ABW przy ul. Rakowieckiej w Warszawie została przygotowana wystawa poświęcona obronie pałacyku Michla. 1 sierpnia na budynku ABW zawisł rocznicowy baner z wizerunkiem Brochwicza-Lewińskiego. Szef ABW wziął udział w uroczystościach upamiętniających rocznicę obrony pałacyku Michla. Wizerunek „Gryfa" zdobi również pamiątki wytwarzane przez ABW.

Obecnie agencja gromadzi materiały dotyczące „Gryfa" – wspomnienia, zdjęcia, dokumenty. Kierownictwo ABW ma poczucie, że wiedza o bohaterze powinna być powszechna, więc dokumenty pokazujące wciąż nieznane szerzej epizody z życia Brochwicza-Lewińskiego będą wykorzystane i popularyzowane. Takich inicjatyw będzie z całą pewnością więcej, gdyż życiorys generała jest i powinien być inspiracją oraz drogowskazem dla współczesnych Polaków. Instytucje, które jak ABW dbają o bezpieczeństwo Polski, szczególnie często powinny wspominać niezwykłą historię Janusza Brochwicza-Lewińskiego, człowieka, którego życie było walką o wolną i suwerenną Polskę.

Autor jest rzecznikiem prasowym ministra koordynatora służb specjalnych

eprasa.pl dd70aa56f6

Wspólna droga

Wątpię, że Chorwacja otwarcie sprzeciwi się propozycji Komisji Europejskiej w sprawie polskiej, ale wierzę, iż istnieją realne szanse, aby wstrzymała się od głosu

Z analitykiem i doradcą politycznym Mate Mijiciem rozmawia Goran Andrijanić

Pana felieton o tym, że Chorwacja powinna poprzeć Polskę w jej konflikcie z UE w sprawie postępowania wszczętego przez jej urzędników przeciwko Warszawie, sprowokował wiele komentarzy w chorwackiej opinii publicznej. Jak wyjaśniłby pan przeciętnemu polskiemu czytelnikowi chorwacki punkt widzenia na sytuację w Polsce i na wojnę, którą Komisja Europejska prowadzi przeciwko temu krajowi?

Mate Mijić: W tej kwestii Chorwatów możemy podzielić na dwie grupy. Pierwszą tworzą utożsamiający się z Polakami jako słowiańskim katolickim narodem, który musi sprostać wyzwaniom podobnym do tych, jakie męczą Chorwatów. Należy do nich m.in. nieskuteczne i generalnie złe sądownictwo, wielki wpływ struktur postkomunistycznych we wszystkich sferach społecznych, brak równowagi w przestrzeni medialnej itp. Druga

grupa jest zachłyśnięta nową unijną religią i nikomu nie pozwala na podawanie w wątpliwość unijnych dogmatów ani ich proroków. Wszystko, co przychodzi z Brukseli, jest dla nich uosobieniem postępu i gwarantem przyszłego przejścia na jakiś wyższy poziom istnienia, którego człowieczeństwo jeszcze nie doświadczyło. Nie ma tu miejsca na krytyczny dystans, a każdy, kto się temu kierunkowi sprzeciwi, jest zaszufladkowany jako zacofany, furiat, często także faszysta. Na szczęście ta grupa nie jest liczna, niestety ma większy wpływ na opinię publiczną, skutkujący monopolizacją mediów i całej sceny NGO.

Mimo to nie odstąpimy od tego poparcia, ponieważ wciąż mamy w pamięci to, że jeszcze niedawno Chorwacja własną krwią walczyła o swoją niezależność, i wiele osób nie ma zamiaru wyrzec się tego, za co zapłacono tak wysoką cenę. Ci ludzie w całej sprawie bez wyjątku staną u boku Polski.

Główną tezą pana felietonu jest zdanie, że to, co się właśnie dzieje w Polsce, może się jutro wydarzyć także w Chorwacji. Jakie kwestie zasadnicze dotyczące wszystkich krajów członkowskich można tu przywołać?

Obie strony – i rząd Polski, i Komisja Europejska – grają dzisiaj o wszystko albo nic. Jeśli KE zje zęby na Polsce, w przyszłości będzie ostrożniej postępować, aby nie doprowadzać do dalszej utraty autorytetu. Nie zapominajmy, że traktat lizboński stworzył polityczno-prawne ramy dla federacji, która wciąż przecież nie istnieje, i w ten sposób pozostawił dużo przestrzeni instytucjom unijnym, które od tamtej pory walczą między sobą o dominację. Komisja widzi siebie jako rząd Unii Europejskiej i z takiej pozycji występuje, mimo że nie ma do tego podstaw prawnych. Będzie tak dotąd, aż połamie sobie na tym zęby.

A teraz, po Brexicie i w kontekście kryzysu w Niemczech, nadarza się ku temu doskonała sposobność. To szansa, aby w przyszłości Komisja mogła się stać partnerem, a nie zleceniodawcą. To z pewnością przełoży się na wiele kwestii, w których UE ma wyłączne lub podzielone kompetencje, a w dłuższym rozrachunku – na stabilizację w Europie.

Jak według pana będzie głosować Chorwacja w Radzie Unii Europejskiej w sprawie dyskusji o wszczęciu sankcji przeciw Polsce?

Wątpię, że otwarcie sprzeciwi się propozycji Komisji, ale wierzę, iż istnieją realne szanse, aby wstrzymała się od głosu. To w obecnej sytuacji najbardziej logiczne posunięcie. Odzwierciedlałoby kompromisową postawę rządu oraz prezydent Chorwacji, którzy współtworzą politykę zagraniczną. Pani prezydent Kolinda Grabar-Kitarović skłonna jest do bliższej współpracy z Polską i otwarcia na Grupę Wyszehradzką niż premier Andrej Plenković, dlatego zdystansowana pozycja w Radzie dla obu stron byłaby najlepsza.

> Nie odstąpimy od poparcia, ponieważ wciąż mamy w pamięci to, że jeszcze niedawno Chorwacja własną krwią walczyła o swą niezależność

Rządząca w pana kraju Chorwacka Wspólnota Demokratyczna (HDZ) jest członkiem Europejskiej Partii Ludowej i generalnie realizuje jej politykę. Na ile od tak myślącej formacji możemy oczekiwać, że zrozumie polski rząd i będzie z nim szczerze współpracować, a także będzie budować polsko-chorwackie relacje?

HDZ daleko do homogeniczności, a PiS może bez problemu znaleźć w tym ugrupowaniu dobrego rozmówcę. Nie przyniesie to szybkich rezultatów, biorąc pod uwagę to, że partią rządzi dyplomata z brukselską przeszłością, który jednak jest w stanie zbudować wartościowe relacje w przyszłości.

Od Plenkovicia nie trzeba oczekiwać, że stanie po stronie polskiego rządu lub przeciwko niemu na podstawie jakiegoś swojego światopoglądu, ponieważ on nie ma zamiaru go okazywać. Tak jest zawsze z dyplomatami – oni zasadniczo nie mają jasnych politycznych idei, gdyż ich praca polega na tym, że pożyczają cudze. Dobry dyplomata przystosuje się do okoliczności, a Plenković posiada jeszcze jedną dodatkową makiawelliczną cechę. Jeśli zmienią się relacje wewnątrz UE, a w jego interesie będzie rozwijanie bliskich relacji z Polską, tak uczyni.

Dopóki jednak relacje na linii Warszawa–Bruksela będą w przyszłości tak napięte jak dziś, nie możemy takiego zbliżenia oczekiwać. Mimo to Chorwacja postrzega Polskę jako świetną ambasador, która jest bardzo zainteresowana pogłębianiem obopólnych relacji.

W zeszłym roku chorwacka prezydent razem z prezydentem Polski intensywnie pracowali nad dyplomatyczną inicjatywą Trójmorza. Wydaje się, że nic konkretnego w tej kwestii się potem nie wydarzyło. Jak pan ocenia tę inicjatywę oraz nastawienie chorwackiego rządu wobec tego projektu?

Patrzę na tę inicjatywę jako nadbudowę Grupy Wyszehradzkiej. Myślę, że w sensie ekonomicznym może to przynieść wiele korzyści, szczególnie w dziedzinie energetyki i w projektach infrastrukturalnych. Niezależność energetyczna Europy jest bardzo ważna dla długotrwałego rozwoju gospodarczego oraz stabilności politycznej, a alternatywa dla rosyjskich złóż jest w tej kwestii niezwykle ważna.

W sensie politycznym nie jestem tak wielkim optymistą, ponieważ doświadczenie Wyszehradu pokazuje nam, że te państwa nie są niestety gotowe do zasadniczej współpracy

eprasa.pl dd70aa56f6

i przemówienia jednym głosem. Szczerze mówiąc, okoliczności w Europie się zmieniają i kraje V4 znajdują się pod większym naciskiem, co zmusza je do bardziej szczerej kooperacji i trzymania się razem. To, czy inicjatywa Trójmorza doprowadzi do prawdziwej politycznej kohezji, która by oznaczała wspólny punkt widzenia w sferze kluczowych pytań przy brukselskim stole, jeszcze się okaże. Powtarzam: na razie nie jestem tu optymistą.

Jak pan ocenia przyszłość suwerenistycznych konserwatywnych opcji w UE, mając na uwadze wydarzenia i dyskusje, jakie w tym momencie toczą się w Unii?

W czasie wielkiej polaryzacji najgorzej pozostawać w środku. Konserwatyści europejscy i reformatorzy mówią o zdrowym rozsądku w momencie, kiedy rządzą niskie wartości – i to jest pozycja, na której należy walczyć do krwi: po to, by dotrzeć do wyborcy. W sytuacji gdy jedni propagują utopię federalistyczną i mantrę „więcej Europy", która w ciągu nocy wszystko naprawi, a drudzy mobilizują sfrustrowanych i rozgniewanych do zniszczenia wszystkiego, co zostało osiągnięte w procesie integracji europejskiej, konserwatyści i reformatorzy chcą postawić akcent na tym, co przyniesie najlepsze rezultaty, i odrzucić to, czego społeczeństwo nie akceptuje i co prowadzi do konfliktów oraz podziałów.

Większości normalnych ludzi wydaje się to logiczne, ale sprawa dotyczy pozycji politycznej, która w dzisiejszej Europie jest trochę egzotyczna. Myślę, że to doskonale pokazuje, jak daleko zaszły niektóre sprawy i jak ważne są dla UE kolejne wybory, jak ważne są również dla rodziny Europejskich Konserwatystów i Reformatorów.

Poprzez wyjście Wielkiej Brytanii z Unii Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy (ECR) stracą część swojego aktualnego wpływu i będą musieli to rekompensować przyciąganiem nowych partii. Rozpad Europy Wolności i Demokracji Bezpośredniej (EFDD) Nigela Farage'a, niepewna przyszłość Europy Narodów i Wolności (ENL) Marine Le Pen i niezadowolenie pojedynczych formacji będących członkami Europejskiej Partii Ludowej otwierają możliwość rozszerzenia ECR. Grupa ta będzie musiała jednak uważać na to, kogo przyjmuje z tego środowiska, aby polityczna rodzina zachowała wiarygodność i pewne racjonalne ramy.

> Przyszłość Unii jest niepewna. Jeśli establishment europejski nie zbudzi się ze snu, w który zapadł przed 60 laty, rozpad jest bardzo możliwy. I to nie z powodu eurosceptyków

Jako największa narodowa delegacja Prawo i Sprawiedliwość będzie tu odgrywać ważną rolę. Wzmacnianie ECR i możliwe w dalszym rozrachunku słabnięcie ludowców, socjalistów i liberałów zagwarantowałoby polskiemu rządowi większy poziom zrozumienia w Parlamencie Europejskim i dlatego PiS będzie musiało się silniej zaangażować w kolejnych wyborach do parlamentu. Nie tylko w Polsce, lecz i w całej Europie, jako lider nowej polityki.

Jak ocenia pan przyszłość Unii Europejskiej?

Ta przyszłość jest niepewna. Jeśli establishment europejski nie zbudzi się ze snu, w który zapadł przed 60 laty, rozpad jest bardzo możliwy. I to nie z powodu nacjonalistów ani eurosceptyków, ale z powodu brukselskiego klosza, pod którym przez kilkadziesiąt ostatnich lat dzięki pieniądzom europejskich podatników budowano paralelną rzeczywistość.

Niedawne badania agencji YouGov pokazują, że nawet w Niemczech nie istnieje większościowe poparcie dla budowania Stanów Zjednoczonych Europy, a wśród państw członkowskich północnej Europy tę ideę odrzuca nawet 80 proc. społeczeństwa. Jasne jest więc, dokąd będzie prowadzić dalsze forsowanie integracji politycznej i dekonstrukcji państw narodowych.

Bruksela tego nie zauważa i dlatego pozostaje w pewnym transcendentnym stanie, za co rachunek płaci cała Europa. Dziesiątki tysięcy polityków, biurokratów, lobbystów, aktywistów NGO i działaczy medialnych stworzyło dla siebie mikrosystem, który nie koresponduje z większą częścią Europy. Uniwersalizm jest tym, czego pragną, bo istotne wydaje się dopasowanie się do utopii, podczas gdy państwa europejskie i kraje przyjmujące uniwersalne rozwiązania mogą tylko na tym stracić.

Jesteśmy różni, mamy różnorakie tożsamości, tradycje oraz drogi rozwoju – i to należy uszanować. Bez tego elementarnego szacunku wobec krajów europejskich oraz tego, kim były w przeszłości i kim są dzisiaj, nie da się wypracować skutecznego celu istnienia, a bez niego nie może istnieć UE.

Tłumaczenie: Barbara Andrijanić

Mate Mijić to młody chorwacki analityk polityczny; niedawno napisał felieton, w którym wyraził poparcie dla Polski w konflikcie z Unią Europejską, a tekst odbił się echem w Chorwacji, a także w polskiej opinii publicznej. Felieton pojawił się w dzienniku „Večernji List", jednym z wiodących w Chorwacji. Treść felietonu nie jest typowa dla tamtejszych mediów, w których dominuje probrukselska narracja, również w kwestii polskiej. Wydaje się jednak, że zaczyna się to zmieniać. Analityk jest też doradcą chorwackiej europoseł Ruży Tomašić, która od początku kryzysu na linii Warszawa–Bruksela wspierała Polskę. Jest także członkiem Rady Sojuszu Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (AECR), ale w Chorwacji występuje wyłącznie jako niezależny analityk.

50/1117/F

eprasa.pl dd70aa56f6

Fot. Archiwum ORLEN Team

Dakar wystartował

Wielkie oczekiwanie dobiegło końca – wystartował najtrudniejszy rajd świata, Dakar 2018. Ponad 300 załóg zameldowało się na starcie w peruwiańskiej Limie

Jedni, jak nasz najlepszy zawodnik w rajdach terenowych Jakub Przygoński, z planem stanięcia 20 stycznia w argentyńskiej Cordobie na podium, inni, jak debiutujący w Dakarze motocyklista Maciek Giemza, przede wszystkim z oczekiwaniem dojechania do mety cało i zdrowo. Obaj przedstawiciele ORLEN Team zaczęli rajd z rozwagą i w dobrym stylu.

Już na samym początku zawodnicy musieli się zmierzyć z jednej strony z trudnymi warunkami, bo trasa wiodła przez pustynne piaski, a z drugiej – z kłopotami z nawigacją i... mylnymi podpowiedziami licznie przybyłych kibiców. Przygoński z pilotem Tomem Colsoulem dojechali do mety w pierwszej dziesiątce, potwierdzając wysokie aspiracje. Najwięksi rywale są w bardzo dobrej formie: reprezentujący Peugeota Francuzi Cyril Despres, Stéphane Peterhansel i Sébastien Loeb czy Katarczyk Nasser Al-Attiyah z Toyoty od początku znajdują się w czołówce stawki. Przed startem rajdu nie obyło się bez przygód – okazało się, że skrzynia biegów w aucie Przygońskiego jest uszkodzona, ale na szczęście mechanicy szybko poradzili sobie z tym problemem.

Dla jadącego w Dakarze po raz pierwszy Maćka Giemzy, wychowanka Akademii ORLEN Team, tegoroczny rajd to przede wszystkim okazja do zbierania doświadczenia na przyszłość. Mistrz świata juniorów cross-country przygotowywał się do startu pod czujnym okiem doświadczonego Jacka Czachora, który tak oceniał szanse młodego motocyklisty: „Liczę na to, że dojedzie do mety, a jeśli skończy w okolicach 20. pozycji, będzie to jego wielki sukces w debiucie. Pamiętajmy, że jest utalentowanym, ale wciąż młodym zawodnikiem i walka o czołowe miejsca to nie jest cel na tegoroczny start".

Z wysokiego C w konkurencji motocykli zaczął ubiegłoroczny triumfator Dakaru, Brytyjczyk Sam Sunderland, podobnie jak Austriak Matthias Walker, który przed rokiem cieszył się z drugiego miejsca.

Zawodnicy muszą pokonać łącznie niemal 9 tys. km, z których połowa to odcinki specjalne wymagające wielkich umiejętności, wytrzymałości fizycznej i psychicznej odporności. Południowoamerykańskie bezdroża nie pozwolą kierowcom nawet na chwilę wytchnienia, a ekipy techniczne z pewnością będą miały pełne ręce roboty. Warto pamiętać, że Dakar to rajd będący sportem zespołowym: w dzień pracują kierowcy i piloci, nocami do boju przystępują mechanicy doprowadzający maszyny do stanu używalności. 14 etapów wiodących przez Peru, Boliwię i Argentynę to dla wszystkich biorących udział w rajdzie przygoda życia. Oby dla startujących Polaków była to przygoda zakończona sukcesem – biorąc pod uwagę skalę trudności Dakaru, nawet dojechanie do mety można rozpatrywać w tych kategoriach.

Michał Muzyczuk

Niemcy ponad wszystko?

Za naszą zachodnią granicą dzieją się rzeczy straszne, choć starannie ukrywane albo przykrywane przez tamtejsze media. One są poprawne politycznie i niepoprawne w zetknięciu z prawdą, czyli rzeczywistością. Na zachodzie naszej Unii chyba tylko media szwedzkie konkurują swoją multikulturalnością z pozostałymi członkami UE. Rządzi tym państwem skrajna lewica – Szwedzka Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza. Z czym się ta nazwa kojarzy? Z Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą, a także z panującą w PRL cenzurą.

Otóż z powodu tej cenzury obywatele nie mogą się dowiedzieć, jakich przestępstw dopuścili się imigranci, ile dokonali gwałtów, w tym zbiorowych i bestialskich. Nie wiedzą tego z mediów, ale mogą się dowiedzieć z internetu, który jeszcze tam funkcjonuje, lecz jest coraz bardziej cenzurowany. Szwedzi, a zwłaszcza Szwedki, boją się wychodzić z domu, całe dzielnice Sztokholmu i innych miast są opanowane przez uchodźców, również całkiem nielegalnych. Portowe miasto Malmö, do którego przybijają promy z Polski, jest w zasadzie w całości w rękach imigrantów. Taki los zgotowała obywatelom partia robotnicza. Do roku 2014 rządziła tam koalicja centrowo-prawicowa, ale naród wybrał inaczej i teraz tkwi w kleszczach lewacko-muzułmańskich; chciał – to ma.

Tak więc Szwedzi otworzyli drzwi swego kraju dla przybyszów z Bliskiego Wschodu i Afryki i nawet jak protestują przeciwko „ubogacaniu" ich przez obcą tzw. kulturę, robią to bez większego zapału – i tak będzie do chwili, gdy ci imigranci zaczną dominować w społecznym krajobrazie i przejmą władzę nad państwem. Na dodatek pokojowo. I zrujnują skandynawski dobrobyt, porządek i skandynawską praworządność.

Niemożliwe? Wszystko jest możliwe, również kalifat.

Czują to na sobie inne narody Unii Europejskiej i zaczynają się bronić. Oczarowane dotąd ponętnymi hasłami o obronie „wartości europejskich", czyli „róbta, co chceta", zaczynają dostrzegać inne wartości, które różnią się tym od tych „europejskich", że kierują się zasadami, bez których nie sposób być człowiekiem szanowanym przez bliźnich i przez siebie samego. Są to wartości chrześcijańskie. Jakie znaczenie będą miały w konstruowaniu nowego rządu niemieckiego, trudno przewidzieć; chadecja pod przewodnictwem kanclerz Merkel już dawno przestała być chadecją, czyli ugrupowaniem chrześcijańsko-demokratycznym, i przyjęła po zjednoczeniu Niemiec ideologię neoliberalną, co skończyło się zaproszeniem ponad miliona tzw. uchodźców ze świata muzułmańskiego z zamiarem, a w rzeczywistości z naiwną wiarą, że się zintegrują z cywilizacją europejską. Skończyło się rozczarowaniem, gdyż ci młodzi mężczyźni za nic mają wartości europejskie, a tym bardziej chrześcijańskie i, owszem, integrują się, ale z niemieckim dobrobytem, który jest głównym i podstawowym powodem ich przyjazdu na nasz kontynent.

Miał być ten napływ obcych uchronieniem Niemiec od katastrofy demograficznej. Jak na razie zamiast tego ubogacania dziećmi muzułmańskimi, przybysze ubogacają niemieckie kobiety seksualnie, gwałcąc je i molestując. Władze poszczególnych landów borykają się z dramatycznym wzrostem przestępczości wśród tych przybyszów, nawet o 10 proc. jak w Dolnej Saksonii. Brakuje policjantów i brakuje prawników, bo sądy są zalewane wnioskami o przyznanie azylu. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znikają gdzieś bez wieści młodzi imigranci, szerzy się wpływ skrajnego ugrupowania muzułmanów salafickich, głoszących w meczetach i szkołach koranicznych nienawiść do chrześcijan. I już się nie ukrywa, że imigranci nie tylko nie chcą pracować, lecz nawet nie mogą, bo większość z nich to analfabeci: bez wykształcenia, bez fachu i znajomości języka.

Komisarz ds. budżetu UE Günther Oettinger przyznał wprost: z każdego euro wypłacanego Polsce 80 centów wraca do RFN

Jak będą wyglądać Niemcy za 10, 15 lat? Czy będą wciąż ponad wszystko, najbogatsi, najsilniejsi i najmądrzejsi? I czy będą się wytrząsać nad Polską i Węgrami jako dobroczyńcy finansujący wschodnioeuropejską biedę i zacofanie? Minister spraw zagranicznych Sigmar Gabriel pozwolił sobie na słowa prawdy: Niemcy nie są płatnikiem netto, ale beneficjantem integracji europejskiej. Z kolei komisarz ds. budżetu UE Günther Oettinger przyznał wprost: z każdego euro wypłacanego Polsce 80 centów wraca do RFN.

Czasy się zmieniają, Niemcy wraz z nimi, a Polska i inne kraje naszego regionu obudziły się z tego wiernopoddańczego letargu, stawiają na niezawisłość w finansach i gospodarce. Głównie od Berlina. Niemcy natomiast tylko w jednej dziedzinie pozostaną niepokonani. W dziedzinie przyswajania Koranu.

eprasa.pl dd70aa56f6

Jak zostać nikim

Troje socjologów z Uniwersytetu Warszawskiego postanowiło zbadać mentalność wyborców PiS. Naukowcy udali się do miejscowości, której nadali nazwę Miastko i w której większość głosowała na PiS, i doszli do wniosku, że ci ludzie niczym się nie różnią od reszty populacji. Są wśród nich osoby zamożne, optymistycznie nastawione do świata i mniej zamożne, ale wszystkich jednoczy przekonanie, że w kraju wiele zmieniło się na lepsze, a Polska konsekwentnie goni kraje zachodnie. Czyli są normalni, choć nie są lemingami.

O tym niebywałym „odkryciu" naukowym dowiedziałam się z artykułu umieszczonego na portalu Newsweek.pl. Autor tekstu i współprowadzący te badania dr hab. Maciej Gdula już na samym wstępie konstatuje, choć nie bez zdziwienia, że nieprawdą jest, iż wyborcy PiS to jakaś grupa roszczeniowa, którą Kaczyński przekupił 500+ i niższym wiekiem emerytalnym. Poza tym ten elektorat jest bardzo przywiązany do demokracji, uczestnicy antyrządowych protestów niesłusznie zaś oskarżają go o przyzwolenie na wprowadzanie „dyktatury", „faszyzmu", „zamordyzmu". A te protesty utwierdzają wyborców Prawa i Sprawiedliwości w przekonaniu, że wybrani przez nich politycy robią to, co obiecali w 2015 r. Gdula zwraca uwagę na „fenomen" poparcia, a jest nim walka z elitami, które marginalizowały i pogardzały zwykłymi ludźmi. Ważne są również przywrócenie godności obywatelom i przekonanie, że Polska jest przedmurzem chrześcijaństwa.

Prawdę mówiąc, ci naukowcy nie odkryli Ameryki, oni zaledwie odkrywają własny naród, własne państwo. Maciej Gdula mógłby bez tych badań napisać esej, opierając się na własnym doświadczeniu zawodowym. Jednak on chyba jest lemingiem, zapewne pije cafè latte i poznaje Polskę na podstawie wynurzeń autorytetów lewackich. Oni nie mają nic wspólnego z obywatelami, którzy tylko pętają się im pod nogami. Nie obchodzą ich potrzeby ludzi biednych czy wykluczonych, ich obchodzą granty, które utracili, i to z tego powodu demonstrują wraz z przegranymi politykami opozycji. Gdula mógłby o nich i ich losie napisać w „Newsweeku". A tekst zatytułować: „Jak zostać nikim na własne życzenie".

Krystyna Grzybowska

polecamy
WSKLEPIKU.PL

NOWOŚĆ

NIE LECZ SIĘ REKLAMAMI LEKÓW. JAK CHEMIĘ ZASTĄPIĆ BEZPIECZNĄ EKOMEDYCYNĄ
Zbigniew T.Nowak

Sprawdzone sposoby eksperta, którego poradniki sprzedały się w setkach tysięcy egzemplarzy. Nie trzeba łykać pigułek przy każdej okazji, by ratować zdrowie i dobre samopoczucie. Niepotrzebna jest również zielarska wiedza tajemna, żeby wyjść z grypy, zahamować kłopoty żołądkowe czy oczyścić organizm po silnym zatruciu. Korzystanie z ogólnodostępnej zdrowej żywności, ziół jako dodatków do diet, czy tak modny ostatnio detoks oczyszczający organizm, nie tylko wydłużą czas naszego życia i poprawią jego jakość, ale także pomogą wyeliminować konkretne schorzenia. Nie musisz hodować roślin leczniczych we własnym ogródku ani zbierać ziół o północy, żeby odmienić swoje życie i przywrócić równowagę metaboliczną w organizmie. Książka zawiera przepisy na nalewki, napary, dodatki do prostych dań zdrowotnych – wszystkie przygotowane z łatwo dostępnych składników. Każdemu przepisowi towarzyszą odniesienia do najnowszych odkryć naukowych.

Zamówienia można również składać telefonicznie pod numerem:
22 836 54 45

AUTOPROMOCJA

eprasa.pl dd70aa56f6

Tej obietnicy nie złamiemy

Paweł Surówka, prezes Grupy PZU, o nowej strategii największego ubezpieczyciela w Europie Środkowo-Wschodniej, o danych, PZU GO i odpowiedzialności za klienta w rozmowie z Markiem Siudajem z portalu wGospodarce.pl i Maciejem Wośko, redaktorem naczelnym „Gazety Bankowej"

Panie prezesie, we wtorek przedstawili państwo NOWE PZU – strategię wykorzystującą potencjał wszystkich spółek skupionych w Grupie PZU. Zanim przejdziemy do newsów – prawdziwych niespodzianek wtorkowej prezentacji – muszę zapytać, co jest najważniejszą zmianą sygnowaną pod hasłem NOWE PZU?

Paweł Surówka: Najważniejsze – i staraliśmy się to akcentować – jest, że NOWE PZU to ubezpieczyciel, który stawia klienta w centrum. Oczywiście, każda firma mówi to samo, ale dla nas to naprawdę jest zmiana filozofii działania, to zmiana jakościowa. Dzięki tej zmianie chcemy wykorzystać siłę całej Grupy PZU – wielu spółek, takich jak samo PZU, PZU Życie, PZU Zdrowie, PZU Pomoc itd. Do tej pory te firmy działały mniej lub bardziej autonomicznie, tymczasem my chcemy stworzyć jedną grupę, która będzie się w pełni skupiać na kliencie. Dlatego też taki postawiliśmy sobie cel – że NOWE PZU to firma, której celem jest dbanie o klientów.

„Pomagamy klientom dbać o ich przyszłość" – to było hasło, które padło w trakcie prezentacji nowej strategii. Proszę wyjaśnić, o co w nim chodzi i dlaczego to, że PZU ma pomagać klientom, sprawia, że staje się czymś innym niż ubezpieczycielem w dotychczasowym rozumieniu?

Żyjemy w świecie, który się zmienia. Dlatego coraz częściej mówimy, że powinna się zmienić również rola ubezpieczyciela. Firma ubezpieczeniowa nie może być już zwykłym płatnikiem, który zajmuje się szacowaniem szkody i wypłatą pieniędzy. Obecnie bowiem możemy więcej niż kiedyś powiedzieć o ryzykach, jakie dotyczą naszego klienta, możemy je przewidywać, poza tym tych ryzyk przybywa. Siłą rzeczy ubezpieczyciel może się stać partnerem dla klienta, może mu pomagać, również w planowaniu przyszłości i unikaniu ryzyka.

Zdaliśmy sobie sprawę, że ze względu na złożoność naszej grupy jesteśmy z naszymi klientami często przez całe ich życie. Nie możemy więc ograniczać się wyłącznie do sprzedaży produktów, do namawiania naszych klientów, aby coś kupili. My musimy inwestować w naszego klienta, musimy go wspomagać – co już poniekąd robimy poprzez akcje prewencyjne i edukacyjne w szkołach. Musimy myśleć o przyszłości naszych klientów, i to nawet wtedy, kiedy oni jeszcze się nad nią nie zastanawiają – po to, aby być gotowym do rozmowy, kiedy do nas przyjdą.

Kiedy słyszę, że wielka firma ogłosiła strategię, to mam problem, aby opowiedzieć, jak to się przekłada na klienta, bo mowa z reguły o wynikach, wielkich liczbach i statystyce. Czy może pan powiedzieć, jaka korzyść ze strategii NOWEGO PZU płynie dla zwykłego klienta?

Dokument, który przygotowaliśmy, ma sporą objętość dlatego, że nie chcieliśmy, aby była to strategia przygotowana wyłącznie dla inwestorów. Owszem, mamy dla nich kilka naprawdę dobrych wiadomości, ale chcieliśmy także, aby z tej strategii wynikało, jak będziemy się zachowywać w stosunku do klientów. Żeby pomagać klientowi w ochronie tego, co jest dla niego najważniejsze, a więc życia, zdrowia, majątku i oszczędności, musimy zmienić podejście. Nie możemy mówić o naszych produktach, ale musimy rozmawiać o potrzebach klienta, o tym, jaka jest jego sytuacja. A to sprawia, że sprzedawcy muszą się stać doradcami klientów.

To właśnie dlatego chcemy, aby połowa naszych sprzedawców, którzy obecnie zajmują się oferowaniem poszczególnych linii produktowych, stała się sprzedawcami uniwersalnymi, bo dzięki temu będą mogli spojrzeć na potrzeby klienta całościowo i odpowiednio mu doradzić.

Aby to było możliwe, musimy też radykalnie uprościć nasze produkty. Obecnie jest ich tak dużo, na dodatek

eprasa.pl dd70aa56f6

w wielu odmianach, że nikt nie był w stanie ich wszystkich sprzedawać w jednym miejscu. Dlatego chcemy zmniejszyć ich liczbę do 10, mają one dotyczyć tych właśnie potrzeb, o których mówiłem, a więc ochrony majątku, życia, zdrowia i oszczędności. Chcemy, aby nasi sprzedawcy znali te produkty, umieli je dobrać do potrzeb klienta i żeby klient, bez względu na to, w jaki sposób zetknie się z Grupą PZU, zawsze odczuwał naszą gotowość do pomagania. Chcemy z klientami rozmawiać prostym językiem, czego przykładem będzie nasza nowa strona internetowa.

Nowa strona PZU to próba nie tylko skonstruowania nowego portalu do sprzedaży produktów, lecz także chęć stworzenia nowej społeczności, gromadzącej klientów grupy, którzy mogliby się na niej wymieniać informacjami, głosować na projekty społeczne. To jest odważny projekt.

Tylko my możemy coś takiego zbudować...

Dlatego że – jak powiedział pan podczas prezentacji strategii – aż 80 proc. gospodarstw domowych w Polsce ma jakąś relację z Grupą PZU?

Owszem, dlatego. To daje nam siłę, a strategia ma sprawić, abyśmy tę siłę i skalę umieli wykorzystać. Przy konstrukcji portalu Moje.pzu.pl kierowaliśmy się chęcią stworzenia miejsca, gdzie klient mógłby zobaczyć całego siebie, całą swoją sytuację życiową. Chcieliśmy, aby dzięki rzutowi oka mógł na przykład zobaczyć, czy jego dom jest ubezpieczony, jaki jest poziom tej ochrony, jak wygląda jego sytuacja zdrowotna, aby mógł się zorientować, czy dzieci zostały zaszczepione. Wbudowaliśmy w tę stronę kalendarz, którego zadaniem będzie przypominanie o tym, że konieczne jest odnowienie polisy czy też że zbliża się termin wizyty u lekarza. Z tej strony klient dowie się, jaki jest stan jego rachunku bankowego i jak wyglądają obecnie jego inwestycje.

Jednak dodaliśmy do tego także klub lojalnościowy, który wychodzi poza prosty komercyjny schemat.

Fot. Andrzej Wiktor

Fot. Andrzej Wiktor

Chcieliśmy bowiem, aby nasi klienci poczuli odpowiedzialność za dobro wspólne, bo to poprawia jakość życia, aby mogli głosować na działania, które na przykład zwiększają bezpieczeństwo. Dla nas jest to o tyle ważne, że czasem musimy przekazywać klientom również gorsze wiadomości, musimy przypominać, że czas płynie i że za dziesięć lat będzie już starszy. Klub jest dla nas takim narzędziem.

W ramach klubu klienci będą mogli głosować na działania mniej więcej w taki sposób, w jaki obecnie głosuje się na budżet obywatelski. Ale w trakcie prezentacji powiedział pan również o nowatorskim, jak to zostało nazwane, sposobie ochrony klientów PZU, którą grupa chce wprowadzić. Mam na myśli to urządzenie, którego zadaniem jest monitorowanie jazdy samochodem i które służy do ratowania kierowców ubezpieczonych w PZU.

Jak powiedziałem, chcemy wziąć odpowiedzialność za życie i zdrowie klienta. Dla nas dbałość o klienta nie polega jednak na tym, że będziemy go tylko ubezpieczać, a więc najpierw wystawimy mu polisę, a potem, kiedy zdarzy się najgorsze, wypłacimy pieniądze. Chcemy wziąć pełną odpowiedzialność za klienta, a to oznacza, że musimy również wziąć się do problemu dużej liczby ofiar śmiertelnych wypadków na drodze. W tym celu sprawdziliśmy dziesiątki różnych rozwiązań technologicznych, jakie są dostępne obecnie na rynku. Nasi konkurenci na świecie używają urządzeń, które montuje się w autach, tymczasem nam zależało na czymś, co będzie maksymalnie proste. Nasze urządzenie – PZU GO – po prostu nakleja się na szybę, jest autonomiczne i nie potrzebuje zasilania, jednakże funkcje, które ma, są w stanie odróżnić, czy auto gwałtownie przyspiesza lub hamuje, czy też doszło do wypadku. W tej drugiej sytuacji nasi pracownicy dzwonią na wskazany numer ubezpieczonego i jeśli kierowcy nic się nie stało, ale np. doszło do uszkodzenia samochodu, wysyłają po prostu PZU Pomoc. Jeśli jednak klient nie odpowiada, wówczas nasi pracownicy wysyłają na miejsce służby ratunkowe. Jesteśmy w stanie to zrobić, bo dysponujemy danymi o położeniu samochodu, znamy jego lokalizację.

Rzeczywiście sytuacja, w której można klienta uratować, oznacza zmianę sposobu komunikacji z nim, ochrona ubezpieczeniowa zmienia się we współpracę z ubezpieczycielem. Ale też PZU wpasowuje się w trendy, wydaje się bowiem, że telematyka to przyszłość zakładów ubezpieczeń.

Jako ubezpieczyciele mamy ten komfort, że nasze interesy są zbieżne z interesami naszych klientów. My, tak jak oni, chcemy, aby żyli jak najdłużej, aby byli zdrowi, aby nic im się nie działo. Teraz dzięki technologii nie musimy się ograniczać do sprzedawania ubezpieczeń ludziom, którzy są spokojni i których postawa gwarantuje, że nic złego im się nie przytrafi. Możemy teraz wpływać na to, aby uniknąć wypadków, możemy premiować dobre zachowanie, na przykład na drodze, i możemy interweniować, kiedy trzeba.

Ale od razu trzeba powiedzieć, że będziemy wykorzystywać dane z urządzeń tylko wtedy, kiedy klient będzie sobie tego życzył, i tylko w zakresie, w jakim będzie sobie życzył. Urządzenie PZU GO nigdy nie będzie służyło podwyższeniu cen ubezpieczenia, ale będzie nam pomagało wynagradzać klientów za to, że jeżdżą, jak należy.

Jednak PZU ma tych klientów bardzo dużo, mówimy o dziesiątkach milionów ludzi. Na dodatek jako ubezpieczyciel wiedzą państwo o nich bardzo dużo, w końcu jednym z elementów zawierania umowy ubezpieczeniowej jest konieczność wypełnienia dość obszernej ankiety. Pojawia się pytanie, czy nie będą państwo nadużywać tej wiedzy.

Chcemy o tym mówić z klientami otwarcie. Tak, wiemy, że klienci zastanawiają się nad tym, co my o nich wiemy. Ale jednocześnie często nie zdają sobie sprawy, że żyjemy w świecie, w którym danych jest bardzo dużo i że ogromną wiedzą na ich temat ma na przykład portal internetowy lub wyszukiwarka, z których korzystają. Grupa PZU to jednak firma, która nie może sobie pozwolić na wykorzystanie danych niezgodnie z życzeniem klienta. Korzystamy z danych tylko po to, aby klient na tym zyskał, aby oszacować, jakie ryzyka mu zagrażają i żebyśmy mogli wspólnie z nim odpowiedzieć na pytanie, jak się przed tymi zagrożeniami zabezpieczyć. Ale nie możemy sobie pozwolić na nieuczciwość. I tej obietnicy nie złamiemy.

Po III kwartale 2017 r. zysk PZU był trzykrotnie wyższy niż w analogicznym okresie roku poprzedniego. A więc ten rok zamykają państwo bardzo dobrymi wynikami. Czy wyniki, jakie zakłada strategia, to ambitny plan oparty na dobrych, twardych przesłankach czy stawianie poprzeczki tak, by wciąż walczyć o jej pokonanie?

Owszem, zawiesiliśmy poprzeczkę wysoko, zakładając, że w 2020 r. uzyskany przez nas zwrot z kapitału – czyli ROE – wyniesie 22 proc. Ale potem jeszcze ją podnieśliśmy, bo mówimy, że ostateczny rezultat będzie jeszcze lepszy.

Jesteśmy duzi, w takiej sytuacji łatwo wpaść w autoadorację, tymczasem my nie chcemy spoczywać na laurach. Chcemy wykorzystać nasz potencjał. Nie uda nam się to, jeśli będziemy funkcjonować jako zlepek spółek. Chcemy się stać grupą, w której wszystko będzie funkcjonować dla klienta.

eprasa.pl dd70aa56f6

Niedokończony projekt cyfrowej administracji

Na początku stycznia Ministerstwo Cyfryzacji ogłosiło szczegóły projektu elektronicznego dostarczania korespondencji państwowej – e-Doręczenie. Rozwiązanie ma się przełożyć na oszczędność czasu oraz pieniędzy dla obywateli i urzędów. Z projektu nie dowiadujemy się niestety, kto ma być dostawcą i operatorem systemu e-usług. Jego doprecyzowanie będzie więc jednym z zadań dla nowego rządu, w którym po odwołaniu minister Anny Streżyńskiej brak na razie nowego szefa resortu cyfryzacji

Karol Okoński, podsekretarz stanu w Ministerstwie Cyfryzacji, ogłosił 3 stycznia na Twitterze: „e-Doręczenia to horyzontalny projekt Ministerstwa Cyfryzacji – uniwersalne rozwiązanie odpowiadające na rzeczywiste potrzeby przedsiębiorców i obywateli; kluczowi partnerzy to Ministerstwo Sprawiedliwości, Ministerstwo Finansów i Ministerstwo Rozwoju, a liczymy też na otwarte podejście Poczty Polskiej". Wywołana do tablicy Poczta odpowiedziała: „Oczywiście! Jesteśmy otwarci od ponad roku. Poczta Polska Usługi Cyfrowe Envelo już umożliwia odbiór listu poleconego na skrzynkę mailową. Teraz potrzeba tylko decyzji rządu o wyborze Poczty na operatora cyfrowego".

Powyższa wymiana zdań oddaje relacje panujące między Ministerstwem Cyfryzacji a narodowym operatorem pocztowym. Na poziomie deklaracji współpraca układała się wzorcowo, ale nie przekładała się na konkretne decyzje. Przykładowo w maju 2016 r. minister Anna Streżyńska zapewniała, że platforma Envelo ma szansę stać się sercem serwisu Obywatel.gov.pl – skupiającym rozwiązania cyfrowe dla obywateli. Trzy miesiące później minister cyfryzacji oraz minister infrastruktury i budownictwa podpisali porozumienie z Pocztą Polską i jej spółką Poczta Polska Usługi Cyfrowe (Envelo) o strategicznej współpracy w obszarze cyfryzacji państwa. Umowa dotyczyła integracji systemów informatycznych administracji, z których korzystają obywatele, z pocztową platformą Envelo.

W połowie grudnia 2017 r. na stronie Ministerstwa Cyfryzacji opublikowano założenia projektu e-Doręczenie, wśród których nie znalazła się jednak informacja, jaki podmiot będzie dostawcą usługi, nie ma też kryteriów pozwalających na jego wyłonienie. Z jakichś powodów minister cyfryzacji przed opuszczeniem urzędu nie nadała ostatecznego kształtu projektowi systemu e-administracji. Nie jest tajemnicą, że Anna Streżyńska preferowała współpracę z komercyjnymi partnerami, licząc na ich doświadczenie biznesowe. Nie brała natomiast pod uwagę, że w kwestii administrowania milionami dokumentów zawierających wrażliwe informacje kluczowe jest bezpieczeństwo i kontrola państwa nad systemem.

Tymczasem Poczta Polska wydaje się naturalnym kandydatem na koordynatora systemu e-Doręczenie. Jako spółka skarbu państwa pozostaje pod całkowitą kontrolą rządu. Gwarantuje administracji większe bezpieczeństwo i przewidywalność, może też integrować działania wielu instytucji w dziedzinie cyberbezpieczeństwa.

Poczta jest przygotowana technologicznie do obsługi systemu e-Doręczenie, dysponuje platformą Envelo, umożliwiającą obsługę cyfrowej korespondencji 40 mln obywateli i dociera do 100 proc. urzędów i przedsiębiorstw. Współtworzenie e-administracji byłoby dla Poczty impulsem rozwojowym. Wzrost przychodów z nowego obszaru umożliwiłby zwiększenie zatrudnienia, podniesienie wynagrodzeń oraz inwestycje w nowoczesne technologie. Poprawiłaby się też ogólna jakość usług pocztowych i skróciły kolejki w placówkach, dzięki zmniejszeniu wolumenu poczty tradycyjnej i uzupełnieniu braków kadrowych.

Dla wielu państw naturalnym sposobem realizacji postanowień eIDAS (rozporządzenie Parlamentu Europejskiego określające zasady poufności korespondencji cyfrowej) jest powierzenie jego wdrożenia pocztom narodowym. Z raportu Instytutu Pocztowego „Cyfryzacja usług publicznych w Europie – rola operatorów pocztowych" wynika, że modelem dla Polski mogą być rozwiązania z Czech, Francji czy Danii, gdzie cyfrowymi skrzynkami zarządzają poczty państwowe. W Polsce kształt systemu cyfrowej korespondencji publicznej czeka na decyzję polityczną. Miejmy nadzieję, że okaże się ona trafna i szybka, ponieważ co roku tracimy ponad 100 mln zł na drukowanie i archiwizowanie papierowej dokumentacji.

MW

eprasa.pl dd70aa56f6

Złoty to dobra waluta

Polski złoty w 2017 r. okazał się jedną z najmocniej zyskujących na wartości walut świata. Przyjęcie euro to zły pomysł

JANUSZ SZEWCZAK

Wejście pod przymusem przez nowe kraje do strefy euro może dziś zagrozić nie tylko samej integracji europejskiej, lecz również polskiej gospodarce, jej konkurencyjności i naszemu coraz wyższemu poziomowi życia, bo euro bez wątpienia oznacza – drożej. Najwyraźniej więc neoliberalne środowiska ekonomiczne w Polsce pisząc swój list otwarty do premiera Mateusza Morawieckiego o szybkim przyjęciu euro, nic nie zrozumiały z aktualnych europejskich i światowych trendów. Debatowanie dziś o wyższości euro nad polskim złotym to jak dyskusja nad wyższością świąt Bożego Narodzenia nad świętami Wielkiejnocy. Ci, którzy dziś życzą Polakom szybkiego wejścia do strefy euro, co jest technicznie i zwłaszcza prawnie, konstytucyjnie nierealne, albo źle życzą Polsce, a dobrze Niemcom, albo też podchodzą do tej kwestii w sposób czysto ideologiczny, polityczny, a nie praktyczny.

Choć niewątpliwie należy cenić wielką wiedzę i kompetencje prof. Grzegorza Kołodki, to trudno zgodzić się z nim, że przyjęcie euro przez Polskę ma ekonomiczny sens, i to z wielu powodów, oraz że „umożliwiłoby to wzrost dochodów ludności". Niestety, nie będziemy zarabiać w euro tyle, ile dziś zarabiamy w złotych i nie tylko o kwestię korzystnego przelicznika kursu tu chodzi. Ma zaś całkowitą rację prof. Kołodko, gdy stwierdza, że „nie wchodziłbym do euro wbrew narodowi". A naród nie chce euro w Polsce, i to ewidentnie. Nie tylko Polacy zachowali racjonalność i poczucie bezpieczeństwa ekonomicznego, lecz również Szwedzi, Duńczycy, Norwegowie, Islandczycy, Brytyjczycy czy Czesi. Najsilniejsza dziś partia polityczna we Włoszech – Ruch Pięciu Gwiazd – która może wygrać marcowe wybory, chce opuszczenia eurostrefy przez Włochy, a to zwiastuje nowe kłopoty dla wspólnej waluty. Mają niestety całkowitą rację w kwestii euro tacy ekonomiści i analitycy, jak Cezary Mech, Stefan Kawalec czy Ernest Pytlarczyk, którzy twierdzą, że waluta euro zagraża dziś samej integracji europejskiej, wspólnemu rynkowi, a także klasie średniej. Podobnie uważają Paul Krugman, Joseph Stiglitz w swej książce „Euro zagraża przyszłości Europy", Thilo Sarrazin w „Europa nie potrzebuje euro". Udowadniają oni, że euro to projekt wyłącznie polityczny, a nie gospodarczy, źle funkcjonujący, korzystny głównie dla Niemiec, nieefektywny, kosztowny, mało elastyczny, a przede wszystkim niesłużący zwykłym obywatelom, coraz bardziej biurokratyczny i niedemokratyczny.

Wbrew pozorom euro zwiększyło nierówności w UE, a nie je zniwelowało. Stopniowo staje się wręcz zabójcze dla konkurencyjności mniejszych i słabszych krajów, zwłaszcza południa Europy, bardzo zaś korzystne dla oligarchów, eurobiurokratów i wielkich koncernów. Projekt euro zmusza wyłącznie do zaciskania pasa, kolejnych cięć, zwiększa bezrobocie, a nie zmniejsza – zwłaszcza wśród ludzi młodych. I co najgorsze, dramatycznie zwiększa zadłużenie, zarówno to publiczne, jak i prywatne. Dziś to już wręcz gigantyczna pułapka zadłużeniowa – istna studnia bez dna. Włochy, podobnie jak Grecja, wchodząc do strefy euro, miały nieco ponad 60 proc. długu do swego PKB, dziś to już 130 proc., a w Grecji blisko 180 proc. we Francji – 100 proc. relacji długu do PKB, nawet w Niemczech – blisko 80 proc., czyli kraju tego dzisiaj nie przyjęto by do strefy euro, bo nie spełnia jednego z kryteriów z Maastricht (60 proc. długu do PKB). Choćby po wzroście PKB widać, że kraje strefy euro rozwijają się znacznie wolniej niż te, które pozostały poza nią, np. Polska (4,5 proc.), Rumunia (8 proc.).

Znany i ceniony analityk finansowy Cezary Mech mówiąc o powodach presji na przyjęcie euro nad Wisłą, wskazuje również na zagranicznych inwestorów. Mają oni w Polsce bardzo dużą pozycję majątkową, wartości ok. 2 bln zł, i nie chcą mieć ryzyka kursowego, ponosić strat. Chcą zabezpieczyć wyłącznie własne korzyści, i to naszym kosztem, mając tu, nad Wisłą, swoich heroldów tej „dobrej nowiny", opowiadających bajki o pozytywnych skutkach przyjęcia euro.

Ta rzekomo czyniąca cuda waluta jest dziś dodrukowywana w tempie ok. 60 mld euro na miesiąc, rocznie zaś pula emisji wspólnej waluty przez EBC to już ponad 1 bln euro. Co ciekawe, niemiecki eksport w skali roku to aż 1,3 bln euro, a nadwyżka handlowa Niemiec to już ponad 250 mld euro. Czyli żeby w Grecji, Portugalii czy Hiszpanii, a nawet Francji, które mają euro, mogło być lepiej, najpierw w Niemczech, które też mają euro, musiałoby być gorzej, a na to niemieccy politycy się nie godzą. Gdyby więc nie prasy drukarskie EBC, projekt euro już dawno by się załamał, zwłaszcza po kryzysie w 2008 r., i Niemcy nie miałyby swych obecnych kokosów finansowych czy eksportowych. W ostatnich latach kurs euro do dolara amerykańskiego systematycznie spadał do najniższego poziomu od 14 lat, a dziś wojna walutowa i gospodarcza między USA i UE może wybuchnąć ze zdwojoną siłą. Włoski i francuski dług publiczny, w dużej mierze również dzięki

eprasa.pl dd70aa56f6

euro, wzrósł już do astronomicznej kwoty ok. 4,5 bln euro, z Niemcami do 6,5 bln euro, a tzw. złe i zagrożone kredyty w bankach strefy euro to blisko 1,3 bln euro. Jak dotychczas EBC skupił już obligacje rządowe krajów eurostrefy za ponad 1 bln euro i nadal je skupuje.

Co się stanie z euro, gdy pęknie bańka spekulacyjna na euroobligacjach, gdy w górę pójdą stopy procentowe, poszybują CDS-y, SWAP-y, CIRS-y, kto kupi wówczas te papiery, czy wtedy euro się wzmocni, czy osłabi, czy w ogóle przetrwa? Czy ci potencjalni nowi członkowie strefy euro są już zbyt konkurencyjni, zbytnio doganiają, czy są potrzebni tylko po to, by ratować i dokładać się do Grecji, której nie da się uratować, jeśli pozostanie przy euro? Czy to my, ci nowi, mają się dorzucić do spłaty astronomicznych długów Włoch i Francji? Czy po to właśnie mamy przyjąć euro w Polsce? Co by się stało z polskimi długiem, cenami, konkurencyjnością, kosztami i płacami, a nawet naszymi niewielkimi rezerwami złota (103 tony) – przecież poszłyby z NBP pod kuratelę EBC, a tak naprawdę pod pełną kontrolę Niemiec. To Słowacy i Litwini, którzy mają przecież euro, jeżdżą dziś do Polski po ziemniaki, chleb, mięso czy masło, a nie odwrotnie – my do nich.

Na ewentualnym przyjęciu euro przez Polskę na dzień dobry z tytułu różnic kursowych NBP, banki komercyjne oraz kantory mogłyby stracić 10–20 mld zł, na droższym i mniej opłacalnym eksporcie stracilibyśmy kolejne 20–30 mld zł. Nie moglibyśmy też kreować własnej polityki pieniężnej, kursu walutowego, z pewnością wzrósłby jeszcze nasz spory już dług publiczny – dziś wynoszący około 1 bln zł. Premier Morawiecki sensownie zadeklarował, że możemy rozważyć przyjęcie euro za 10–20 lat. Rozważyć, czyli się zastanowić. Z kolei czescy politycy mówią, że euro równie dobrze mogą przyjąć nawet za 133 lata. Pytanie tylko, czy euro będzie wtedy jeszcze istnieć. Po co wprowadzać kolejne, drakońskie cięcia, oszczędności, i to pospiesznie, by wejść do ERM II, a jednocześnie zaszkodzić własnym obywatelom i krajowej przedsiębiorczości, zwłaszcza tej małej i średniej? Jak utrzymać dopuszczalne odchylenia kursu walutowego w granicach 15 proc., gdy trwają wojny walutowe, rozkwita protekcjonizm, a polityka carry trade święci triumfy? Przy tak zaprojektowanym euro biedniejsi nie mają żadnych szans dogonić tych bogatszych, a my chcemy nie tylko gonić, lecz wręcz dogonić i idzie nam coraz lepiej. Jak w demokratycznych systemach zmusić własnych obywateli, by mieli gorzej, drożej i jeszcze trudniej?

Jeden z autorów listu otwartego w sprawie euro, były prezes NBP Marek Belka, jeszcze nie tak dawno, bo w 2016 r., mówił: „Euro jest jedną z przyczyn kryzysu w UE, wspólna waluta musi zejść na drugi plan i jeśli chodzi o euro, to jesteśmy we właściwym miejscu, tu gdzie jesteśmy". Ma więc całkowitą rację zarówno Jarosław Kaczyński, gdy mówi, że „o euro możemy zacząć myśleć, gdy będziemy mieli w Polsce 85 proc. niemieckiego PKB na głowę", jak i Mateusz Morawiecki, gdy stwierdza: „Nie uważam, żeby strefa euro była optymalnym obszarem walutowym – nie bierzemy teraz tego tematu pod uwagę". Nie warto więc dziś w sprawie euro kruszyć kopii – pożyjemy, zobaczymy.

Nie tylko Warszawa

Główny Inspektorat Transportu Drogowego zatrudni dodatkowe 100 osób w swoim wydziale zamiejscowym w Białej Podlaskiej. O ulokowanie placówki w tym mieście zabiegali m.in. parlamentarzyści PiS – senator Grzegorz Bierecki i poseł Janusz Szewczak. Tak w praktyce realizowany jest postulat dekoncentracji administracji państwowej, a także przejścia na zrównoważony model rozwoju kraju.

Placówka GITD została uruchomiona jesienią ub.r. Do zadań 20 pracowników zatrudnionych w pierwszym rzucie należy m.in. prowadzenie postępowań administracyjnych dotyczących naruszenia obowiązku uiszczenia opłaty elektronicznej, przygotowywanie projektów decyzji administracyjnych i czynności wyjaśniających w sprawach o wykroczenia. W tym roku, jak poinformował szef GITD Alvin Gajadhur, ten zespół się powiększy o kolejne 100 osób.

Te nowe miejsca pracy to efekt poprawki, o którą zabiegał w Sejmie poseł Janusz Szewczak.

– O tym, jak ogromny jest w naszym regionie głód pracy, najlepiej świadczy fakt, że na pierwsze 20 miejsc zgłosiło się ponad 350 osób, z których 90 proc. legitymowało się wyższym wykształceniem – informuje senator Grzegorz Bierecki.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 3 stycznia 2018 roku zmarł w Warszawie

ŚP

PPŁK BOLESŁAW MIECZYSŁAW HOZAKOWSKI

PS. „POMORSKI", „MIETEK"

urodzony 13 maja 1923 roku w Toruniu.
Absolwent warszawskiej Szkoły Głównej Handlowej
oraz Wydziału Prawno-Ekonomicznego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Żołnierz Armii Krajowej w Warszawskim Okręgu AK.
Od września 1942 roku służył w Kompanii „C-25",
a następnie w Kompanii „O-1" Batalionu „Olza" Pułku AK „Baszta".
W Powstaniu Warszawskim walczył na Mokotowie jako kapral podchorąży
w składzie Kompanii „O-1".

Członek Rady Naczelnej oraz Wiceprezes Zarządu Głównego
Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej,
wybitnie zasłużony w pracy na rzecz upamiętniania etosu Armii Krajowej.

Uhonorowany Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą oraz Krzyżem Komandorskim
Orderu Odrodzenia Polski, Warszawskim Krzyżem Powstańczym, Krzyżem Armii
Krajowej i wieloma innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

19/0118/F

eprasa.pl dd70aa56f6

Przyszłość Została Uwolniona

9 stycznia 2018 r. miał być przełomowym dniem w historii branży ubezpieczeniowej w Polsce. To właśnie tego dnia PZU zapowiedział prezentację swojej nowej strategii, która do 2020 r. ma całkowicie odmienić oblicze tego największego polskiego ubezpieczyciela i wprowadzić go na najwyższy poziom technologicznej innowacyjności

Po prezentacji konkretnych założeń planów Grupy PZU, którą przeprowadzono według najbardziej widowiskowych amerykańskich wzorców, można stwierdzić, że oczekiwania te zostały zaspokojone z nawiązką. Grupa PZU w ciągu najbliższych dwóch lat stanie się jednym z liderów tzw. rewolucji cyfrowej 4.0 w naszym kraju, dzięki któremu Polacy zyskają dostęp do najnowocześniejszych rozwiązań w ramach ubezpieczeń, ochrony zdrowia i życia. 9 stycznia rzeczywiście okazał się dniem przełomowym.

Do tej pory kontakt klienta z ubezpieczycielem ograniczał się zazwyczaj tylko do dwóch sytuacji – gdy klient podpisywał polisę i gdy konieczna była likwidacja szkody. PZU chce to zmienić poprzez stworzenie nowego portalu – Moje.pzu.pl, który będzie integrował usługi Grupy PZU w jednym miejscu i pozwoli klientom m.in. kontrolować posiadaną ochronę ubezpieczeniową, kupić nowe polisy, zlikwidować szkodę, zarządzać opieką zdrowotną, w tym terminami wizyt lekarskich, a także inwestować oraz korzystać z usług bankowych.

Podstawowymi narzędziami wykorzystywanymi do obsługi klienta będą sztuczna inteligencja i integracja baz danych. Wykorzystanie sztucznej inteligencji obrazuje przykład nowej platformy do wstępnego wywiadu medycznego z klientem, nazwanej Symptom Checker. To opracowany wspólnie z polskim start-upem technologicznym pierwszy w naszym kraju system dostępny z poziomu portalu, aplikacji mobilnej lub infolinii, który opiera się na schemacie wywiadu lekarskiego. Gdy opiszemy nasze dolegliwości, platforma wygeneruje dalsze szczegółowe pytania, a następnie poda wstępne rozpoznanie lub wskaże konieczne dalsze kroki, które w zależności od wskazań mogą być prowadzone tradycyjnie lub zdalnie. Kolejnym etapem może być połączenie wideo z dyżurującym lekarzem i dalsza diagnostyka prowadzona poprzez narzędzia dostarczane przez PZU. Zastosowanie tej technologii pozwoli połączyć to, na czym pacjentowi szukającemu pomocy zależy najbardziej, a zatem jakościową wiedzę medyczną, szybkość rozpoznania problemu zdrowotnego i wygodną formę obsługi.

W tym miejscu warto podkreślić, że stale rozbudowywana sieć placówek medycznych PZU już dziś składa się

Zdjęcia: Radek Zawadzki | 20/0118/F

eprasa.pl dd70aa56f6

z 2 tys. punktów w 500 polskich miastach. Są to placówki współpracujące z Grupą PZU, które zostaną dołączone do systemu, a jednocześnie Grupa posiada już ponad 50 placówek własnych PZU Zdrowie, m.in. w Warszawie, Gdańsku, Katowicach, Poznaniu, Płocku, Radomiu i Kielcach.

PZU już dziś gwarantuje, że w przypadku lekarza podstawowej opieki medycznej wizyta zostanie zorganizowana w ciągu maksymalnie dwóch dni roboczych, a do lekarzy specjalistów w ciągu maksymalnie pięciu dni roboczych.

Rewolucja technologiczna obejmie także sferę ubezpieczeń komunikacyjnych. PZU GO to nazwa nowego rozwiązania, opartego na najnowszych zdobyczach technologicznych w zakresie telematyki (rozwiązań telekomunikacyjnych z automatycznym sterowaniem), które PZU zaoferuje swoim klientom jako pierwszy ubezpieczyciel w Europie! Najważniejszym elementem systemu będzie naklejka umieszczana na szybie pojazdu, kryjąca w sobie niewielki moduł elektroniczny zwany beaconem. To inteligentne urządzenie powiadomi służby w razie kolizji lub wypadku, które skontaktują się z kierowcą albo ściągną na miejsce zdarzenia ratowników najszybciej, jak to możliwe, gdy kierowca nie będzie w stanie potwierdzić, że potrzebuje pomocy. Dodatkowo to urządzenie będzie, oczywiście za zgodą kierowcy, rejestrować nasz sposób jazdy na co dzień, co pozwoli PZU na oferowanie indywidualnych korzystnych cen polis dla kierowców jeżdżących w sposób zgodny z przepisami. W tym miejscu warto od razu podkreślić, że umieszczenie beacona na szybie będzie dowolne, a kierowcy, którym zdarza się np. przekraczać dozwoloną prędkość, nie będą „karani" podnoszeniem stawek ubezpieczeniowych. Na systemie PZU GO nie można więc stracić, tylko zyskać, i to podwójnie: cenowo i zwiększając swoje szanse na szybką pomoc w razie wypadku.

Nowa strategia Grupy PZU zawiera bardzo ambitne cele. W porównaniu z ostatnim zamkniętym rokiem spółka ma ambicję podwyższenia rentowności własnego kapitału (ROE) Grupy o ponad 7 proc., do ponad 22 proc. w roku 2020. Liczy również na pozyskanie 1 mld zł składki ubezpieczeniowej ze współpracy z bankami, 1 mln nowych klientów dla banków wchodzących w skład Grupy (Pekao SA oraz Alior) i zwiększenie przychodów w segmencie „zdrowie" do 1 mld zł w 2020 r. Poprzez konsolidację rynku zarządzania aktywami i pomnożenie oszczędności klientów prognozowane jest zwiększenie ponaddwukrotnie portfela, jakim dysponuje Grupa PZU, i osiągnięcie 65 mld zł w zarządzaniu.

Imponująca prezentacja strategii PZU pokazała, że ten ambitny cel jest realny do osiągnięcia dzięki zaangażowaniu technologii. PZU idealnie zdefiniował wyzwania, przed jakimi stoją największe instytucje finansowe pod koniec drugiej dekady XXI w., i dowiódł, że potrafi na nie odpowiedzieć.

eprasa.pl dd70aa56f6

Gospodarka słucha banków centralnych

Amerykańska Rezerwa Federalna i Europejski Bank Centralny są obecnie ważnymi aktorami na rynku finansowym. Publiczne wystąpienia szefowej Fed Janet Yellen oraz kierującego EBC Mario Draghiego przyciągają uwagę, a zapowiadane przez nich działania mogą mieć znaczny wpływ na rynki finansowe na całym świecie. Nie bez przesady można stwierdzić, że również na większość gospodarek, w tym gospodarkę Polski

Bank centralny to instytucja, której jednym z najważniejszych zadań jest emisja legalnego środka płatniczego na terenie danego kraju. Bank centralny prowadzi politykę pieniężną, ustalając poziom stóp procentowych (czyli koszt pieniądza), wpływając pośrednio na wielkość kredytów i depozytów i na rynki kapitałowe, a przez to na realną gospodarkę. Bank centralny jest więc, obok rządu, jedną z najważniejszych instytucji tworzących politykę gospodarczą danego kraju.

Jednak banki centralne głównych gospodarek rozwiniętych (Stanów Zjednoczonych, strefy euro, Japonii i Wielkiej Brytanii) mają wpływ na ceny aktywów i kursy walutowe również w innych krajach, oddalonych czasami o tysiące kilometrów.

NIESTANDARDOWE NARZĘDZIA STAŁY SIĘ STANDARDEM

Cofnijmy się kilka lat. W połowie lat 2000. pojawiły się pierwsze sygnały wskazujące na możliwość pogorszenia sytuacji finansowej amerykańskich banków zaangażowanych pośrednio na słabnącym powoli amerykańskim rynku nieruchomości. Jednak gdy cios nadszedł w 2008 r., był znacznie silniejszy, niż oczekiwano – duże amerykańskie banki stanęły na krawędzi bankructwa lub nawet, jak w przypadku Lehman Brothers, były zmuszone bankructwo ogłosić. Pociągnęło to za sobą spadek cen akcji i innych aktywów finansowych, radykalne pogorszenie nastrojów konsumentów i przedsiębiorstw, załamanie zaufania do banków i partnerów gospodarczych, silne obniżenie obrotów w handlu światowym, inwestycji, a w niektórych krajach – nawet konsumpcji. Pojawiło się ryzyko deflacji, która mogłaby się przyczynić do wydłużenia i pogłębienia recesji. Wielu ekonomistów na świecie zaczęło się obawiać powtórzenia Wielkiego Kryzysu z lat 1929–1933.

W konsekwencji banki centralne zaczęły używać niekonwencjonalnych narzędzi polityki pieniężnej. W głównych gospodarkach rozwiniętych stopy procentowe zostały obniżone niemal do zera, przez co dalsze łagodzenie polityki pieniężnej tą drogą było bardzo utrudnione. W związku z tym niektóre główne banki centralne – amerykańska Rezerwa Federalna i Bank Anglii – w ramach tzw. luzowania ilościowego rozpoczęły skupowanie – w zamian za wyemitowany przez nie pieniądz –

eprasa.pl dd70aa56f6

głównie obligacji skarbowych. W kolejnych latach programy skupu aktywów rozpoczęły inne banki centralne gospodarek rozwiniętych – Bank Japonii i Europejski Bank Centralny, a nawet Bank Szwecji (Riksbank).

Jak działa luzowanie ilościowe? Najprościej – skupując obligacje skarbowe, bank centralny przyczynia się do wzrostu ich cen oraz obniżenia ich rentowności (oprocentowania). Ponadto „zwalnia" on miejsce na rynku dla innych aktywów, na przykład obligacji korporacyjnych o niższym ratingu, akcji czy – co istotne dla rynków wschodzących, w tym Polski – ich obligacji skarbowych. W konsekwencji rosną ceny również tych aktywów, co w przypadku obligacji oznacza spadek ich rentowności. Tym samym dzięki luzowaniu ilościowemu koszty obsługi długu stały się niższe, również w Polsce. Luzowanie ilościowe sprzyjając napływowi kapitału do gospodarek wschodzących, oddziałuje również w kierunku umocnienia ich walut, w tym złotego. Efekt ten dotyczy także innych małych otwartych gospodarek. Jednocześnie niższe stopy procentowe w gospodarce, której bank centralny stosuje luzowanie ilościowe, sprzyjają osłabieniu jej waluty, a tym samym wzrostowi konkurencyjności i wyższej inflacji.

Luzowanie ilościowe oddziaływało zatem w kierunku słabszego kursu walut głównych krajów rozwiniętych, a silniejszego kursu małych otwartych gospodarek, a tym samym utraty konkurencyjności cenowej oraz deflacji w tych ostatnich. W reakcji na to banki centralne małych otwartych gospodarek próbowały przeciwdziałać nadmiernemu umocnieniu się kursu. Najpierw w 2011 r. Bank Szwajcarii (SNB)

Europejski Bank Centralny, Frankfurt nad Menem, i jego prezes Mario Draghi

Fot. Markus Wissmann/Shutterstock.com
Fot. Toan Pentile/Shutterstock.com

eprasa.pl do/ebaca

korzystając z wcześniejszych doświadczeń z lat 70., zobowiązał się do interweniowania na rynku walutowym w celu niedopuszczenia do wzmocnienia się kursu poniżej 1,20 EUR/CHF. Decyzja ta, jak i późniejsze wycofanie się z niej w 2015 r., miała znaczenie nie tylko dla Szwajcarii, lecz również, w pewnym stopniu, dla podmiotów zadłużonych we franku szwajcarskim w innych krajach, w tym w Polsce. W 2013 r. w ślady SNB poszedł Bank Czech (CNB), który również zobowiązał się do niedopuszczania do umocnienia się korony poniżej pewnego poziomu w relacji do euro. Zobowiązanie to zniesiono dopiero w 2017 r. Do interweniowania na rynku walutowym zobowiązał się również Riksbank.

Inną reakcją banków centralnych na luzowanie ilościowe było obniżenie niektórych z ich stóp procentowych poniżej zera, co mogło m.in. zniechęcać inwestorów do lokowania środków w danym kraju i tym samym oddziaływać w kierunku osłabienia kursu walutowego. Na taki krok zdecydowały się Bank Danii (DNB) i Riksbank (dwukrotnie), a także SNB. W ostatnim przypadku pomogło to z kolei w zmniejszeniu wysokości rat kredytów frankowych, zwłaszcza w Polsce, gdzie ich oprocentowanie zmieniało się w czasie, w zależności od stóp procentowych w Szwajcarii. Również EBC i Bank Japonii w ramach niestandardowych narzędzi obniżyły niektóre ze swoich stóp procentowych poniżej zera. Na taki krok zdecydował się również jeden z banków regionu Europy Środkowo-Wschodniej, Bank Węgier (MNB).

Choć w ostatnim okresie banki centralne zaczęły się stopniowo wycofywać z niestandardowych działań, to takie narzędzia wciąż są w grze.

NIEKONWENCJONALNE DZIAŁANIA BANKÓW CENTRALNYCH MOGĄ WSPIERAĆ WZROST CEN AKCJI I OBLIGACJI NA ŚWIECIE

Jak już wspomnieliśmy, wynikiem stosowania przez banki centralne nietypowych narzędzi polityki pieniężnej jest zwiększenie ilości pieniądza na świecie. Ale nie tylko to. Skupując ob-

Budynek amerykańskiej Rezerwy Federalnej w Waszyngtonie

prasa.pl dd70aa56f6

ligacje skarbowe i korporacyjne, banki centralne przyczyniły się do spadku rentowności tych papierów. Ponadto w związku z tymi działaniami kapitał prywatny kierował się m.in. na rynek akcji. Obecnie trwa druga najdłuższa hossa giełdowa w powojennej historii, a indeksy zmienności akcji są na historycznie niskich poziomach.

Wpływ niestandardowej działalności banków centralnych na rynek akcji świetnie widać na rynku japońskim. Tamtejszy bank centralny od końca 2012 r. kupuje krajowe akcje oraz jednostki funduszy ETF, które z kolei kupują papiery firm z Kraju Kwitnącej Wiśni. I od końca 2012 r. trwa hossa na japońskim rynku akcji. Wartość indeksu giełdowego Nikkei rośnie w podobnym tempie jak bilans Banku Japonii. Podobnie w Europie, gdzie ceny obligacji europejskich silnie wzrosły. Od 27 grudnia 2010 r. ceny obligacji korporacyjnych w Europie wzrosły o 34 proc. Ten wzrost również idzie wyraźnie w parze z niestandardowymi akcjami EBC na rynku pieniężnym.

> Największe banki centralne świata mają duży wpływ na rynek finansowy, także polski

Janet Yellen, przewodnicząca Rady Gubernatorów Systemu Rezerwy Federalnej Stanów Zjednoczonych

Fot. Shutterstock, Britt Leckman/Federal Reserve/Official Government Work

CHOĆ ROLA BANKU CHIN JEST WCIĄŻ NIEZNACZNA, TO ROŚNIE

W ostatniej dekadzie wzrosła rola gospodarcza Chin. Państwo Środka stało się drugą, po USA, największą gospodarką globu i jedną z najważniejszych (obok europejskiej). To naturalne, że równocześnie rośnie rola tamtejszego banku centralnego: Ludowego Banku Chin (PBoC).

Wyrazem uznania dla rozwoju Chin oraz dowodem wzrostu znaczenia tamtejszego rynku i waluty jest przyjęcie juana do grona głównych walut rezerwowych świata, które nastąpiło w październiku 2016 r. To sprawia, że coraz częściej uczestnicy rynku finansowego zwracają uwagę nie tylko na poczynania władz Fed czy EBC, lecz także PBoC.

GDY WALL STREET MA KATAR, INNE GIEŁDY CHORUJĄ

Oczywiście, polityka najpotężniejszych banków centralnych – czyli Fed i EBC – ma wpływ na to, co dzieje się na rynkach wschodzących, czyli także w Polsce. Gdy Wall Street ma katar, inne giełdy chorują – to nadal aktualne stwierdzenie, dotyczące nie tylko rynku akcji, lecz również obligacji, a także sfery realnej gospodarki.

Jednak wpływ luźnej polityki pieniężnej światowych banków centralnych na polską giełdę nie jest tak duży. Główny indeks warszawskiego parkietu, czyli WIG, wciąż nie przebił się przez historyczne maksima z 2007 r., podczas gdy niemal wszystkie indeksy największych giełd oraz parkietów z regionu Europy Środkowo-Wschodniej już dawno to uczyniły. Pojawia się pytanie, czy nie ma ryzyka odwrócenia tej sytuacji i spadku cen aktywów na rynkach światowych, ze wszystkimi negatywnymi konsekwencjami.

Choć banki centralne głównych gospodarek – poprzez stosowanie narzędzi niestandardowych – najprawdopodobniej uratowały gospodarkę światową przed kolejnym wielkim kryzysem, to jednocześnie mogły w pewnym stopniu przyczynić się do wzrostu cen obligacji i akcji na świecie. W ostatnich latach główne banki centralne zmniejszały skalę niestandardowych działań. Pierwszy zamiar zmniejszenia skali niestandardowych działań ogłosił Fed, już w I połowie 2013 r. W reakcji na te zapowiedzi ceny obligacji i, w mniejszym stopniu, akcji spadły. Osłabiły się również waluty wielu krajów wschodzących, w tym złoty.

Decyzje, a nawet zapowiadające je oświadczenia przedstawicieli banków centralnych, mogą mieć (i często mają) znaczący wpływ nie tylko na kursy walut, lecz również na wycenę akcji czy obligacji. To dlatego media finansowe z całego świata dokładnie analizują każdą wypowiedź szefowej Fed Janet Yellen. To dlatego wszystkie szanujące się ekonomiczne kanały informacyjne przeprowadzają relacje na żywo z wystąpień Mario Draghiego, szefa EBC. To dlatego – także na polskich portalach ekonomicznych – prześwietlane jest każde zdanie tych bankierów centralnych.

Paweł Sowiński

eprasa.pl dd70aa56f6

Wielki finisz Stocha

CEZARY KOWALSKI

Robert Lewandowski nie wygrał w najbardziej prestiżowym plebiscycie na Sportowca Roku w Polsce i to jest największa sensacja sportowa tej zimy. Oto nasz piłkarski bohater narodowy, który niesie na swoich barkach praktycznie cały polski futbol i głównie dzięki jego golom po dwunastu latach zagramy na mistrzostwach świata, został zepchnięty z pierwszego miejsca, które zdobył za 2016 rok.

Mimo że niemal do samego końca prowadził, i to z dość dużą przewagą, to dosłownie półtorej godziny przed zamknięciem SMS-owego głosowania lawinowo przybywało głosów oddawanych na Kamila Stocha. Nasz fenomenalny skoczek narciarski właśnie wygrywał czwarty z rzędu konkurs Turnieju Czterech Skoczni.

Kiedy tuż przed rozpoczęciem Balu Mistrzów Sportu i ostatecznym zliczeniu głosów Kamil wylądował po drugim skoku – daleko za zieloną linią – trybuny pełne biało-czerwonych flag zagłuszyły austriackiego spikera w Bischofshofen. Stoch dojechał do końca zeskoku, wyhamował i w geście radości runął na plecy. Podbiegli do niego koledzy z drużyny i nie czekając na wyniki, rzucili się z gratulacjami. Także legendarny Adam Małysz, jedyny przed Kamilem polski triumfator Turnieju Czterech Skoczni, którego Kamil już zdecydowanie bije wynikami.

Polacy wiwatowali przed telewizorami (skoki to chyba jedyna dyscyplina sportu w Polsce, których wynikami pasjonują się nawet gospodynie domowe), a Kamil odbierał gratulacje od słynnego Niemca Svena Hannawalda (wyrównał jego rekord), a później stojąc na najwyższym podium, wzruszony śpiewał „Mazurka Dąbrowskiego". Dwa razy. Raz za zwycięstwo w austriackim konkursie, a później w całym turnieju. Atmosfera sportowego, ale także patriotycznego uniesienia była tej pamiętnej soboty tak przejmująca, że naprawdę trudno ją do czegokolwiek porównać. Naprawdę czuć było, że jesteśmy świadkami czegoś wyjątkowego.

> Dosłownie półtorej godziny przed zamknięciem esemesowego głosowania lawinowo przybywało głosów oddawanych na Kamila Stocha. Nasz fenomenalny skoczek narciarski właśnie wygrywał czwarty z rzędu konkurs Turnieju Czterech Skoczni

Od razu pojawiły się głosy sceptyków, że gdyby nie zbieżny termin ostatniego konkursu TCS i końcówki plebiscytu, to Stoch nie byłby uważany za najlepszego polskiego sportowca 2017 r. I pewnie jest w tym sporo prawdy. Że jednak futbol to dyscyplina dużo bardziej prestiżowa, najpopularniejsza na świecie, nie tak jak skoki, którymi pasjonują się kibice może w 12 krajach na kuli ziemskiej. I że Polacy bardziej kierują się sercem, impulsem chwili, a nie są w stanie zważyć prawdziwych zasług. Że to, że tamto...

W triumfie Stocha nad Lewandowskim w walce o miejsce w sercach polskich kibiców, jeśli w ogóle brać tę zabawę na poważnie, nie ma jednak niczego niestosownego. Przeciwnie, w moim odczuciu Kamil dostał premię za naturalność, za tę koszulę, która jest bliższa ciału.

Robert, podobnie jak Kamil stał się w ostatnich latach naszą dumą narodową, ale chcąc nie chcąc jednak trochę bardziej odległą. Ta cała piłkarska galaktyka, w której się obraca, te miliony euro, wspaniałe posesje, wakacje w Dubaju, luksusowe auta, FC Bayern Monachium, kosmopolityczna Liga Mistrzów, krwiste wywiady dla niemieckich gazet itp. działają na wyobraźnię, kibice się cieszą, że na kogoś takiego wyrósł ktoś z nas, ale...

Gdyby przeanalizować sposoby budowania wizerunku naszych dwóch najlepszych sportowców, to jak powiedzieliby ludzie z biznesu: mamy do czynienia z dwoma kompletnie innymi modelami. Albo inaczej, w przypadku Kamila jakiegoś założonego modelu chyba w ogóle nie ma. On jest po prostu sobą.

Kiedy niespodziewanie okazało się, że wygrał plebiscyt, a telewizja Polsat próbowała połączyć się audiowizualnie z austriackim hotelem, aby Kamil powiedział kilka słów uczestnikom balu i kibicom, zdecydowanie odmówił. Nie chciał wyjść z pokoju za żadne skarby. Dlaczego? Bo się zwyczajnie wstydził... Twierdził, że po konkursie miał nieodpowiednią fryzurę, ubiór niepasujący do takiej gali. Obawiał się, że jest nieprzygotowany, że może coś chlapnąć, kiedy adrenalina po zawodach jeszcze buzuje...

Pomógł dopiero telefon od żony, która była obecna na balu i odbierała nagrodę w jego imieniu. Dzięki Ewie Polacy usłyszeli kilka słów od rozczochranego idola. Mówił, że kocha żonę, że dziękuje, pozdrawia, teoretycznie nic specjalnego. Ale zrobił to tak, że aż się chciało złapać za telefon i oddać jeszcze jeden głos na niego...

65/1017/F

eprasa.pl dd70aa56f6

Sponsorzy Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej

PYEONGCHANG2018

Sponsor Strategiczny	Sponsor Generalny	Sponsor	Sponsor Kolekcji Olimpijskiej	Główny Partner Medyczny	Oficjalny Przewoźnik	Partnerzy PKOl	Partnerzy Medialni PKOl
ORLEN	LOTTO	TAURON	4F	GRUPA LUXMED	LOT	Deloitte. COLUMNA MEDICA	RZECZPOSPOLITA onet PRZEGLĄD SPORTOWY EUROSPORT

eprasa.pl dd70aa56f6

SŁAWOMIR ŚWIERZYŃSKI LIDER ZESPOŁU BAYER FULL

Do stołu w rękawiczkach

Można powiedzieć, że sukces Bayer Full smakuje też Wschodem, bo i tam nasza muzyka się spodobała. W Chinach, w których byliśmy już parę razy, najbardziej smakują mi pierożki. Z mięsem, warzywami. Gotowane na parze. Mają takie cienkie ciasto. Rozpływają się w ustach. Bardzo dobre są także podawane tam... ropuchy (wielkości moich dwóch dłoni). Tylko muszą być w sosie z chili. Zjada się paseczki z ich grzbietu. Są naprawdę świetne. Natomiast węże jako danie nie do końca mi pasowały.

Na północy Chin, w Mandżurii, gdzie jest dużo potraw z mięsa (każdego), dają rękawiczki – jak te do tankowania, które są na każdej stacji benzynowej. Zakłada się je i to mięso objada rękami. Pierwszy raz, właśnie w Mandżurii, spróbowałem szpiku z wołowych kości. Musiałem przełknąć. Jako główny gość nie mogłem inaczej, ale łatwo nie było.

Ten rok zaczęliśmy w górach, a o poranku... w górach nie ma jak kwaśnica. Znajomi pokazują nam różne kulinarne miejsca wokół Zakopanego: małe karczmy, z których, jak się już wejdzie, nie chce się wyjść. Tak dobrze tam karmią. I takie olbrzymie porcje podają.

Najczęściej zamawiam pieczenie. W sosie. Z „ziemniarami". Surówkami. Czyli tradycyjnie. Bardzo również lubię oscypki, bo generalnie kocham sery, ale oscypek na ciepło z żurawiną to po prostu rewelacja. Tylko musi być z dobrego źródła. My jeździmy do Zosi z Pyzówki. Gorąco ją pozdrawiamy. Zośka nam zawsze przygotuje takie fest „oscypki". I jeszcze ciastka ma przepyszne. Bezowe.

Na Mazowszu, gdzie się urodziłem i gdzie mieszkam, nie ma specjalnych lokalnych dań, chociaż jest taka wigilijna zupa – nazywa się chołojec – ze śledzi, z mleczem (czyli musi być przynajmniej jeden samiec). Cebula, ocet, dużo pieprzu. I oczywiście ryba, a zwłaszcza jej mlecz, który się rozciera. Daje charakterystyczny smak i zapach... Mama opowiadała mi, że w czasie okupacji, jak nie było co do garnka włożyć, jedli tzw. ślepego śledzia, czyli tylko wodę z octem, cebulą i jabłkami... Bez ryby.

Zupa to jedyna potrawa, która musi być codziennie. Chociaż ta ze śledzia i owocowa (ze śliwek lub jabłek) trafiają przede wszystkim na świąteczny stół. Za to inne: pomidorowa, kapuśniak czy ogórkowa są oczywiście dużo częściej. Z tym że pomidorowa powinna być na golonce. Ta jest najlepsza.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

Domowa pomidorowa (na golonce)

przepis ze strony bialaglowka.blogspot.com

Składniki: 1 golonka wieprzowa, 4 pomidory, 1 duża cebula, 4 łyżki stołowe koncentratu pomidorowego, ok. 10 ziarenek ziela angielskiego, 5 listków laurowych, łodyżka i kilka liści lubczyku, pieprz, sól, łyżka oleju do smażenia, pół małego selera, 2 marchewki.

Przygotowanie: Mięso płuczemy (jeśli tego wymaga, opalamy nad gazem) i zalewamy w dużym garnku zimną, posoloną wodą z zielem i liściem laurowym. Po zagotowaniu wody zdejmujemy z powierzchni brunatną szumowinę, dorzucamy lubczyk i warzywa w całości. Gotujemy do miękkości mięsa (od godziny do półtorej) i wszystko przecedzamy. Cebulę szklimy na oleju, po czym obniżamy temperaturę na patelni i dokładamy do niej koncentrat pomidorowy. Wszystko razem dobrze przesmażamy, pod koniec dolewając pół szklanki wywaru z golonki. Dorzucamy pokrojone w kostkę pomidory i podduszamy kilka minut, często mieszając. Pomidorową masę przyprawiamy solą i pieprzem, a następnie przekładamy ją do płynu w garnku. Dokładnie mieszamy i razem przegotowujemy. Zupę podajemy z kawałkami mięsa i warzyw oraz z makaronem lub lanymi kluskami.

Fot. Julita Szewczyk, Shutterstock

eprasa.pl dd70aa56f6

SŁODKO-SŁONY

Krupnik z lubczykiem

ANNA MONICKA

Jedno z wcześniejszych wspomnień z dzieciństwa? Mało miłe. Leżę plackiem w kuchni i wyję, a mama usiłuje nakarmić mnie kaszą. Manną na mleku. Mam z sześć lat i mocno wyrobione zdanie na temat kasz. Wszelakich. Argumenty, że są zdrowe, jakoś do mnie nie trafiają. Walczę i pluję, a mama się wścieka i... ulega. Pozornie, bo gdy znów wraca temat porannych kasz i płatków – nie ma w nich mleka. Jest masełko, koperek, troszkę soli. I nagle okazuje się, że są pyszne. Że zawsze mi smakowały i są najlepszym, najbardziej rozgrzewającym śniadaniem. W miarę odkrywania smaków do manny dołącza jaglanka, płatki owsiane, jęczmienne, a ostatnio także gryczane, delikatne, o lekko palonym smaku. Doprawiane już nie tylko koperkiem, lecz także cudnie pachnącą mieloną czarnuszką, kolorowym pieprzem, proszkiem curry czy masalą. Im gorsza, bardziej beznadziejna pogoda na przednówku, tym większą mam ochotę na te smakołyki. Czuję, jakbym miała w brzuchu wewnętrzny piecyk, do którego długo nie trzeba dorzucać paliwa.

Miłość do kasz automatycznie jest miłością do krupników, czyli zup gotowanych na krupach. To jedna z tych naszych narodowych potraw, którymi moglibyśmy zawojować świat. Bo łatwa, można ją gotować z różnych ziaren, na wywarze z rozmaitych mięs albo tylko na włoszczyźnie czy grzybach i przyprawiać na tysiące sposobów. Tak naprawdę niezmienna jest tylko kasza, listek bobkowy, ziele angielskie, kilka ziarenek pieprzu i sól. Resztę dobierzemy sobie sami, stosownie do upodobań. Ja w krupniku muszę mieć na przykład lubczyk, który specjalnie z myślą o zupach hoduję w ogródku pod oknem i mrożę, oraz starte na grubej jarzynowej tarce marchewki, pietruszkę oraz seler. Korzenie dają słodycz i aromat.

Najlepszy wychodzi z kaszy jęczmiennej perłowej, którą trzeba porządnie ugotować, zawsze w osobnym garze i bez soli, a potem wsypać do „rosołu", okrasić grzybami, na których się gotował, doprawić i posypać zieleniną. Najbardziej lubię z podgrzybkami albo kurkami, ale nadają się wszystkie kapelusze. Żeby krupnik był bardziej treściwy, obieramy do niego mięso z wywaru, można też dodać pokrojone w kostkę ziemniaki albo makaron ryżyk. Zupa zamienia się wtedy w klasyczne danie jednogarnkowe.

Ale i krupniki gryczane są niczego sobie. Genialny smak ma zwłaszcza uwarzony z kaszy krakowskiej podprawionej lekką śmietanką albo z prażonej gryczanej, okraszony zasmażką z kosteczek boczku i cebulki. Przysmak na ferie.

Fot. Shutterstock

WINNICA MAZURKA

Poseł serwuje whisky

ROBERT MAZUREK

Tak, wiem, tu się pisze o winach, ale zawsze musi być jakiś wyjątek, no i jest, bo trunek to i dobry, i polityczny. Sporu, skąd na świecie wzięła się whisky, rozstrzygnąć dziś niepodobna, wygląda jednak na to, że nie wymyślili jej wcale Szkoci, ale Irlandczycy. Ba, oni ojcem whisky nazwali nawet św. Patryka. I choć święty ten dokonywał niebagatelnych cudów – przywracał wzrok, przeganiał węże, wskrzeszał umarłych – to wymyślenie whisky zajmowałoby na tej liście niepoślednie miejsce.

Tu pojawia się jednak pewien problem chronologiczny, bo św. Patryk zakończył ziemski żywot w V w., a whisky zaczęto robić jakieś 200 lat później, ale to drobiazgi, prawda? W każdym razie whisky powstała – jak twierdzi browarnik i poseł Marek Jakubiak – z zepsutego piwa. Czy to prawda – nie dojdziemy, ale wiadomo na pewno, że robi się ten trunek, destylując zacier zbożowy, najczęściej właśnie jęczmienny.

Dziś niewiele jest krajów, w których whisky się nie robi, a i odmian tej okowity jest bez liku. Prym oczywiście wiodą Anglosasi (Szkoci, Irlandczycy, Amerykanie), ale światowe uznanie zdobywają whisky z Japonii, Indii, lecz także z Francji, Włoch, po prostu zewsząd. Od kilku lat do produkcji biorą się również Polacy. Marek Jakubiak nie jest pierwszy, ale ma szansę stać się najlepszy. Nawet nie dlatego, że stoją za nim jego regionalne browary, lecz przede wszystkim dlatego, że od początku śrubuje jakość.

Próbowałem różnych butelek whisky pana posła, faktycznie – zgodnie z zapowiedziami – różnią się smakowymi niuansami. Łączy je lekko ciasteczkowo-orzechowy aromat i ładny, łagodny smak o długim finiszu. Na razie jest to działalność hobbystyczna, bo dwa tysiące butelek przy skali produkcji browarów to raczej skala suwenirów, ale poseł już zapowiada, że to dopiero początek. Dobra wiadomość? Najbardziej polityczną whisky w Polsce można kupić przez internet.

Jakubiak Polska Whisky 148 zł

Browary-jakubiak.pl

robert.mazurek@hotmail.com, @wina_Mazurka

eprasa.pl dd70aa56f6

Politycy w togach

PIOTR SKWIECIŃSKI

Sędzia Igor Tuleya, ten sam, który niegdyś porównał metody działania CBA do stalinowskich śledczych, nakazał prokuraturze wznowić postępowanie w sprawie przeniesienia w grudniu 2016 r. posiedzenia Sejmu z blokowanej przez opozycję sali plenarnej do Sali Kolumnowej. Uzasadniając tę decyzję, raczył był powiedzieć, że „16 grudnia pogrzebano demokrację, tamtej nocy umarła zwykła ludzka przyzwoitość". A z całego wygłoszonego przez Tuleyę uzasadnienia po prostu nie tyle przebija, ile wręcz bije przekonanie, że wtedy każde w zasadzie działanie sprawujących władzę, które mogli oni przedsięwziąć, byłoby bezprawne.

Jedyne, co niesłuszni rządzący powinni byli zrobić, to uznać swoją wrodzoną niższość i skapitulować przed przemocą. Tak jest, przed przemocą, bo blokowanie posłom dostępu do sejmowej mównicy, a to przecież robiła wtedy opozycja, było przemocą. I łamaniem prawa, ale to Tuleyi nie obchodzi. Jeśli nie skapitulowali, to tym dla nich gorzej. A jeśli już na Sali Kolumnowej próbowali uniemożliwić opozycji powtórzenie łamiących prawo działań, to już skrajna bezczelność. Dajcie takiego Tuleyi, a on już znajdzie na niego paragraf.

Ale zasadniczo nie chodzi o samego Tuleyę. Jaki jest, wiadomo. Tak samo jak wiadomo, czego po tym polityku przebranym w togę można się spodziewać. Ważniejsze jest pytanie inne: jak to się stało i o czym to świadczy, że ów sędzia, publicznie afiszujący się z opozycyjnymi celebrytami, znany z radykalnych poglądów, których nie tylko nie ukrywa, lecz które przeżywa bardzo emocjonalnie, i które – w każdym razie wielu tak uważa, i ma na to sporo argumentów – ewidentnie wpływają na jego orzecznictwo, w ogóle taką sprawę otrzymał? Bo jeśli ktoś mi powie, że to przypadek, że ot, tak, po prostu zadecydowała kolejność wpływu, to się jednak roześmieję.

Jest dla mnie oczywiste, że sprawę Sali Kolumnowej przydzielono Tuleyi zupełnie świadomie. Nie mimo tych wszystkich jego cech, tylko dzięki nim. Bo z dużą dozą pewności można było przewidzieć, jak orzeknie. Właśnie po to, by tak orzekł.

Zrobiła to – demonstracyjnie – korporacja sędziowska, uważająca się za pozostającą z PiS w wojnie. W wojnie, na której wszelkie chwyty są dozwolone, a dbanie o bodaj pozory sędziowskiej apolityczności, pozostawania ponad sporami, jawi się jako coś śmiesznego.

I była to kolejna tego rodzaju manifestacja korporacji. Można by przypomnieć inną, dokonaną niedawno przez ciało najbardziej chyba tę korporację i panujące w jej elicie nastroje uosabiające – przez Krajową Radę Sądownictwa, jeszcze w starym składzie. Oczywiście myślę o odrzuceniu przez nią, pod formalnymi pretekstami, zgłoszonej przez Ministerstwo Sprawiedliwości listy asesorów. Do którego to odrzucenia ministerstwo skądinąd ów pretekst dało, ale KRS wcale nie musiała z niego skorzystać. Mogła przecież listy nie odrzucić, tylko przedłużyć procedurę, dać czas na uzupełnienie braków. A tego nie zrobiła. Wolała zademonstrować, jak bardzo nienawidzi rządu.

Co skądinąd oczywiście było działaniem politycznie i piarowsko bezdennie głupim, gdyż wielu przedtem wahających się uznało, że – jak widać – PiS ma rację, rozjeżdżając buldożerem sędziowską korporację. Bo naprawdę jest ona po prostu jednoznacznie zaangażowana politycznie. I trudno, ale skoro tak się zachowuje, to nie sposób traktować jej jako byt wznoszący się ponad grzeszny świat i szybujący w eterze abstrakcyjnego prawa. A orzeczenie Igora Tuleyi, ale jeszcze bardziej samo wyznaczenie go do roli sędziego zajmującego się sprawą Sali Kolumnowej, politycznie i piarowsko potwierdzają tę wizję.

Korporacja sędziowska niestety nie dba nawet o pozory apolityczności. Wyraźnie sama nie chce być traktowana jako byt wznoszący się ponad grzeszny świat i szybujący w eterze abstrakcyjnego prawa

Cóż, skoro środowisko sędziowskie chce być tak postrzegane (a w ślad za określonym postrzeganiem idzie określone traktowanie), to – można by powiedzieć – jego sprawa.

Tylko że nie jest to wyłącznie jego sprawa. Bo jeśli sędziowie ostentacyjnie określają się politycznie, to w konkretnej, polskiej sytuacji A.D. 2018 uruchamiają czy też intensyfikują procesy daleko wykraczające poza ważną, jednak wąską, sferę relacji między poszczególnymi władzami. Dynamizują te ośrodki polityczne, które chcą radykalizacji rewolucji. Podsycają, mówiąc nieco metaforycznie, ogień polsko-polskiej wojny, w której podobno nie uczestniczą i której podobno tak bardzo nie chcą.

Albo tylko tak twierdzą.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl dd70aa56f6

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Przesunięcie ku centrum?

Witold Gadowski

Polityka bywa wymierna i przewidywalna jak matematyka, ale zdarza się też, że jak matematyka płata naraz figle i staje się nieokiełznana.

Piszę te słowa w kontekście prezentacji zmian w polskim rządzie. Premier Morawiecki wykonał bowiem bardzo precyzyjny ruch – odwołując Antoniego Macierewicza, ale także Jana Szyszkę, a powołując Jacka Czaputowicza, przesunął rząd wyraźnie w lewą stronę. Oczywiście stoi za tym rachuba wyborcza. Taki rząd – przesunięty w stronę centrum – ma szansę na zyskanie większej liczby głosów w wyborach. Biorąc pod uwagę narastający chaos w szeregach opozycji, można by się spodziewać, że personalne zmiany w rządzie przypieczętują już dziś wyborczy sukces PiS. Teoretycznie bowiem przesunięcie lekko w lewo i nabranie poparcia w centrum dobije konkurencję.

Nie wiem jednak, czy partyjni i rządowi analitycy zauważyli, że słabość i kompromitacje PO i Nowoczesnej wcale automatycznie nie działają na korzyść rządzących. Powoli, ale już widocznie, zaczynają wzrastać notowania SLD i PSL. Niepokojące jest to w przypadku PSL, partii, która samym istnieniem przyczynia się do wzrostu patologii w naszej polityce.

Wszystkie rachuby projektujące „zwiększanie elektoratu" mają jeszcze i tę wadę, że nie biorą pod uwagę społecznych emocji. Czasem nieracjonalne emocje, których w żaden sposób nie da się a priori wykalkulować, sprawiają, że w łeb biorą najtęższe projekty. Tu tkwi spora różnica między polityką a matematyką. Drugą wadą takich manewrów jest niedocenienie roli tzw. twardego elektoratu. Jego rozczarowanie może wywołać efekt kuli śniegowej i doprowadzić do spadku notowań, którego nie nadrobi przesuwanie się do centrum. Oczywiście teoretycznie nie ma możliwości wygrania żadnych wyborów, jeśli nie pozyska się tzw. elektoratu centrowego. Gdyby jednak było to takie proste, wybory rozstrzygano by długo przed samym głosowaniem.

Odejście z rządu Macierewicza jest także niebezpiecznym precedensem. Po raz pierwszy PiS zrezygnowało ze strategii obrony polityków najbardziej atakowanych przez „GW", TVN itp. media. Nie od dziś wiadomo, że neomarksistowskie środki przekazu najmocniej atakują tych przywódców, którzy najbardziej zagrażają ich interesom. Odwołanie Macierewicza z funkcji ministra to nie tylko spełnienie żądań prezydenta Dudy, to przede wszystkim objaw słabości. Wprowadzenie do rządu Czaputowicza, człowieka z samego jądra niesławnej „korporacji Geremka", która zawłaszczyła polskie MSZ, rodzi kolejne pytanie: kto wybrał Czaputowicza? Wyborcy czy warszawska śmietanka?

Bezkarność

Lech Makowiecki

Sylwestrowa noc we Francji obfitowała w standardowe już „fajerwerki". Ponad tysiąc płonących samochodów i kilkunastu rannych funkcjonariuszy (w tym bezbronna policjantka skopana przez oszalałą dzicz) – to sytuacje wciąż niewyobrażalne w monokulturowej Polsce.

Kilka grudniowych dni spędziłem w Paryżu, rozmawiałem z Francuzami i trochę ich rozumiem. W postkolonialnym kraju różnorodność rasowa jest codziennością. Biali, śniadzi czy czarni od lat spotykają się w szkole, na imprezach, w pracy i prywatnie. Tworzą się znajomości, przyjaźnie, mieszane małżeństwa. Otwarcie granic na niekontrolowany napływ islamskich migrantów i zadziwiająca uległość rządzących wobec ich przestępstw budzą jednak zdumienie najbardziej tolerancyjnych tubylców. Tłumaczenie, że przybysze wychowani są w innej kulturze, nie może być usprawiedliwieniem bicia czy gwałcenia miejscowych kobiet!

Każde wykroczenie czy zbrodnia powinny zostać ukarane zgodnie z obowiązującym prawem. Dziwnym trafem nie obejmuje to imigrantów, zataja się wręcz narodowość i wyznanie sprawców przestępstw. Zachodnia Temida przymyka też oczy na bigamię, pedofilię (małżeństwa z dziećmi), rytualne okaleczanie dziewczynek (obrzezanie), „honorowe" zabójstwa itp. A ponieważ wprowadzenie kar zrozumiałych dla wyznawców szariatu (takich jak choćby chłosta, kamienowanie, obcinanie rąk i głów etc.) nie wchodzi na razie w rachubę, bezkarność jeszcze bardziej rozzuchwala fanatycznych bandytów i frustruje miejscową policję...

PS Czasami jednak francuskie siły bezpieczeństwa potrafią być skuteczne. Masowe, antygenderowe manifestacje w obronie tradycyjnego modelu rodziny kończyły się zwykle wyłapywaniem aktywnych uczestników i spuszczaniem im tradycyjnego łomotu. Opowiadał mi o tym mieszkający w Paryżu Polonus, który szczęśliwie wydostał się z zablokowanego przez służby placu Inwalidów dzięki temu, że w porę wyrzucił transparent i udawał przypadkowego turystę z Polski.

eprasa.pl dd70aa56f6

PRZEZ ŚWIETLIK

Mocium panom

Zapewne duża część z państwa, szczególnie tych nieco starszych ode mnie, dobrze pamięta, że we wspaniałej dacie 1410 zapisany jest także pewien przepis, nazwijmy to, kulinarny. I nie chodzi o pyszne babeczki, dżemik babuni, sushi jak z Okinawy ani comber po staropolsku. Kilogram cukru, cztery litry wody i 10 deko drożdży piekarskich dają zupełnie inny produkt, może niezgodny z ustawami, polityką Komisji Europejskiej i Światowej Organizacji Zdrowia, ale w trudnych czasach pomagający wielu Polakom bardziej niż dziś leki psychotropowe na receptę korpoludkom. Z tej najprostszej recepty można wyciągnąć jeszcze jeden wniosek – że proporcje w życiu są nader istotne, zgodnie ze znanym cytatem z mistrza Fredry.

Myślę, że warto o tym pamiętać, zanim przejdziemy na drugą stronę i staniemy się politycznymi zombie piszącymi anonimowe bluzgi w internecie albo nawet pod nazwiskiem jako dziennikarze napędzający owych zombie.

Rozumiem więc, że ostatnie zmiany w rządzie mogą się nie podobać. Że na tym czy innym stanowisku ktoś wolałby kogoś innego. Ja też przez ostatnie dwa lata chciałem zobaczyć na stanowisku szefa polskiej dyplomacji kogoś innego, ale nie bombardowałem z tego powodu mediów społecznościowych przemyśleniami na temat opanowania PiS przez WSI, KGB, a także Mefistofelesa we własnej osobie, nie tłukłem po całej prawicowej formacji politycznej. I dodam, formacji, która nieraz solidnie mnie drażni, mam cały worek krytycznych uwag wobec prezydenta, obecnego premiera i byłej premier, a także lidera PiS. Ale z tą formacją jest jak z naszym światem u filozofa Leibniza, stanowi w Polsce najlepszą z dostępnych opcji. A inną dostępną opcję niedawno mieliśmy. Właśnie – kiedy to piszę – Grzegorz Schetyna zapowiada w radiu, że jego europosłowie będą jeszcze bardziej troszczyć się o Polskę. To jest alternatywa, do której prowadzą durne konflikty.

Myślę, że warto sobie to przypomnieć, zanim – jak niektórzy – zadeklaruje się, iż na Dudę to już nigdy w życiu, a i czy na PiS, to nie wiadomo. Albo jak bard, mój dobry znajomy, bardzo porządny zresztą człowiek, w amoku odeśle się prezydentowi odznaczenie. Albo jak inni nawoła się do tego, by porzucić zdradzieckie PiS i poszukać „prawdziwej prawicy". Polecam tę spod znaku Grzegorza Brauna. Skutecznie doprowadziłoby to do tego, że potem Polska znalazłaby się na kilka dziesięcioleci w rękach panów w stylu Sławomira Sierakowskiego i Adriana Zandberga.

Rozumiem, że ktoś może być wściekły za tę czy inną dymisję lub nominację, ale krzyczenie przy tej okazji o zdradzie jest kosztowną błazenadą

Antoniego Macierewicza cenię za to, co robił wewnątrz MON. Postawił na młodych i bardzo kompetentnych ludzi. No dobra, moich rówieśników, więc nie aż takich młodych, ale za to najlepszych ludzi, jacy wśród owych rówieśników byli. Już jako student wiedziałem, że nikt nie zna się na wojsku tak dobrze, jak Tomasz Szatkowski z wydziału prawa, a od wielu lat w sprawach bezpieczeństwa, ale i nauki, dzwonię do Dominika Smyrgały, zaprzeczającego stereotypowi zapyziałego polskiego naukowca. Jego kwalifikacje docenił zresztą portal Natemat.pl, nazywając go „lepszym Misiewiczem". Czy może być lepsza rekomendacja niż hejt ze strony lisich „parówek"? Z drugiej strony uważam, że niektóre działania byłego już ministra są co najmniej wątpliwe. Organizacja apelu smoleńskiego przy okazji rocznicy Poznańskiego Czerwca '56 nie ma sensu, szkodzi pamięci jednego wydarzenia i drugiego. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak można tego nie rozumieć. Tak to już jest, że politycy, ministrowie z reguły mają wady i zalety. A czasem nawet ci z zaletami muszą się pożegnać ze stanowiskiem, bo się skonfliktują, bo nie pasują do układanki, bo mają odegrać inną rolę w strategii partyjnej. Pod tym względem władza nie różni się bardzo od wielkiej, dobrze zarządzanej firmy. Czasem kogoś trzeba gdzieś przesunąć, nawet jeśli komuś innemu z tego powodu jest przykro.

To wszystko. Politycy, w tym prezydent, premier i lider partii, podlegają krytyce, także sympatyków. Rozumiem, że ktoś może być wściekły za tę czy inną dymisję lub nominację i dawać temu wyraz. Też tak nieraz robię. Ale krzyczenie przy tej okazji o zdradzie, zaprzaństwie, obcych agenturach i mafiach jest błazenadą. I to wyjątkowo kosztowną.

Wiktor Świetlik

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

eprasa.pl dd70aa56f6

Kwadrylion disco

Wszyscy piszą o zmianach w rządzie, a właściwie wyłącznie o zmianie, czyli zdymisjonowaniu, usunięciu, odsunięciu, przesunięciu Antoniego Macierewicza.

I już teraz są spekulacje, co ów polityk zrobi. A ponieważ wszystko dzieje się jak w restauracji, o czym już pisałem, w której otrzymujemy gotowe danie, ale nie wiemy ani nie widzieliśmy, jak je przygotowano i dlaczego takich, a nie innych przypraw użyto, to niewiele z tego rozumiem.

Coraz bardziej odnoszę jednak wrażenie, że prezydent jest prezydentem Warszawy, prezes – prezesem Warszawy, a premier też premierem Warszawy. Reszta Polski jakoś się toczy i tylko czasami dociera do niej echo albo rykoszet warszawskich zmagań. No i właśnie jestem w tej reszcie.

Ale cichcem, jakby nieśmiało, trochę za węgłem powstaje bodaj nowa jakość. To nowa Nowoczesna. Tym razem już bez Petru. Ów żałośnik ma bowiem strasznego pecha. Zawsze wybiera drogę pełną bananowych skórek. Na dodatek ma ogromny talent i tak obliczy krok, że na skórkę, jak nieszczęsny saper na minę, zawsze wejdzie.

Chociaż pułapki są rozłożone tak jak liczby pierwsze w matematyce, w porządku, którego nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Co ciekawe, Petru nie wyciąga z tego żadnych wniosków, on się po prostu niczego się nie uczy. Począwszy od „sześciu króli", przez „Kameruna" po „szerokie tango" cały czas w te skórki wdeptuje, a twierdzi, że tylko ma pecha.

Nic więc dziwnego, że gość, który nie jest w stanie przewidzieć, że na drodze jest pełno bananowych skórek, rozbawił wszystkich nazwą „Plan Petru". Plan to coś w czasie przyszłym, coś przewidywanego, jakieś przyczyny i jakieś zamierzone skutki. Na przykład – idę innym chodnikiem, bo na tym są skórki od banana. Są jednakowoż takie dwuwyrazowe symbole zastępujące wszystko, co się za nimi kryje. Flip i Flap czy Benny Hill często doprowadzają samym hasłem do śmiechu, no a teraz Plan Petru.

Myślę, że logo tego stowarzyszenia bezdyskusyjnie powinien być banan. A samego Petru jako wizjonera oraz jego ewentualny orszak powinno się też nazywać bananami. Bo mocno podejrzewam, że te skórki, na których Ryś się wywala, są z bananów – idąc, konsumował. Takie nowoczesne perpetuum mobile.

Aleksander Nalaskowski

Flip i Flap czy Benny Hill często samym hasłem doprowadzają do śmiechu, no a teraz Plan Petru

Ale co z resztą Nowoczesnej? No właśnie! Wywaliwszy Petru, stała się zjawiskiem, od którego zacząłem ten felieton. Stała się jedyną w parlamencie partią kobiet. Kobitki widział na licznych fotach, że są tłem, horyzontem dla macho. No i jedna z nich, może Lubnauer, bo to matematyk obyty z komputerami, w fotoszopie wykasowała szefa. No i zobaczyła, że razem się nieźle prezentują. Na kilku pojawiał się wprawdzie Rabiej, ale to homoseksualista (co sam ogłosił), zatem pasuje. W każdym razie nieszkodliwy wizerunkowo.

Ogierek, zgodnie ze swoim przeznaczeniem, pociągnął wóz do parlamentu. Na wozie siedziały różne panny malowane i Szojringwielgus też. Ale potem dziewczyny zgrabnie zeskoczyły z wózka i zamiast wziąć się do roboty, to wyprzęgły ogierka, klepnęły w zadek i kazały iść na trawkę. Bo świeża i zielona.

No, strata była. Bo jedna, mniej nowoczesna, wcześniej pojechała paść konika na ciepłej wyspie. No i teraz będzie mu już chyba musiała stajnię czyścić. I tak powstała pierwsza w Polsce autentyczna partia kobiet, o którą tak się bili Szczuka, Nowacka, Środa, Palikot, Blumsztajn i inni. Faceci tam się nie liczą, bo są jeszcze bardziej ograniczeni.

Jest to zdarzenie przełomowe. Głównie w matematyce politycznej. Bo Nowoczesna stanowiła zawsze polityczne i intelektualne zero. Ale dla politpoprawności dodawano do niego jedynkę. Czyli liczbę zer, których sumą było zero, ozdobiono tak, że wyszło całkiem pokaźnie, bo 1025, czyli więcej niż kwadrylion – 25 posłów plus Petru. No i tak wzrastało ego i nic dziwnego, że przy takiej liczbie kobitki już same krzyczały „Precz z dyktaturą kobiet!". Ale jedynce podziękowano, bo też okazała się zerem. No i z Nowoczesnej zostały same zera. Po jednej i po drugiej stronie.

Ten proces ma jeszcze jeden aspekt. To spory eksperyment. Bo na scenę koncertową (Sejm) wpuszczono zarówno poważnych i wykształconych muzyków ze skrzypcami, kontrabasami, waltorniami i dzwonami rurowymi, jak i hucpiarzy rodem z disco polo grających na chińskich keyboardach melodię z pendrive'ów.

Część sali i publiczności czuje się zażenowana i oszukana, ale część, ta bliżej serca, podryguje i jest wręcz naprawdę zachwycona. I to jest chyba właśnie ten nasz podstawowy problem.

eprasa.pl dd70aa56f6

ROBERT MAZUREK

Gołe baby po godzinach

Są takie funkcje, gdzie nie robić nic jest cnotą. Na ten przykład minister kultury – bez względu na odcień rządu – najlepszy jest wtedy, gdy niczego nie rusza, tylko masuje. Artystów, głównie aktorów i reżyserów, ich ego masuje. Dlatego – tu uwaga na boku – dożywotnio funkcję tę pełnić powinien w każdym rządzie Waldemar Dąbrowski, bo zwinny jest, a jako minister robił, co było trzeba. I masował.

Reżyser i aktor dobrze wymasowany nie pyszczy władzy, nawet gdy ta zabiera mu kilkadziesiąt tysięcy rocznie

Reżyser i aktor dobrze wymasowany nie pyszczy władzy, nawet gdy ta zabiera mu kilkadziesiąt tysięcy rocznie. Może nie zauważy, bo średnio kumaty, a może po prostu wie, że za pieniądze nie kupi tego, na czym zależy mu najbardziej, czyli uznania. Proszę zwrócić uwagę, że piszę o aktorach, bo takimi muzykami, zwłaszcza poważnymi, nie mówiąc już o malarzach, nikt się nie przejmuje. – Co mnie tu głowę zawracasz gościem z waltornią – fuknie na ministra premier. Bo kto niby wie, co to jest waltornia? A ci malarze czego chcą? Daj im jakąś galerię, niech się bawią, albo nie, nie dawaj, będą gołe baby pokazywać i tylko kłopot.

Próba złamania tego układu kończy się źle, choć marzy mnie się taki odważny, który by to postawił z głowy na nogi. Czyli – wiem, że zostanę zaraz uznany za troglodytę, ale i tak za takiego uchodzę – nie zastanawiał się, co tu zrobić dla PT Artystów, tylko dla PT Podatników en masse. A konkretnie? Wyglądałoby to mniej więcej tak, że taki minister/marszałek województwa/prezydent miasta ustala, że chce mieć u siebie jeden poważny teatr dramatyczny i jeden komediowy, bo tego chcą ludzie. Ogłasza konkurs np. na prowadzenie go przez trzy sezony i już. Ktoś mi zarzuci, że będziemy mieć wtedy same farsy. Otóż nie wydaje mnie się, bo te prostaki, których tak się boicie, i tak do teatru nie pójdą, nawet jak tam aktorzy pierdzieć będą, za to amatorów poważnego teatru jest całkiem sporo, a jak nie wierzycie, to spróbujcie kupić bilet do Narodowego.

No dobra, mądralo, a co z innymi artystami? Interwencyjny skup wierszy pan proponujesz? Dopłaty do namalowanej powierzchni obrazów czy kubatury rzeźb? Otóż, o dziwo, nie. Można subwencjonować galerie, które rozliczałyby się ze swego profilu wystawowego i realnych osiągnięć oraz – serio – z liczby widzów. Tak, tak! Chciałbym, by ktoś realnie rozliczał szefową takiego muzeum lub galerii z tego, czy ktokolwiek zechce ją odwiedzić.

Rzecz jest zresztą zbyt poważna, by zbyć ją łatwymi felietonowymi receptami. Chodzi po prostu o to, byśmy zaczęli serio traktować nie tylko artystów (ich też, poniżanie kogokolwiek jest kontrskuteczne), lecz przede wszystkim widzów.

I taki drobiazg – wielką, wspaniałą, właśnie zakończoną wystawę „Dziedzictwo" w krakowskim Muzeum Narodowym, wydarzenie, śmiem twierdzić, epokowe, można było oglądać tylko do 18.00. Dlaczego w pełnym turystów Krakowie muzeum nie mogło być otwarte choćby i do 22.00? A nie, nie mogło, związki zawodowe i takie tam. Bo u nas Noc Muzeów to proszę bardzo, ale żeby tak człowieka zachęcić na co dzień, ech, szkoda gadać...

A to przecież idealny przykład tego, czy nos jest dla tabakiery, czy jednak tabakiera dla nosa. Czy wystawa jest dla muzealników i szacownego gmachu, czy jednak dla widzów? Czy teatr jest wyłącznie dla realizującego się w nim pana od „Klątwy", czy jednak także dla podatników, którzy chcieliby pójść na najbardziej nawet kontrowersyjne, ale jednak wydarzenie kulturalne, a nie na drakę w lupanarze?

Aha, każdy felieton należałoby zakończyć jakąś zabawną puentą, ale po ostatnich występach Ryśka z Planu popadłem w kompleksy i puenty nie będzie. To znaczy, owszem, była, ale do 18.00, a piszę po godzinach.

robert.mazurek@hotmail.com

Fot. Andrzej Wiktor

Na depresję Róża Thun

Jerzy Jachowicz

Jestem ojcem dwójki dzieci. Lubię ze swoimi pędrakami jeździć w góry albo nad morze. Wspólnie wymyślać różne ciekawe gry i zajęcia, które je rozwijają. Bawić się z nimi. Wypoczywać. Jakie to wspaniałe uczucie być ojcem. Mówię wam: warto. Nie ma co.

Czasami jednak coś mnie zaboli. Zakłuje tak, że oddychać trudno. Wprost zatyka. Usiedzieć w jednym miejscu trudno. Na przykład Trybunał Konstytucyjny. Wtedy jestem do niczego. Boli mnie utrata niezależności Trybunału. Cierpienie niczym szpikulec wbity w palec u nogi albo w głowę. Spać nie można. Ani się bawić.

Najlepszym lekarstwem na te dolegliwości jest Róża Thun. Do dostania w bezpłatnych aptekach – przyjaznych telewizjach i portalach. Wystarczy obejrzeć kawałek filmu, w którym widać, że wspaniała Róża Maria Barbara Gräfin von Thun und Hohenstein się nie poddaje. Walczy o swój kraj. Z dyktaturą. „Demokracji nie da się zadusić ustawami o zgromadzeniach. Policyjnymi polowaniami na uczciwych polityków" – Róża Thun nie wymienia nazwisk. Bo jest kobietą delikatną, szlachetną. Również swoim pochodzeniem. Wiemy przecież, kogo ma na myśli. Ofiarę brutalnej nagonki politycznej zainspirowanej z ośrodka władzy na Nowogrodzkiej. Kolejna brudna robota Jarosława Kaczyńskiego, który nie dość, że krzywdzi innych, to chce narzucić Polsce autorytarny reżim. To moja kolejna dolegliwość, powodująca apatię i depresję. Znowu na ratunek przychodzi Róża Thun. Kieruje nią troska o Polskę. Mówi, że się na to nie zgodzi. Ani na ograniczenie swobód obywatelskich. To jakby ktoś wlewał w moje ciało ożywcze soki.

Moje urwisy są jeszcze małe. Nie wszystko rozumieją. Ale widzą, że jak tylko na ekranie pojawi się twarz Róży Thun, wracam do zdrowia. Z radością zanurzam palce w ich płowe czupryny. Bo jej uśmiech sięga w przyszłość, gdzie wolność i praworządność są jak kolorowa łąka pełna naturalnych kwiatów i roślin. Ale oto kolory zanikają. Przykrywają je brunatne barwy nazistowskich, prawicowych polskich gazet. Nagle pojawiają się nieznane litery – ZDF. Co za dramat... połykają Różę Thun.

CO MNIE WKURZA

Znowu wybrzydzam

Katarzyna Łaniewska

Do niedawna słowo „róża" kojarzyło mi się z królową kwiatów. Z przepięknymi okazami róż w różnych kolorach – żółtych, herbacianych, różowych i wreszcie białym oraz czerwonym. A dziś...

Dzisiaj skojarzenia nie są tak jednoznaczne ani związane z kwiatami. Z kwiatami, które poza swoją urodą mają kolce. W ostatnich dniach słowo „róża" bardziej przypomina mi jedną z polskich posłanek do Parlamentu Europejskiego – panią Różę Thun (państwo pozwolą, że użyję tylko tego członu jej nazwiska). Kiedyś uczyłam się od innej Róży – Róży Luksemburg. Obie damy mają trochę wspólnego, choć rozwijały swoje kwiatki w różnych epokach.

Smutno mi, że nie będzie mi się to słowo kojarzyło z pąkami rozkwitających róż, jak śpiewano w piosence legionowej. Biała róża już została w jakimś sensie zbezczeszczona przez Obywateli RP. Te dwie panie według mnie bezczeszczą piękne polskie imię. Rzadko używane.

Zawsze się denerwuję, że piękny kwiat można zamienić na panią Różę Thun, a szlachetne 500+ na „pińcet plus"

Piosenka „Nie ma niebieskich róż" w tej chwili też nie jest prawdziwa. Wszystko można teraz ufarbować. Można np. przefarbować się na inny sposób myślenia. To dość smutne. Muszę jeszcze podzielić się jedną sprawą. Te złe przykłady jakoś tak wchodzą w nasze codzienne życie. Tak jak słowo „pieniądz". Przecież mamy pieniądze. Kiedyś pan, na szczęście już eksminister finansów, Jan Vincent Rostowski powiedział, że „pieniędzy nie wystarczy na pińcet+". Ciągle słyszę tę złą formę.

Zawsze się denerwuję, że piękny kwiat można zamienić na panią Różę Thun, a szlachetne 500+ na „pińcet plus". Gdy będę miała zbywające pieniądze – nie pieniążki, jak to mają dzieci w skarbonce – kupię sobie duży bukiet biało-czerwonych róż. Pocieszę się i zapomnę o paniach Różach. Będę dalej mówiła z przekonaniem i namawiała, że mamy pieniądze i pięćset złotych. Podpisuję się pod tym.

eprasa.pl dd70aa56f6

Przeczytaj wSIECI HISTORII

Naród polski do zlokalizowania nie jest raczej koło Kijowa czy nawet na tzw. Kresach, ale jest jak najbardziej na Opolszczyźnie, na Śląsku i na Pomorzu – *z prof. Andrzejem Nowakiem rozmawia Jan Żaryn*

Polskie Państwo Podziemne z okresu II wojny światowej było zjawiskiem unikatowym, ale niekoniecznie oryginalnym. Przy jego tworzeniu odwoływano się do pomysłu na „Tajemną Polskę" z czasu powstania styczniowego – *pisze Wojciech Lada*

Rząd Mazowieckiego miał szansę przejść do historii jako gabinet dokonujący zerwania z peerelowską przeszłością. Czy ją wykorzystał? – *pyta Przemysław Waingertner*

Po 13 grudnia 1981 r. „Solidarność" rozpoczęła falę druków konspiracyjnych. Pokoleniowa zdolność konspiry doprowadziła do pojawienia się pism nieocenzurowanych. Wiele prac drugiego obiegu traktowało o Piłsudskim – *pisze Adam S. Lewandowski*

Wigilijna bitwa pod Łowczówkiem zamyka szczęśliwą siódemkę działań legionowych z 1914 r. Rosjanie zostali powstrzymani – *przypomina Krzysztof Jabłonka*

eprasa.pl dd70aa56f6

Zawistowski prezentuje: Lepsza zmiana

Wycinki z przeszłości

75-lecie straży ogniowej w Warszawie uczcił „Tygodnik Ilustrowany" z 27 stycznia 1912 r. takim krótkim wspomnieniem. Czytamy: „Minęło już wiele lat od czasu, kiedy za pomocą grzechotek rozpowszechniano w całem mieście wieść o pożarze. Nowoczesna organizacja straży ogniowej uwalnia dzisiaj całe społeczeństwo od obowiązku czuwania".

I dalej: „Straż ogniowa powstała 1 stycznia 1836 r. Powstała zaś na wniosek obywatela warszawskiego, Rudnickiego, zorganizowana zaś przez dymisyonowanego pułkownika, Jana Dobosza. I od chwili powstania instytucya ta, początkowo obywatelska, zdobyła sobie sympatyę i uznanie warszawskiej publiczności. Sympatye te przechowały się do dzisiaj. Któż z nas nie podziwiał tych dzielnych ratowników, kiedy z całym efektem jakiejś tajemniczej grozy pędzą, co koń wyskoczy, do ognia. A kiedy, po skończonym pożarze, zabrzmi odgłos sygnału na trąbce i kiedy zwolna ciągną przez ulice miasta wozy i sikawki, wszyscy przechodnie patrzą z podziwem na dzielnych strażaków, którzy, syci powodzenia, wracają z walki z szalonym żywiołem. I mimowoli przychodzi na myśl, że jest to dzisiaj »jedyne wojsko«, które walczy i zwycięża, nie rozlewając krwi, chyba prócz własnej".

Dużo się od tamtej epoki zmieniło, już nie konie pędzą, lecz nowoczesne samochody, ale poświęcenie strażaków i szacunek społeczeństwa wciąż to samo.

(mk)

Z kart powstania styczniowego

Ten wiersz napisany został w dniu egzekucji Romualda Traugutta i czterech ministrów Rządu Narodowego – 5 sierpnia 1864 r.

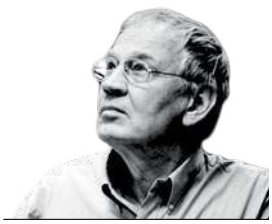

Felicjan Medard Faleński (1825–1910)

Leszek Długosz

Zapłata po pracy

Idziemy. W oczach świat się przemyka –
Skrwawione bicze plecy nam sieką –
Nigdzie błękitu, nigdzie promyka...
– Dalekoż jeszcze? – Ho! Ho! Daleko.

Idziemy. Wszędzie kurzące zgliszcze –
Z chat ojców dołem dymy się wleką –
Siecze grad z deszczem – zimny wiatr świszcze.
– Dalekoż jeszcze? – Ho! Ho! Daleko.

Idziem. Jak oczy zasięgnąć mogą
Bieleją kości słoneczną spieką –
Stąpamy po nich – trzeszczą pod nogą...
– Dalekoż jeszcze? – Ho! Ho! Daleko.

Idziemy dalej. Tam znów pies wyje –
W poprzek krew wrzącą wylała rzeką –
Brniemy do kolan, po pas, po szyję...
– Dalekoż jeszcze? – Ho! Ho! Daleko.

– Panie nasz! Panie! Jak tyś szedł z krzyżem,
Tak my dziś trumny dźwigamy wieko –
A do Golgoty kiedyż się zbliżem?...
Dalekoż jeszcze? – Ho! Ho! Daleko.

Idziemy dalej. Znój skrapia lica –
Szumi pomięte zewsząd ściernisko...
– Patrzcie! – Na skraju – O! Szubienica!
Dalekoż jeszcze? – Blisko już! Blisko!

– Przecie! Będziemy mieli tam ciszę,
Sen, aby spokój – słodki nasz Chryste?
– Wiatr was rodzimy w sen ukołysze,
Spowiją w całun tumany mgliste.

– Czy nas kto wspomni? – Na waszej stypie
Sama Niebieska zapłacze Pani.
I własna ziemia proch wasz przysypie –
Boście wy jeszcze z wielu wybrani...

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl dd70aa56f6

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Zasób unikatowy

Dramat w angielskich szpitalach: tysiące operacji opóźnionych". W tekście o takim tytule Interia.pl (3 stycznia 2018 r.) informuje o „bezprecedensowej" liczbie pacjentów, którzy „absorbują wszystkie zasoby służby zdrowia" od świąt Bożego Narodzenia. Do placówek medycznych zgłasza się wyjątkowo duża liczba osób z objawami silnych przeziębień, a nawet grypy; „część szpitali poprosiła także pacjentów o powstrzymanie się od wizyty na izbie przyjęć poza sytuacjami zagrożenia życia".

TO NIE EPIDEMIA

Jednak to nie efekt epidemii. Brytyjski minister zdrowia podkreślił, że choć wzrost liczby osób, którymi musi się zająć służba zdrowia, jest ogromny, to jednak zwykle ten pierwszy tydzień roku jest najtrudniejszy. Dodał: „w związku z problemem starzenia się brytyjskiego społeczeństwa z czasem konieczne będzie znaczne zwiększenie nakładów na służbę zdrowia". Trzy dni później portal Polishexpress.co.pl podał, że w wyniku tego kryzysu 81-letnia samotna emerytka zmarła, bo nie doczekała się karetki na czas. Medycy musieli włamać się do domu, bo nikt im nie otwierał.

WIĘCEJ PIENIĘDZY ROZWIĄŻE PROBLEM?

Jak zwykle w takich sytuacjach podjęto temat nakładów na służbę zdrowia. Z badań wynika, że ponad dwie trzecie obywateli Wielkiej Brytanii jest gotowych na większe składki do National Health Service. Ale nakłady na służbę zdrowia i tak są tam wysokie. W 2015 r. przeznaczono na ten cel aż 9,9 proc. PKB (w Polsce 6 proc. PKB mamy osiągnąć dopiero za kilka lat).

Są też głosy, że zapaść służby zdrowia nie jest efektem niedofinansowania, ale takiego rozrostu brytyjskiego odpowiednika NFZ, że skuteczne zarządzanie nim jest niemal niemożliwe i potrzebne jest znaczne ograniczenie zakresu oferowanych usług.

DLA EUROPEJSKICH TECHNOKRATÓW: KOSZTY UKRYTE

Spójrzmy na problem trochę inaczej. Ile z osób „absorbujących" w ostatnich tygodniach „wszystkie zasoby służby zdrowia" żyje w rodzinie lub chociaż ma z nią bliski kontakt? Ile to osoby samotne?

Systematycznie rosnąca liczba ludzi starszych w krajach Unii Europejskiej to jedno, ale stale warto pytać, jak na zdrowotność społeczeństwa wpływa kondycja współczesnej rodziny. Czy nawet bogate państwa stać na dalszy demontaż rodziny tradycyjnej, przez wieki będącej jedną z najsilniejszych społecznych mikrostruktur? Ideologia gender, związki osób tej samej płci, umożliwianie takim związkom adopcji dzieci, lansowanie stylu życia typu „singel", hiperindywidualizm (tożsamość wybierz, jaką chcesz) – tak chętnie głoszone przez unijne elity nie są dla kondycji systemów społecznych procesami niewinnymi.

WYCENIĆ MĄDROŚĆ BABCI

Więź rodzinna w wielu krytycznych sytuacjach ujawnia się jako zasób unikatowy. Zwłaszcza w czasie nieszczęść i chorób. Przecież nie zawsze problemem jest brak środków, czasami to poczucie samotności, rozmaite lęki.

Gdy następuje pogorszenie dostępu do usług publicznych, oparciem mogą być bliscy, a zwłaszcza w formule rodziny wielopokoleniowej. Ale gdy się nie zna babcinych sposobów leczenia pierwszych objawów przeziębienia, to przy każdej obawie o swe zdrowie szuka się kontaktu z lekarzem.

By ustalić, co sprawia, że ludzie czują się szczęśliwi, badacze z Uniwersytetu Harvarda przez 75 lat badali losy ponad 700 mężczyzn. Od roku 1938 śledzili losy dwóch grup. Pierwszą stanowili mężczyźni studiujący na drugim roku na Uniwersytecie Harvarda. Wszyscy ukończyli go w trakcie II wojny światowej i większość z nich poszła służyć w wojsku. Drugą grupą byli chłopcy z najbiedniejszych dzielnic Bostonu, specjalnie wybrani z rodzin, którym się nie wiodło.

Odpowiedź na pytanie o źródła szczęścia? Dobre relacje z ludźmi. Wyniki pokazały, że ci, którzy mają rodziny, ale też przyjaciół albo należą do wspólnot, są szczęśliwsi. Są też zdrowsi i żyją dłużej od ludzi samotnych.

Przed laty jednym z dorocznych haseł przewodnich Światowej Organizacji Zdrowia było „Zdrowie zaczyna się w domu". Do postępowych elit argument tradycji nie trafi. Ale może trafi argument ekonomicznej kalkulacji.

Hiperindywidualizm nie tylko jest niezdrowy. Także kosztuje. Wszystkich podatników.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | 11/0118/F

eprasa.pl dd70aa56f6

W POLSCE PL

Oglądaj na żywo

CYFROWY POLSAT NA POZYCJI **196**

W INTERNECIE:

- www.wPolsce.pl
- www.wPolityce.pl

eprasa.pl dd70aa56f6

MATERIAŁ
MARKETINGOWY

To jest życie!

Pomożemy Ci wziąć je we własne ręce.
Zadbaj o ochronę tego, co ważne.
Majątek, życie, zdrowie, oszczędności.

PZU

801 102 102 **pzu.pl**
Opłata zgodna z taryfą operatora

Możesz na nas polegać

eprasa.pl dd70aa56f6